

W dyskusji przedzjazdowej „Odważnie i rozważnie” w numerze bieżącym zabierają głos: Kazimierz Braun – reżyser Teatru im. J. Osterwy, Jerzy Dostatni – publicysta, Józef Marek Grabowiecki – st. asystent Zakładu Ekonomii Politycznej i Planowania UMCS, Kazimierz Andrzej Jaworski – literat, Wiesław Kryński – dyrektor lubelskiej Estrady, Janusz Madeński – sekretarz Zarządu Oddziału TNOiK, prof. dr Janina Opienska-Blauth – emerytowany kierownik Katedry i Zakładu Chemii Fizjologicznej AM w Lublinie.

Ireneusz J. Kamiński
Stocznia Szczecin

Jerzy Dostatni
Dyrektor
nie straż pożarna

Romuald Wiśniewski
Po kozuch
do Kurowa

16 stron
Cena 3 zł

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 5.XII.1971 Nr 25 (484)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

LUBELSZCZYZNA

Franciszek Uhorczak

Prof. dr Franciszek Uhorczak, kierownik Zakładu Kartografii Instytutu Nauk o Ziemi UMCS, od wielu lat zajmuje się naukowym opracowaniem aktualnych zagadnień województwa lubelskiego, przekraczając często zakres tego, co formalnie mieści się w granicach pojęcia kartografii. Niedawno na zespole ekspertów gospodarczych, powołanym przez KW PZPi w Lublinie, przedstawił wyniki swoich badań na temat roli i miejsca Lubelszczyzny w gospodarce kraju, prezentując to zarazem w formie odpowiednich wykresów kartograficznych. Niżej publikujemy pierwszą część artykułu prof. dr. Uhorczaka na ten właśnie temat.

OSTATNIO wiele mówi się i pisze o rozwoju województw bądź też regionów ekonomicznych. Sprawa sprowadza się do właściwego określenia stopnia ich rozwoju, a więc poszukiwania odpowiednich mierników i metod ich określania. Wśród wielu zagadnień merytorycznych i metodycznych z tym związanych, wybijają się, według mnie, trzy podstawowe zagadnienia: 1) mierników rozwoju, 2) metod ich obliczania i stosowania, 3) prezentacji graficznej i kartograficznej wyników. Najwięcej uwagi poświęca się dwóm pierwszym sprawom, natomiast trzecią, prezentację graficzną i kartograficzną, traktuje się przeważnie marginesowo, chociaż np. planiści przestrzenni z natury rzeczy muszą poświęcać więcej uwagi przestrzennemu rozmieszczeniu problematyki gospodarczej.

Wśród wielu mierników rozwoju regionów gospodarczych niektóre stosuje się chętniej i częściej, chociaż niekiedy są one dość skomplikowane jeśli idzie o sposób ich obliczania, a niekiedy znów zagadnienie bardzo się upraszcza, stosując np. nagminnie porównania z tzw. średnią krajową. Otóż średnia krajowa jest wypadkową bardzo wielu składowych i w oderwaniu od pełnego szeregu wartości specyficznych dla województw czy też regionów, właściwie niczego konkretnego nie mówi. Średnią krajową można by operować ostatecznie tylko wtenczas, gdy występuje ona w pełnym szeregu prezentowanych jednostek terytorialnych, ale i to nie zmienia metodycznej niewłaściwości porównywania wartości odnoszących się do obszarów nierównorzędnych: województwo — kraj, podczas gdy porównywać można tylko jednostki równorzędne, a więc np. województwa między sobą. (N. b. i województwa nie są jednakowej wielkości, ale na to nie możemy na razie nic poradzić).

W rozważaniach na tematy mierników rozwoju regionów jeszcze mniejszą uwagę zwraca się na pozycję — miejsce województwa wśród wszystkich województw.

Dokończenie na str. 12



Ryszard Sikora przy montażu łożyska wielkogabarytowego w KFWM. O problemach zarządzania w KFWM piszemy na str. 6. Fot. J. Trembecki (CAF)

Generał Berling

Alojzy Sroga

Film „Spotkanie z generałem”, nadany 12 października br. przez Telewizję Polską (scenariusz: Alojzy Sroga i Roman Wionczek, reżyseria: Roman Wionczek, zdjęcia: Mieczysław Vogt) wzbudził duże społeczne zainteresowanie zarówno bitwą pod Lenino, jak i osobą legendarnego już dziś dowódcy — generała Zygmunta Berlinga.

Poprosiliśmy Alojzego Sroga, który zresztą nieraz gościł na łamach „Kamena”, o szkic pokazujący postać generała. (Red.)

NIE potrafię w tej sprawie być zimnym, obiektywistycznym historykiem — zresztą nim nie jestem. Powód pierwszy: wprawdzie krótko, ale byłem podkomendnym Generała jako żołnierz 1 Armii Wojska Polskiego. Już wtedy wokół jego osoby snuła się ładna, żołnierska legenda. Byłem pod jej urokiem wtedy, gdy jako młody chłopak trafiłem w szeregi Wojska Polskiego.

Jestem pod jego urokiem i dzisiaj, po wielokrotnych spotkaniach, gdy przygotowując najpierw dużą monografię literacką bitwy pod Lenino (dla Wydawnictwa MON) gromadziłem materiał i weryfikowałem go także z generałem Berlingiem, jak i po spotkaniach ostatnich, podczas prac nad filmem.

To zastrzeżenie wydało mi się konieczne, bo nie wykluczam, że po niniejszej publikacji znajdą się krytycy, zarzucający mi brak obiektywności. Przyznaję się do tego z miejsca.

Zastrzeżenie drugie — tu jestem w stanie przekazać tylko cząstkę wiedzy o generale broni Zygmuncie Berlingu. Fakt, że napisał on dwa potężne tomy (pasjonujące!) pamiętników, że jest w trakcie pisania tomu trzeciego, mówi sam za siebie; jak wiele ma do przekazania nam, naszym następcom ten, któremu było dane uczestniczyć w wydarzeniach wielkich, dziś bez przesady — historycznych.

Zdaję więc sobie sprawę, że moje uwagi, refleksje, moje przedstawienie faktów może wydać się po prostu nieudolne lub praskie w zetknięciu z opisową osobą.

Jeśli mimo to považam się zasiadać do tematu, wyznaję, iż powodem mną chęć przedstawienia, choćby cząstkowego, osoby, która na szeroką popularyzację najpełniej zasługuje.

Z życiorysu

Urodził się w roku 1896 w powiecie limanowskim, w dzisiejszym województwie krakowskim.

Dygresja

Gdy w roku 1943 pisał list do „Nowych Widnokręgów” w sprawie utworzenia w ZSRR Wojska Polskiego, podpisał się — Stanisław Limanowicz. Właśnie — od rodzinnego powiatu powstał ów pseudonim.

A obecnie generał Berling mieszka w wielce podobnym do rodzinnego pejzażu — w Bieszczadach.

Z życiorysu

W roku 1912 wstąpił do Związku Strzeleckiego, zaś w 1914 — do Legionów. Jak wielu młodych Polaków w różnych epokach czyniło, tak i on nie wyobraził sobie innej decyzji, jak sięgnąć po broń, gdy jest choćby najmniejsza szansa wyzwolenia kraju.

Dygresja

Teraz, gdy w bieszczadzkim pejzażu, na balach drewna zasiedliśmy, by mówić o bitwie pod Lenino w sposób jak najmniej oficjalny, a po trosze przez pryzmat anegdota, wydobylem zdjęcie najmłodszego w 1 dywizji żołnierza — Stasia Pastuszaka. Miał wtedy 13 lat... Ojciec, przedwojenny chorąży, przyprowadził do wojska pięciu synów. Stasio był najmłodszy. Ojciec osobiście sfalszował jego wiek, dodając mu dwa lata. Pokazuję zdjęcie, Stasia z matką, generałowi.

Spogląda chwilę uważnie.
— Tak, byli tacy chłopcy. Nieco starsi od niego, ale wielu takich młodych garnęło się do dywizji.

Refleksja. Legionista Zygmunt Berling, gdy sięgał po broń miał lat 18, a w chwili wstępowania do Związku Strzeleckiego — 16.

Z życiorysu

Podczas pierwszej wojny światowej odniósł rany: w roku 1914, 1915, 1916. W nogę, w bok, trzykrotnie w pierś (Mołotków, Rafajłowa, Rutka Wiryńska). Wiele miesięcy spędził we frontowych szpitalach.

W roku 1915, wraz z 4 pułkiem piechoty, sierżant Zygmunt Berling wkracza do Lublina.

Ludzie i kopalnie

Maciej Podgórski

Jako absolutnie typowe spełnianie się czyjś losu. Przeto z dziennikarską ostrożnością potraktujemy tę historię jedynie jako biograficzny wariant, w którym dzieje i rośnięcie człowieka splecione z dziejami i rośnięciem zakładu przemysłowego, wariant wszak całkowicie rzeczywisty i bynajmniej nie taki znowu zupełnie jednostkowy. Raczej smutno było w miejscowości Wesola, kiedy tu przyjechał Stanisław Cmielewski, 18-letni wówczas chłopak,

mo osada górnicza, położona zaledwie 20 km od Katowic.

„Drogę nie było, nawet w kierunku kopalni. Jak deszcz, to tylko w gumniakach. Ulice więc błotniste, a na dodatek nie oświetlone. Hotele robotnicze przeważnie w drewnianych barakach, bo tych bloków, gdzie teraz mieszkam, też nie było. Warunki na kopalni inne, bhp leżało, szkolenie równie. Dziś mieszają się ludzi szkoli, z nim zjadają na dół. Wtedy po jednym

dniu się człowiek rozpatrzył i już zaczynał górniczo. W osiedlu brzydka była sytuacja, jeśli idzie o porządek. Brak rozrywki, chłopcy pili, bili się. Przyjeżdżali i wyjeżdżali stąd, jednego dnia wyznaczono takiego na stanowisko pracy, a jutro już nie przyszedł w ogóle”. Tak Cmielewski opowiada o tym, co zastał.

Zaczynał od razu na ścianie jako pomocnik ładowacza. „Na ścianie wtedy był przenośnik pancerny, wrębniarka, drewniana obudowa, reszta łopatami. Zarabiałem początkowo 1200 zł, 540 kosztował hotel i wyżywienie całomiesięczne. Kawalerowi starczało”. Oś 1958 roku do dziś pracuje na oddziale przygotowawczym, przy drążeniu chodników. Cały ten okres to dla Cmielewskiego znużenie podnoszenie kwalifikacji, szereg kursów zawodowych po godzinach pracy, a wreszcie nauka w zaocznym technikum górniczym, które obecnie kończy. Coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska pracy i coraz więcej funkcji społecznych. Można wędrować w górę, choć dotąd pracuje „na dole” i nie bardzo siebie widzi całkiem „na górze”. „Po skończeniu technikum człowiek się trochę zdeklasuje przy przejściu do nadzoru. Zaproponują, trzeba będzie przyjąć. Finansowy awans to nie jest w każdym razie, ale robota akordowa na dole ciężka, a po tej emeryturze chciałoby się jeszcze parę lat w zdrowiu pożyć”. Opowiada spokojnie i nadzwyczaj serio, lecz ostatnią uwagę każe mi traktować jako melancholijny humor. „W akordzie liczą rok za półtora do emerytury” — dodaje.

Dokończenie na str. 4—5

Dokończenie na str. 11



Literatura

Na zakończenie kilkunastodniowego pobytu w Polsce, pisarze radzieccy M. Tank oraz W. Borysow spotkali się z grupą polskich pisarzy w Domu Literatury w Warszawie.

W Ośrodku Kultury Czechosłowackiej w Warszawie odbyło się spotkanie z pisarzami tego kraju Nina Bonhardova, Vladimirem Pazurkiem i Gohumilem Briha, poświęcone współczesnej literaturze ich kraju.

Doroczna nagroda „Orle Pióra”, przyznawana na podstawie głosów czytelników „Piomyka”, zdobyła autorka książek dla dzieci i młodzieży Irena Jurgiel-wiczowa.

W drugiej połowie listopada odbyły się trzecie z kolei Dni Książki Pisarzy Saczacińskich, tym razem w Goleńdowie.

W plebiscyście mieszkańców woj. poznańskiego najpopularniejszym pisarzem tego rejonu został uznany Czesław Kuriata. Najwyższą oceniono jego zbiór opowiadań „Galop do wielkiego lasu” i tomik poezji „Jeśli miłość nazwać”.

W popularnej serii „Koliber” ukazał się „Konrad Wallenrod” A. Mickiewicza — i to w nakładzie 150 tys. egzemplarzy oraz w cenie 4 zł. Obydwa tytuły takich popularnych edycji.

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się pierwsza monografia Juliusza Kadena-Bandrowskiego, ukazująca całokształt jego twórczości literackiej i społeczno-politycznej. Autorem jest Michał Sprusiński.

Kolejnym tomem prozy Tadeusza Różewicza pt. „Przygotowanie do wieczoru autorskiego” jest zbiorem opowiadań, esejów i szkiców autorskich i komentarzy do własnych utworów, a także wspomnień o Staffie i Czechowiczu.

W przyszłym roku Nasza Księgarnia wyda powieść Jerzego Brzostkiewicza pt. „Mister De”. Jest to powieść dla nastolatków o 46-letnim mężczyźnie, który wskutek interwencji diabła zamienia się w 16-latkę, ale po kilkudziesięciu godzinach wraca do swego dawnego wcielenia — ku rozpaczy diabła i zadowoleniu zainteresowanego.

Teatr

W okresie powojennym na scenach polskich wystawiano 350 premier sztuk autorów rosyjskich i radzieckich.

Jak się okazuje jedynym rzeczywistym ciekawostką teatrem w Polsce jest teatr — laboratorium Grotowskiego.

W Dusseldorffie odbyła się premiera sztuki St. I. Witkiewicza „Matka” w reżyserii Erwina Axera, a w Prentz-lau (NRD) premiera „Pana Jowialskiego” Fredry. Ta ostatnia jest również premierą na niemieckim obszarze językowym.

Czy białe krytyki może oceniać sztukę wyrosła na doświadczeniach ludzi czarnych? — zastanawia się krytyk teatralny londyńskiego „Timesa” po obejrzeniu fascynującej sztuki murzyńskiego dramaturga Melvina van Peeblesa pt. „Nie pisana mu jest śmierć”. Krytyk twierdzi, że sztuka jest ostra, przybliża świat widzianym z murzyńskiego getta i tu doświadczenia białego już nie wystarczają do oceny.

Sztuka

W gdańskim Ratuszu odbyło się V Biennale Fotografiki Krajów Bałtyckich. Każdy dzień poświęcony był kulturze innego kraju — charakterystyczne wystawione fotografie, wyświetlano filmy i przezrocza, urządzano koncerty muzyczne.

Tuż przed tegoroczną Barburką u wejścia do kopalni węgla kamiennego „Nowa Ruda” w Słupcu stanęła trzymetrowa rzeźba ze stali i betonu, przedstawiająca górniką z młotem. Twórcą jej jest 35-letni górnik Stanisław Szczyпка. Z pochodzenia jest Górale i najchętniej rzeźbi w drzewie li-powym.

Julian Zebrowski przebywa w USA, gdzie pokazuje 140 plasz z rysunkami ze 100 miast polskich w zestawie pt. „Nasze kochane miasta polskie”. Następnym etapem będzie Kanada. Równocześnie artysta tworzy rysunki z życia Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej oraz cykl „Moja Ameryka”.

Zamieszkały w USA L. Palicki przesłał w darze dla Zamku Królewskiego cenny obraz Henryka Siemiradzkiego „Maria Magdalena”.

Muzyka

Warszawski Teatr Ludowy przygotowuje musical, oparty na sztuce Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”. Adaptacją doznał Janusz Minkiewicz, tytuł — „Halo, Dulsko”. W roli głównej wystąpi Irena Kwiatkowska.

Chór gdańskiej Akademii Medycznej im. Tadeusza Tytewskiego obchodził 25-lecie istnienia.

W Londynie i trzech innych dużych miastach Wielkiej Brytanii występował Kwintet Warszawski z programem obejmującym utwory Schumanna, Dworka i Baczewskiego.

Film

Sprawa reorganizacji polskiej kinematografii jest przedmiotem wielu dyskusji wśród zainteresowanych. Jak się wydaje, po okresie wszechmocnych szefów produkcji, a następnie kierowników literackich, nadejdzie okres twórców filmowych. Okazuje się także, że film cierpi na dotkliwy brak scenariuszy, zwłaszcza współczesnych.

W łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych kopiuje się na taśmie szerokości 70 mm „Pana Wołodyjowskiego”.

Od 1945 roku wyświetlano na naszych ekranach 850 fabularnych filmów radzieckich, które oglądało ponad 70 mln widzów. Ponad 80 filmów zgromadziło po przeszło 2 mln widzów. Rekord osiągnął „Cichy Don” w reżyserii S. Gierasimowa — 9,5 mln widzów.

W tygodniowym odciepie telewizyjnej brytyjskiej wyświetliła „Kanał” oraz „Popiół i diament” — oba w cyklu „Kinematografia świata”.

Angielski aktor Peter Sellers, aby nie zapłacić wysokich podatków, prze-

niósł się do Irlandii, jego żona Miranda Quarry, też aktorka, pozostała w Anglii. Obecnie Miranda jest poważnie chora, ale mać nie może przyjechać, zanim nie zapłaci owych podatków.

Lubliniana

Z okazji 35-lecia ZPAP w Lublinie w salach BWA czynna jest wystawa okręgowa plastyki. Niestety wielu znanych artystów lubelskich nie wzięło w niej udziału.

Teatr Laiki i Aktora weźmie w styczniu udział w międzynarodowej wystawie, która odbędzie się w Paryżu, wystawiając tam zestaw lalek i szopkę z przedstawienia „Polska szopka ludowa”.

Przy Domu Kultury Kolejarza powstał nowy Dyskusyjny Klub Filmowy, 12 z kolei na Lubelszczyźnie.

Teatr im. Osterwy z dużym powodzeniem wystąpił w Katowicach na Festiwalu Dramaturgi Erazmów Socjalistycznych ze sztuką rumuńską K. Oproiu „Nie jestem Wieża Eiffila”.

Różne

550 milionów zł na dalszy rozwój bazy materialnej kultury otrzyma Dolny Śląsk w bieżącej pięcioletce, w czym 330 mln zł stanowić będzie udział zakładów pracy. W ten sposób mają być zaspokojone wszystkie najpilniejsze potrzeby. Do realizacji będą jednak przyjmowane wyłącznie obiekty w pełni przygotowane, a zarazem spełniające wielokrotne zadania kulturalne, tj. obejmujące sale, biblioteki, czytelnie, pracownie itp.

W Krakowie odbyła się pięciodniowa aukcja antykwarystyczna na cenne druki. Zgłoszono aż 6,5 tys. pozycji. Najwyższe wyceniono „Zielnik herbarzem z języka łacińskiego zwojów” z 1613 roku (15 tys. zł) oraz komplet czasopism redagowanych przez Miriam-Przemyskielego „Chimera” z lat 1901-1907 (6 tys. zł).

Ukazała się niezwykle cenna pozycja dla badaczy wszystkich kierunków: „Katalog inwentary archiwalnych”, wydany przez Naczelną Dyrekcję Archiwów Państwowych. Obejmuje on ponad 14 tys. zespolów akt, znajdujących się w archiwach centralnych, wojewódzkich i powiatowych.

Spadkobiercy Leopolda Staffa przekazali do zbiorów Muzeum Mickiewicza w Warszawie wiele cennych pamiątek po pisarzu: rękopisy ostatnich utworów, kilkadziesiąt cennych książek z dedykacjami autorów oraz różne przedmioty użytku osobistego.

Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się niezwykle pożyteczna książka: „Wspomnienia wędrownego kramarza odpustowego” Edwarda Koziela. Zanim książka egzotyka z okresu Polski Ludowej.

Z okazji 90 rocznicy urodzin Picasa jeden z krytyków tak podsumował działalność wielkiego artysty: 20 tysięcy płócien, rzeźb i grafik, nie licząc prac w porcelanie, siedem żon, czworo dzieci i 90 lat fascynującego życia, tytanicznej pracy, wielkich przyjaźni i miłości.

Na licytacji w Londynie sprzedano za 2400 funtów rzeźbę z epoki wiktoriańskiej, przedstawiającą naturalnej wielkości Venus. Ciało bogini utrzymane jest w kolorze kremowym, łoki są złociste, oczy błękitne, usta różowe.

Jedno z wydawnictw angielskich przyjęło do druku powieść, napisaną przez 16-letnią uczennicę Janet Kilbourn. Janet pisała ją przez dwa lata przygotowując się do matury, a tem powieści są czasy króla Ryszarda III.

Gdy Dante Alighieri zmarł w 1321 roku, jego najwybitniejsze dzieło nie miało jeszcze żadnego tytułu. Poemat otrzymał tytuł „La Divina Comedia” dopiero 40 lat później, a „ojcem chrzestnym” był klasyk literatury włoskiej Giovanni Boccaccio.

We Francji i Anglii ukazała się równocześnie książka autobiograficzna „Dall' o Dalim”. Słynny malarz okazał się godnym swojej legendy. Przeciwnie Stefan Zweig powieścił o nim: to geniusz artystyczny naszych czasów. A Zygmund Freud: to typowy przykład szarlatana. Książka jest równie kontrowersyjna.

W Związku Radzieckim nadal trwa poszukiwanie wielkiej i niezwykle cennej biblioteki, jaka miał rzekomo posiadać car Iwan IV Groźny w XVI w. Miały się tam znajdować, jak utrzymują podania i niektóre źródła, niezwykle cenne rękopisy, przywiezione z Bizancjum przez brata ostatniego cesarza tego imperium. Niestety dotychczas nie natrafiono na konkretny ślad tej biblioteki, nawet mimo wielu poszukiwań archeologicznych na samym Kremlu.

Na Dolnym Śląsku działają 23 towarzystwa kulturalno-oswiatowe zrzeszające prawie 20 tys. członków. Współpracują one z braćmi towarzyszami w NRD i Czechosłowacji.

W ostatniej pięcioletce w ZSRR zbudowano m. in. 14 tys. klubów, domów i pałaców kultury, 12 tys. bibliotek, 200 parków kultury i wypoczynku. Łącznie działa obecnie 135 tys. klubów i 130 tys. bibliotek publicznych. Ogólny nakład wydanych książek osiągnął 1,5 mld egz.

MAPRIAL — to międzynarodowe stowarzyszenie wydawców języka i literatury rosyjskiej, skupiające przedstawicieli 25 państw. Powstało ono w wyniku coraz większego zainteresowania na świecie literaturą radziecką, a także osiągnięciami naukowo-technicznymi.

55-letni Frank Sinatra, podobno najbogatszy piosenkarz i aktor amerykański (włoskiego pochodzenia) oświadczył, że wycofuje się ze sceny i estrady, gdyż chce mieć wreszcie czas na życie rodzinne.

„Poeto, rumień się jak gnijąca skóra, rozjaśniaj jak zakurzona wieża, wuj jak szczęśliwa glista” — to początek „poematu”, stworzonego przez komputer według zaprogramowania krytyka literackiego i poetki amerykańskiej Maril Borroff.

W Stratford on Avon w Anglii spalił się budynek, w którym urodziła się żona Szekspira Anna Hathaway. Ślub w roku 1582 odbył się także w tym domu.

Na licytacji w Londynie sprzedano za 90 tys. funtów ilustrowaną książkę „Ptaki Ameryki” Jamesa Audubona, wydana w latach 1827-38. Nabywca twierdzi, że cena jest bardzo niska, bo wartość każdego z 435 rysunków wynosi przynajmniej 5 tys. funtów. Tuż przed wojną inny egzemplarz tego dzieła sprzedano za 13 tys. funtów.

Trzy kadry pamięci

Zygmunt Mikulski

U MIERA ktoś i nagle wszystkie zapamiętane jego gesty, słowa, nabierają znamion ostateczności. Sekwencje, które można montować. Których nie można ponownie nakręcić.

Mam w pamięci kilka scen — nie cały film — z Julianem Przybyszem, które mi zostały jeszcze z roku 1944. Był wtedy w Lublinie.

Był, ponieważ rezygnując z funkcji kierownika wydziału kultury urzędu wojewódzkiego w Rzeszowie (czy taka nazwa?), czym prędzej tu przybył, dowiedziawszy się o początkach życia literackiego w stolicy wóczas Lublinie. Nie, nie było jego wizerunku w zbiorowym wizerunku autorskim, który się odbył w sali Teatru jeszcze Miejskiego. Nie było? Ostrożnie może wypadłoby napisać „raczej nie było”.

Ujrzałem go po raz pierwszy na poranku autorskim, który się odbył w nie istniejącym już dziś domu przy nie istniejącej ulicy Radziwiłłowskiej 7. Z urbanistycznych planów tej dzielnicy wynikało, że należy zrezygnować z odosobnionego budynku postawionego przez Niemców na „Haus der NSDAP”, ale wówczas jeszcze literaci znali go doskonale: był ich własnością, przyznawali im przez władzę ludową. Za budynkiem był niewielki ogród. Tam.

Stał z ręką lekko opartą o biodro (skąd taki szczegół został w pamięci?), przytrzymując narzucony na ramie jasny płaszcz, co nadawało postawie jakiejś zamasyzystości, jakby gotowości do natychmiastowego działania. Niski, drobny, „jasny”. Jakoś mi się ta słowiańska „lnianność” nie kojarzyła z wierzami przesiąkniętymi kulturą europejską, ale też i nie zawierała cech beztroki. Wyraźne zaferowanie. Jakby w niewymyślnej atmosferze pierwszej towarzyskiej euforii zatroskanym należało być właśnie solenizantowi poetyckiej uroczystości.

Czy czytał? Nie, odprawiał mszę. Przybysz nigdy nie traktował poezji inaczej, niż w surze najwyższego namaszczenia. Wiersze z tomu „Póki my żyjemy” pod pseudonimem Juliana Węglbłeskiego krążyły w opisach, kolportowane na podbieństwo prasy podziemnej. Wydane później, były pierwszą edytorską pozycją Polski Ludowej.

Mój poetycki słuch został ukształtowany akustyką innych poetek i nie mogę powiedzieć, by najcenniej w moją wrażliwość trafiło tak właśnie uformowane słowo, ale wymowa tej poezji była bezsporna. Szczególnie bezpośrednio po okupacji, a więc po czasie, kiedy publicznie słowo polskie w ogóle nie istniało, a jeszcze bardziej z racji nawiązania do szerokiej tradycji europejskiej, do której perspektywa dla nas była zamknięta językiem brzmiącym jak trzask karabinu.

Przybysia spotkało oczywiste wyróżnienie. Już wówczas mieliśmy w Lublinie wielu poetów o nazwiskach liczących się w XX-leciu, przybyłych przeważnie wraz z oddziałami I Armii Wojska Polskiego, ale nie kto inny, jak właśnie autor „Póki my żyjemy” otworzył podwoje polskiej literatury na powitanie wolności. Wkrótce później został wybrany prezesem Związku Literatów Polskich, który na początek nosił w nazwie skasowany później przymiotnik „zawodowy”.

W Resorcie Informacji i Propagandy był Wydział Propagandy Masowej i tam, wiedziony typowymi dla tamtych pierwszych dni nieokreślonymi fluktuami organizacyjnymi, znalazłem się w nie bardzo znanym mi gronie. Chodziło — zdaje się — o wyniesienie jakichś skrzyń. Ni stąd ni zowąd ujrzałem Przybysia z tym samym letnim płaszczem na ramieniu i z tkwiącym w jego kieszeni plikiem rękopisów. Oczywiście, wobec autora nie tylko wierszy okupacyjnych, ale również przedwojennego „Równania serca”, nie omieszkałem wychylić się z jakimś enuncjacjami intelektualno-krytyczno-literackimi, a dla których Przybysz wykazał zainteresowanie, i w ten sposób rozmawiając, znaleźliśmy się w komórze obstawionej jakimiś pudłami i zasypanej papierstwem niewiadomego autoramentu. Pamiętam, że Przybysz spytał mnie, jak przyjmuję określenie:

„Słowik liczy, myli się, i liczy na liczydłach z dźwięku jej paluszki...”

z wiersza o córce. Odpowiedziałem długim wywodem o ekspansji poetyckiego wżruszenia na elementy rzeczywistości przedmiotowej i nacełowywany przez niego odpowiedź, dlu-

go jeszcze nie schodziłem z terenu uogólniającego teoretyzowania, w końcu uchwyciłem, że wymaga się ode mnie znacznie mniej i określenie o liczynie z dźwięku „przysłowiem” na własny język. Chodziło o to, że fikcyjne słowka nie dochodzi do dziesięciu, a tyle paluszków miała narodzona córka. Mimo wszystko nie tak wąsko uformowany widział mi się zakres pytania, a więc zwrot o tych tonach rzuciłem mimochodem w trakcie krytyczno-literackiego wielosłowa, ale Przybysz właśnie na ten temat czekał. Z satysfakcją porozumienia podaliśmy sobie ręce na pozegnanie.

Kiedy więc w tym samym budynku ujrzałem go ponownie, mogłem liczyć na status niejako znajomego. Istotnie. Zagadnął Przybysz i usiedliśmy na poniemieckiej skrzyni z piaskiem do gaszenia pożaru. Jeszcze dziś całkiem dokładnie w budynku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie (siedziba PKWN) mogę wskazać to miejsce na drugim piętrze, gdzie poniemiecka skrzynia była uczniowską ławką i profesorską katedrą w wykładzie poezji francuskiej, poezji polskiej i poezji w ogóle. Słuchałem już nie zmuszany do składanania świadectw prawomocnego uczestnictwa w rozmowie na taki temat.

W tych okolicznościach zastała nas pora obiadowa, więc nie mając kwitka upowiadającego do skorzystania ze stołówki PKWN, zacząłem się żegnać. Przy swoich na ogół mało awangardowych zdolnościach natury administracyjnej spróbowałem dla mnie kwitek i w ten sposób miałem możliwość wysłuchać czegoś jeszcze na tematy już nie warsztatowo-literackie, nacylonie ku filozofii — o wymierności i sprawdzalności świata, o bezpodstawności systemów mitologicznych — jednakże i stamtąd instynkt poety wrócił ku kwestiom wyrazu. Przybysz mówił o potrzebie maksymalnej kondensacji i odkrywczości słowa. Pamiętam — a zetknąłem się wówczas po raz pierwszy z właściwą mu bezwzględnością pod adresem krytycznego zjawiska bez względu na obejmujące je nazwisko — że użył słów: Ale tego nie da się osiągnąć, kiedy się mówi — Uderz nam w serca złotym dzwonem. Przycinek był pod adresem tuwimowskiego wiersza „Modlitwa”, zamieszczonego w pierwszym numerze „Rzeczypospolitej”. Wiersz zawierał coś w rodzaju „psychicznego programu”, cieszył się chyba nie bezpodstawną estymą w kręgach czytelniczych i środowisku literatów, ale Przybysz dla swej muzy Awangardy nigdy nie wahał się stanąć w ostrym konflikcie w stosunku do czegokolwiek. Pod tym względem nie czynił niespodzianek.

Ale to już ostatnia z tolerancyjnych dla mnie lubelskich interlokucji Przybysia. Z czasem zdobyłem się na odwagę sprezentowania własnych próbek teoriopoetyckich, ale te na tyle nie zyskały aprobaty późniejszego autora „Lini i gwaru”, że przeczynał je dla uczennic słodmej klasy, a mnie — eufemistycznie — określił jako przyzyczne swego „zmartwienia”. Zanim nie opuścił Lublina na rzecz Krakowa, porwany falą migracji idącą tuż za frontem wyzwolenia. Czy nie na wojskowej ciężarówce?

Jerzy Kukuryk

Jan Pełlewski

Muzyka Chopina

Rozmawiał z nią

Pamięci ojca

dłonie zastygłe w ruchu jakby wstrzymywały tony płocze lecące ku miastu by w oknach posiać światło jednym innym twórcę rzucić jak piaskiem w oczy zatoczył spiralą skłębić się stumanić zatańczyć piekła taniec i oddechem żaru poprzez ulice ciśnie zniewiercące runąć na rynek miejski wulkanów stu lawą rozlać się pod stopami jak wyrzut sumienia zagradzający drogę do progów świątyni tym który zapomnieli i ślepi wolać że trzeba kroczyć dalej po przepaści brzegu i krzyk drzew ku słońcu i agonie śniegu modlitwy odmawiane ściszeniem mierzczy kwadratura kola nierozwiązana marzenie lotów definicje ideały rozerwanie

Rozmawiał z nią wieczorem najczęściej w milczeniu gdy wychodził w pole na łowienie ciszy — na miedzy przystawał przyodziany mrokiem wierzący w moc ramion i roli czerń płodną zdejmował ze swych pleców ciężar całodzienny jak kłętą kościół i własnego losu obchodził dookoła zieleni pomaleńku jakby bał się ją spłoszyć słowem pomyślanym pośród żywiołów i kłęsk drzemających odprawiał nabożeństwo swych najskrytszych marzeń w mowie miedz co tutaj życie określały dźwięki ojców grunt stały bo tam gdzie ziemia ma oparcie w czoku żywał jej się przedłuża dźwięk daleko

Świąteczny numer „Kamery” też ukaże się w objętości 16 stron. Cena 3 zł.

Kierunek: VI Zjazd PZPR

16 listopada obradowała w Lublinie Wojewódzka Przedzjazdowa Konferencja PZPR. Konferencja dokonała wyboru 79 delegatów na VI Zjazd Partii. Łącznie z wybranymi uprzednio na konferencjach zakładowych Lubelszczyznę będzie reprezentowało na VI Zjeździe 89 delegatów.

Do czterech delegatów przedstawiciele naszej redakcji zwrócili się z pytaniem: — Gdyby Towarzysz (ka) miał (a) zaszczyt przemawiać z trybuny VI Zjazdu, jakie problemy poruszyłby (póruszyłaby) w swoim wystąpieniu?

Oto odpowiedzi:

Romułd Jankowski

Od 13 roku życia pracował fizycznie. Po wojnie zdobył najpierw wykształcenie techniczne, potem pedagogiczne. Do Partii wstąpił w 1945 r. i wkrótce został sekretarzem KP w Kłodzku. Od 1951 r. pracuje na Lubelszczyźnie w szkolnictwie, potem przez 8 lat był nauczycielem, sekretarzem propagandy, potem i sekretarzem KW w WSK w Świdniku, od przyszłego roku jest przewodniczącym WRZZ w Lublinie. Jest członkiem Egzekutywy KW.

— Problematyka ruchu związkowego jest bardzo szeroka i nie wiem, czy potrafiłbym się skoncentrować tylko na jednej czy dwóch sprawach. W nowym klimacie po VII i VIII Plenum sprawy społeczne i problemy warunków pracy stały się wreszcie równie ważne jak sprawy produkcyjne. Jedne i drugie przenikają się wzajemnie, wykonanie jednego warunkuje postęp drugiego. Do niedawna nie widziano dialektycznego powiązania tych spraw, stąd niesłusznie produkcję uważano za sprawę nadrzędną.

Rzecz polega teraz na tym, aby to nowe podejście traktować jako proces stały, kompleksowy i na wszystkich szczeblach nie tylko ru-

chu związkowego. W dyskusji przedzjazdowej członkowie związków zawodowych naszego województwa wzięli bardzo czynny udział, swoimi nie tylko wnioskami, ale i działaniami włączając się czynnie do naprawy Rzeczypospolitej.

Jedne sprawy nas cieszą, ale inne martwią i o tym trzeba głośno powiedzieć. Np. w roku bieżącym z czasów skorzystało 13 tys. osób więcej niż w poprzednim roku, był też większy udział robotników. Ale ten udział wciąż jeszcze nie jest wystarczający, ponadto związkowcy słusznie domagają się większej niż dotychczas liczby czasoswobodnych, co jest niezmiernie ważne ze względów społecznych. Tu moje postulaty byłyby skierowane zarówno pod adresem naszych terenowych przedsiębiorstw i instytucji, jak również do władz centralnych.

Jeżeli chodzi o wypadkowość przy pracy, nie należymy do najgorszych województw. Ale niepokoi wciąż wzrastająca u nas liczba wypadków ciężkich i śmiertelnych. Nasza ustawa o bhp jest dobrą ustawą, służy jako przykład innym państwom. Jednak nie jest ona w pełni wprowadzana w życie. Mamy tu pretensje do naszego rolnictwa (głównie państwowych gospodarstw rolnych), budownictwa i leśnictwa

(zwłaszcza transportu leśnego). Ale i w rozporządzeniach wykonawczych nie wszystko jest w porządku. Tak np. uważam, że w nakładach na bhp należałoby wyraźniej wyodrębnić nakłady na odzież robotniczą, gdyż zamazujemy nieraz sprawę warunków pracy w samej hali czy na budowie. Również ostryj należałoby rozstrzygnąć np. takie sprawy, jak swego czasu kupno dywanu do dyrektorskiego gabinetu właśnie ze środków na bhp.

Jak wynika z dyskusji przedzjazdowej, członkowie naszych związków zawodowych uważają, że czas już znieść strefy płacowe jak również, np. u kolejarzy lub metalowców, dwie tabele płac, gdzie o zarobkach decydują nie kwalifikacje i wyniki, ale geograficzne położenie miejsca pracy. Czas równocześnie ujedynolicić stawki płac w tych samych zawodach i przy takich samych kwalifikacjach, inaczej zaseregowanych w różnych resortach. Zgodnie ze stanowiskiem naszych związków wystąpiłbym także o lepsze zaopatrzenie naszego województwa, zwłaszcza w artykuły żywnościowe, jak również o zrownoważenie praw pracowników samowolnych i fizycznych, wreszcie o przyznanie dodatków za wysługę lat.

Konieczne też jest szybsze i bardziej wrażliwe reagowanie na skargi i zażalenia.

Bolesław Semczuk

Prof. dr. hab. Bolesław Semczuk, dziekan Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Lublinie, specjalista otolaryngologii, jest członkiem PZPR od 1947 r. Wchodził w skład Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej w Lublinie.

— Gdyby spotkał mnie zaszczyt przemawiania na Zjeździe, zwróciłbym przede wszystkim uwagę na sprawy lecznicze. Postęp nauk medycznych jest tak dynamiczny, że każdy lekarz powinien stale przez całe życie szkolić się i podnosić kwalifikacje zawodowe. Zorganizowanie stałego szkolenia poddyplomowego dla wszystkich lekarzy z terenu naszego miasta należy w świetle Wytucznych na VI Zjazd PZPR do jednej z podstawowych funkcji uczelni.

Opieka lekarska — to problem sam w sobie. Osobiście wypowiedziałbym się przeciwko budowie w każdym powiatowym mieście szpitala z tzw. podstawowymi specjalnościami. Jesteśmy zbyt biedni, aby pozwolić na rozpraszanie sił i środków. Racjonalne wykorzystanie sił, kadry medycznej, środków, sprzętu i urządzeń, a także względy ekonomiczne nakazują budowanie szpitali dużych, nazwijmy je międzypowiatowych (dla dwóch, trzech, a nawet czterech powiatów), ale szpitali pełnoprofilowych, posiadających wy-

ższe reprezentowane obecnie specjalności lekarskie.

Rozpraszanie sił i środków obserwujemy również i w samej, ustalonej od lat organizacji lecznictwa. Mamy m. in. ogólnospołeczna służbę zdrowia, kolejową służbę zdrowia, przemysłową służbę zdrowia i kilka innych. Związek Nauczycielstwa Polskiego wywalczył np. własną „wojewódzka przychodnię laryngologiczną”. Nie mam przeciwko nauczycielom i chęć być dobrze zrozumianym, ale — mimo znacznej poprawy — oczekiwanie na łóżko w naszej klinice (poza nagłym przypadkiem) trwa przeciętnie około 3 miesięcy. Powoduje to, rzecz jasna, wiele gorczy i niezadowolenia. Gdyby niektórzy przedstawiciele władz powzięli chociaż połowę tej energii i czasu, jaki przeznaczają na zdobywanie miejsca w klinice dla swoich najbliższych — powołanie nowego 20-30 łóżkowego miejskiego oddziału laryngologicznego byłoby już faktem dokonanym. Jeśli bowiem tabeliska klinika otolaryngologiczna ma w pełni wykonać zadania konsultacyjne, szkoleniowe, naukowe, przeprowadzać unikalne zabiegi operacyjne, opracowywać nowe metody diagnostyczne i terapeutyczne, trzeba ją przede wszystkim odciążać z podstawowej pracy leczniczo-usługowej przez powołanie miejskiego oddziału otolaryngologicznego i to jest pierwszy warunek poprawy opieki specjalistycznej nad ludnością samego Lublina.

W ramach odnowy naszego życia we wszystkich dziedzinach, stawiania na odpowiedzialne stanowiska ludzi kompetentnych, sądzę, że należałoby jeszcze raz wnikliwie przeanalizować kwalifikacje wszystkich

ordynatorów, poziom udzielanych przez nich świadczeń lekarskich, zakres pracy oddziału, zakres wykonywanych zabiegów i operacji itd. Decyzje o powołowaniu ordynatorów oddziałów powinny leżeć w gestii Akademii Medycznej. Wówczas decydowałyby umiejętności i kwalifikacje, a nie — jak to się jeszcze niekiedy, niestety, zdarza ubocznie — w 1970 r. dokonano nowej obsady stanowiska ordynatorów drogą otwartych konkursów aż w czterech miastach powiatowych: Łukowie, Zamościu, Tomaszowie i Kraśniku. To dobra droga. Stanowiska objęli wykwalifikowani lekarze z II stopniem specjalizacji, zmagający za sobą niemal staż kliniczny.

I jeszcze jedna sprawa, którą warto by moim zdaniem uwypuklić. Wiele przepisów formalnych, istniejących w służbie zdrowia, przekładają w usprawnieniu lecznictwa. Czas wreszcie dojrzeć, aby odciążać lekarzy od wypisywania różnych papierków, ankiet, sprawozdań itp., które zabierają masę czasu.

Lecznictwo otwarte i zamknięte stanowi jedną, harmonijną całość. Obecne przepisy nie pozwalają jednak np. na oddelegowanie do pracy w szpitalu lekarza zatrudnionego w przychodni — w ramach tych samych godzin zatrudnienia. Nie pozwala to na w pełni racjonalne wykorzystanie kadry lekarskiej.

dużą czytelnią — znalazłby się pomieszczenia na kreslarnię dla studentów WSI i WSR. Obecna biblioteka międzyuczelniana posiada zaledwie 300 miejsc w czytelni — na 16 tysięcy studentów Lublina.

Lubelszczyzna należy do województw o charakterze rolniczym, więc warto rozpatrzyć projekt utworzenia — może przy WSI, może przy WSR — specjalności z zakresu przetwórstwa owocowego. Wymaga to pełnych nakładów inwestycyjnych, ale jest konieczne.

Dostrzegam również konieczność, w związku z zamiarem szkolenia poddyplomowego przy WSI, rozbudowy bazy uczelni, a więc pomieszczeń dydaktycznych i laboratoryjnych oraz aparatury. Uczelnia posiada plan inwestycyjny tylko do roku 1975, a co dalej? Potrzeba opracowania planu rozwoju WSI w latach następnych, planu wyznaczającego miejsca uczelni w regionie, jest chyba oczywiste.

Na koniec pragnę wskazać na to, że lubelskie środowisko uczelniane nie posiada dotąd przyzwoitej bazy wypoczynkowej.

Jeśli można powrócić do spraw generalnych: uważam, że współpraca wyższych uczelni z przemysłem nie jest prawidłowa, trzeba ją unormować, m. in. przez sformułowanie odpowiednich aktów prawnych i uruchomienie środków finansowych.

dzenia komunalne powinny być zbudowane wcześniej, jeżeli nie chcemy popełniać poprzednich błędów.

Z przykrością musiałabym przyznać, że w latach poprzednich nie zawsze wykorzystywaliśmy przyznane nam nakłady, a to z powodu nie najlepszej jakości dokumentacji jak i braku mocy przerobowej przedsiębiorstw specjalistycznych. W tym pięcioletniej sytuacji będzie korzystniejsza w obu dziedzinach. Z jednej bowiem strony rozbudowaliśmy własne biuro projektowe, z drugiej strony przedsiębiorstwa specjalistyczne gospodarki komunalnej zostały znacznie lepiej wyposażone w sprzęt. Myślę także, że wykorzystanie popelnionych przez nas błędów w latach poprzednich jak i nabytych w tym samym czasie doświadczeń pozwoli na pełne wykorzystanie przyznanych nam środków.



Z obrad Wojewódzkiej Przedzjazdowej Konferencji PZPR w Lublinie. Na zdjęciu zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Mieczysław Jagielski i sekretarz KW PZPR w Lublinie, Piotr Karpiuk.

MIECZYSLAW JAGIELSKI: Przetwarzanie w rzeczywistość programu Partii odbywa się każdego dnia, na wszystkich frontach naszego życia. I jest ono tym skuteczniejsze, im lepsza jest praca partyjnych organizacji, im czynniejsza, bardziej zaangażowana i ideaowa jest postawa członków Partii. Organizacje partyjne powinny stać się pulsującym ośrodkiem inicjatywy, organizatorem ludzkiego działania, rzecznikiem nowych metod pracy, sojusznikiem wszystkich, którzy aktywnie uczestniczą w realizacji programu Partii. Zadaniem wszystkich ogniw Partii jest konsekwentne działanie na rzecz celowego wykorzystania najcenniejszego bogactwa naszego narodu, jakim są talenty, wiedza, ideaowość i inicjatywa klasy robotniczej, chłopów i inteligencji polskiej.

PIOTR KARPIUK: Po VII Plenum KC w szeregach naszej Partii oraz między Partią a społeczeństwem rozwinęła się swobodna, niczym nie skreślona dyskusja. Pozwoliła ona poznać nastroje, dążenia i potrzeby ludzi i w podjętych decyzjach wyjść naprzeciw wielu sprawom poruszonym przez społeczeństwo. Naszym zadaniem — zadaniem wszystkich instancji i organizacji partyjnych — jest utrzymać i pogłębiać dorobek dyskusji, ten klimat swobodnej wymiany poglądów i ostry, lecz odpowiedzialnej krytyki wszystkich braków i niedomagań. Nie można tej krytyki i swobodnej wypowiedzi traktować jako przejściowego stanu w życiu Partii i narodu, będzie to zasada stosowana wszędzie i zawsze, na każdym szczeblu i w każdym środowisku. Jest to najbardziej skuteczna metoda zaangażowania ludzi pracy do współzrządzania swoimi zakładami i placówkami, swoją gromadą, powiatem, województwem, swoim krajem.



Z obrad Wojewódzkiej Przedzjazdowej Konferencji PZPR w Lublinie. Pracuje zespół kształtowania postaw ideowych, kształcenia, upowszechniania kultury i informacji. Przemawia Jan Szklarz.



Delegatem Lubelszczyzny na VI Zjazd jest również Jerzy Putrament. Podczas przerwy w obradach Konferencji prosił go niejednokrotnie o słowne autografu na „Bohaterów”...
Fot. J. Trembecki (GAP)

Marian Sońta

Marian Sońta, sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR przy WSI, starszy wykładowca, kierownik pracowni Technologicznej Budowy Maszyn, doktor inżynier, absolwent Politechniki Częstochowskiej — Wydziału Budowy Maszyn, urodzony w 1935 r. w Chotczy Dolnej, woj. kielecki, w Lublinie od 1961 r., początkowo w Fabryce Samochodów Ciepłowych, od 1963 r. w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie.

— Uważam, że szczególnej doniosłości nabiera problematyka, mieszcząca się na dwóch poziomach, kształcenia kadr specjalistów bezpośrednio wpływających na rozwój naszego życia gospodarczego, decydującego ostatecznie o pozycji Polski w świecie, decydującego o tym, czy potrafimy znaleźć własne i ważne miejsce w czasie rewolucji naukowo — technicznej.

Tak więc, patrząc z pozycji niejako panoramicznej, chciałbym zaakcentować potrzebę zreformowania studiów inżynierskich, konkretnie, przedłużenia ich do czterech i pół roku. Obecnie studia te trwają trzy lata i osiem miesięcy i w żadnym wypadku nie prowadzą do optymalnego kształcenia przyszłych inżynierów.

Alina Tylutki

Pochodzi z woj. rzeszowskiego. Po ukończeniu Wydziału Inżynierii Sanitarnej Politechniki Warszawskiej przez 12 lat pracowała w Hucie Stalowa Wola, od 1957 r. w WKPG w Lublinie, od 1 stycznia 1970 r. jest zastępcą dyrektora do spraw technicznych w Wojewódzkim Zrzeszeniu Gospodarki Komunalnej. Członkiem Partii jest od 1962 r., od kilku miesięcy zastępca członka KW PZPR.

— Mówiłabym, oczywiście, o gospodarce komunalnej. Jej głównym celem jest zapewnienie mieszkańcom miast odpowiednich warunków bytowych. A w związku z gwałtowną urbanizacją naszego województwa jest to sprawa o kapitalnym znaczeniu. Na Lubelszczyźnie tylko 51 proc. mieszkańców miast korzysta z wodociągów, 37 proc. z kanalizacji, a 24 proc. z gazu — w tym zaledwie 16 proc. z gazu przewodowego. Dane te świadczą o nienadążaniu w latach poprzednich gospodarki komunalnej

za postępującą urbanizacją. Trzeba również dodać, że taka sytuacja determinuje nie tylko budownictwo mieszkaniowe, ale także aktywizację gospodarczą miast.

Intensyfikacja podstawowych inwestycji urządzeń gospodarki komunalnej w naszym województwie jest więc konieczna, przede wszystkim jeżeli chodzi o uzbrojenie terenów pod budownictwo mieszkaniowe i dotkliwie deficyt wody w wodociągach. Niestety, Lublin otrzymał nowe ujęcie dopiero w 1974 roku, chociaż okazuje się, że nowe źródła są o przeszło półtora wydajniejsze niż to początkowo określano.

Na bieżącą pięcioletnią województwo otrzymuje 1 240 mln zł, czyli 213 mln zł więcej niż w poprzedniej — ale trzeba pamiętać, że w skutek wzrostu cen rzeczowo sumy te pokrywają się. Posuwalibyśmy więc na Zjeździe o przyznanie nam dodatkowo 300 mln zł, a co zresztą wystąpiłoby już droga służbowa. Te dodatkowe nakłady są potrzebne głównie na uzbrojenie terenów pod budownictwo mieszkaniowe w Lublinie w dzielnicach Czechów i Felin. A budownictwo mieszkaniowe ma tam być realizowane w latach 1976-77, więc urzą-

STO CZYNIA SZCZECIN

Ireneusz J. Kamiński

ZLUBLINA? — Interesują nas wasze sprawy... — Ja myślę, że trzeba rozmawiać szczerze, bez demagogii i wrzasku, ale szczerze. Bo jak nie, to ludzie znów machną ręką i zaskorupią się w sobie. Ja myślę, że jeszcze nie wszędzie jest klimat do szczerych rozmów. Zebranie będzie o trzeciej, proszę bardzo... Witek Marian jest, traser na wydziale zbrojenia i wyposażenia pochylniowego, około 240 ludzi w samej produkcji, członków partii czterdziestu. Do zobaczenia.

Komitet Zakładowy Partii mieści się w budynku dyrekcji Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego. Jest to obiekt niezbyt okazały, trzykondygnacyjny, pokryty szarym tynkiem. W środku ciasno, korytarze flankują rzędy klitek biurowych, uzyskanych metodą mnożenia przepięknie. Komitet dysponuje trzema pokojami, w jednym z nich czekam na pierwszego sekretarza Mieczysława Dopierala, który gdzieś tu w pobliżu być musi, na pewno zaraz nadejdzie. Trzeci sekretarz, Józef Zieliński, może 38-letni, średniego wzrostu, proponuje mi tymczasem udział w zebraniach partyjnych na takich to, a takich wydziałach. Wybór niewielki, to już ostatnie zebranie otwarte, delegaci na konferencję wojewódzką dawno wybrani. Dopierala przedstawi wnioski stoczniowców na Zjeździe, codziennie radiowoziel informuje załogę o problemach i sprawach drobniejszych, tak że i na frekwencję liczyć zbytnio nie należy. Co ludzie mieli do powiedzenia, to już powiedzieli, wnioski zebrano kilkaset...

W drzwiach staje mężczyzna w ortalonie, pozdrawia, siada przy

biurku i mówi do Zielińskiego: — Wrobiliście mnie w to szkolenie. Czternaście tematów, a niektóre mi nie leżą, poza tym tak chytrze je sformułowaliście, że w jednym i trzech można się doliczyć.

Sekretarz pochyla się nad lektorem i cierpliwie tłumaczy, zgadza się i nie; rozstają się w atmosferze wzajemnego zrozumienia.

Maciaszyczek z Zakładu Transportu dziwi się, podkreślając jakieś nazwisko na harmonogramie zebrań, że ten właśnie ktoś z egzekutywy ma być na otwartym zebraniu partyjnym ZT. „Ja go nigdzie nie widziałem, a przecież on powinien mnie szukać, nie ja jego, nie?” Sekretarz Zieliński jest podobnego zdania.

Mieczysława Dopierala nie ma. Od stycznia, kiedy wybrano go pierwszym sekretarzem Komitetu Zakładowego, a właściwie od grudnia ubiegłego roku, wolny czas młodego, bo zaledwie 37-letniego dziś człowieka, skurczyła się gwałtownie. Stocznia powiedziała „Pomóżmy!” nie tak sobie, dla wiwatów: w ciągu trzech kwartałów tego roku zbudowała 12 statków, zamiast planowanych 11, i zwodowała 13 kadłubów, zamiast planowanych 11. W ramach czynu produkcyjnego dała produkcję wartości 77 milionów złotych. Wydajność pracy wzrosła niemal o 12 proc. w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku. W połowie roku była pierwsza we współzawodnictwie Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, wyprzedzając Gdańsk i Gdynię. Nie ulega wątpliwości, że do końca roku wszystkie zobowiązania zostaną zrealizowane: wartość produkcji globalnej będzie wyższa o 100 milionów złotych, a statek — symbol opuści pochylnię czterdzięci dni

przed terminem. Więc ludzie nie mają czasu, nie ma czasu Mieczysława Dopierala, człowiek na domiar wszystkiego żonaty i dzieciaty.

Miał szansę znaleźć się w legendzie, lecz chyba nigdy w jej politycznej kręgi nie trafił. Bo jest zwyczajny, tak zwyczajny, że życiorys tego żeglarsko-amatora, od niedawna dopiero w randze wieckomandora, mógłby posłużyć jako wzorzec wyjściowy programu jakiegoś komputera biograficznego, gromadzącego informacje o karierach i losach rodaków dojrzewających w Polsce Ludowej.

Urodził się w Inowrocławiu, gdzie też w latach pięćdziesiątych otrzymał dyplom technika samochodowego. Zaraz potem pracował w PKS. Był aktywistą ZMP. Do partii wstąpił w 1960 roku — również w Inowrocławiu — ładnym, banalnym uzdrowisku. Dwa lata później znalazł się w stoczni szczecińskiej, pracując na stanowisku monterza maszyn, następnie technologa i starszego technologa. Szybko awansował, bo był z pomorska pracowity, znał swój zawód, miał znaczny zmysł organizacyjny; jego wnioski racjonalizatorskie dotyczyły usprawnień organizacji prac monterskich w W-2. Ostatecznie zaczął kierować biurem fabrykacji w wydziale obsługi i zdawania statków W-6. Przez dwie i pół kadencji pełnił funkcję sekretarza OOP w W-2. Normalny, pracowity życiorys. A potem był Grudzień i Mieczysława Dopierala — rzetelny, rozważny i odważny organizator — uznany został przez rozdygotaną załogę za człowieka godnego najwyższego zaufania.

Na VI Zjeździe będzie reprezentował 10-tysięczną załogę stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie; są

to ludzie dość młodzi, średnia wieku nie przekracza 32 lat, większość kadry inżyniersko-technicznej (ok. 1200 osób) zdobyła wykształcenie już na uczelniach Polski Ludowej. Zawlezie do Warszawy wnioski dotyczące rotacji kadr kierowniczych partii, reorganizacji systemu plac, rekreacji i lecznictwa, wysokości składek partyjnych, aktualizacji statutu.

W-O mieści się na terenie ośrodka „Wulkan”, który ze zniszczeń wojennych zaczęto odbudowywać dopiero w 1957 roku. Jeszcze w trakcie prac inwestycyjnych na jednej z pochylni rozpoczęto budowę pierwszego „dziesięciotysięcznika” — m/s „Janek Krasicki”.

Ciasno tu dziś, obiekty stoją blisko siebie, między nimi leżą sterty materiałów, w halach równie tłoczno. Sytuacja zmieni się zasadniczo przy końcu bieżącej pięcioletki: plan inwestycyjny stoczni na lata 1971—75, opracowany w oparciu o wtyczne Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, a zamknięty kwotą 1 i milarda 197 milionów złotych, obejmuje m. in. pierwszy etap rozbudowy ośrodka obróbczo-prefabrykacyjnego i „Wulkanu” wraz z zapleczem socjalnym i magazynowym. Założenia techniczno-ekonomiczne rozbudowy stoczni opracowywane są obecnie przez gdański „PROMOR”.

Cały polski przemysł okrętowy otrzyma w bieżącym pięcioletcu 7 miliardów 160 milionów złotych na inwestycje, przede wszystkim na rozbudowę i modernizację stoczni oraz przedsiębiorstw pomocniczych, zakup maszyn i urządzeń, znaczną poprawę warunków socjalnych załóg.

Starszy mistrz W-O, Jan Tujaka, prowadzi rower i dziennikarza, który pyta o temperaturę emocjonalnych związków barczystego mężczyzny ze stoczną, ze Szczecinem, pyta o to, bo mieszka w Lublinie.

— Ja patrzę realnie. Mieszkam tu od 1947, przysłany z Gdańska do odbudowy tej stoczni. Najmłodszy syn urodził się w Szczecinie, kończy Politechnikę, reszta dzieci po studiach, sam skończyłem wieczorowe Technikum Budowy Okrętów. Tylko ten klimat reumatyczny...

Krótkie schody prowadzą na piętro, mijamy rozbitą zegar kart kontrolnych. Stołówka: wąskie stoły z ławami bez oparcia, wysokie stoły z umocowanymi na stałe siedzeniami, pod sufitem niebieski fryz biegnący za rękami, gdzieś niedaleko donieki z kwiatami. Pod ścianą mały stolik przydialny pokryty czerwono-

nym płótnem, na ścianie flaga biało-czerwona z godłem narodowym.

Zebranie otwiera sekretarz OOP, Marian Witek, delegat na konferencję wojewódzką, który 20 października, podczas konferencji zakładowej, domagał się m. in. zaostrzenia wymagań wobec kadry kierowniczej różnych szczebli. Średniego wzrostu, szczupły, lat 37, od 1953 r. w stoczni, w trakcie pracy ukończył Technikum Budowy Okrętów.

— Witam też dziennikarza z Lublina, który przyjechał kawal drogi, bo ich tam, na Lubelszczyźnie, nasze sprawy interesują.

W sali około czterdziestu mężczyzn, w większości młodych, żadnej kobiety.

Teraz inżynier Jan Lasek, kierownik wydziału — 42 lata życia, z czego 19 w stoczniach, 8 w Szczecinie; niebieski sweter pod szyję — czyta informację o sytuacji produkcyjno-gospodarczej stoczni za 9 miesięcy br. i przewidywanych wynikach do końca roku...

„Plany wykonywane są z nadwyżką, znacznie wzrosły płace (np. spawacze zarabiają w akordzie o 400—500 zł więcej miesięcznie), w latach 1974—1976 ostatecznie zlikwiduje się deficyt pomieszczeń socjalnych dla załogi, opracowany właśnie „Program socjalny” akcentuje niełatwy problem budownictwa mieszkaniowego, który w najbliższych latach będzie przeciętą rozwiązany. Plany przewidują — w roku przyszłym, za dwa lata — budowę przyzakładowej przychodni zdrowia, domu kultury z halą widowiskową na 1000 osób, przejście i rozbudowę ośrodka sportowego przy ul. 1 Maja, wzniesienie trzech przedszkoli i dwóch żłobków...”

Uczestnicy zebrania znają chyba te zamierzenia i fakty, bo informacja kierownika nie wzbudza specjalnego zainteresowania, ktoś z tyłu szeleszcze gazetą. Za ścianą dobiega drażniący szum maszyn.

— Na konferencjach zakładowej i dzielnicowej — wstaje Witek — dyskutowano sprawę skrócenia tygodnia pracy do pięciu dni. Jeśli w innych krajach socjalistycznych mogą sobie na to pozwolić, to dlaczego nie u nas? O, tu, w ostatniej „Polityce”, piszą na ten temat: na Węgrzech pracują osiem i pół godziny dziennie, ale pięć dni. Urzędnicy nie, tylko robotnicy, żeby klasa, która wytwarza podstawowe dobra, miała lepiej. Takie przejście wymaga jednak całej reformy. Nie chodzi o to, aby nasze postulaty pozostały postulatami.

Ludzie i kopalnie

Dokończenie ze str. 1

„Słucham dalej: „Swoją obecną żonę poznałem tutaj. Ona pochodzi z Zywotkiego, tam też trudno było się oprać, przyjechała do Wesolej i pracowała na wierzchu w zakładzie przerobczym kopalni. Ale ja już zarabiałem wtedy do 4000 zł, za dwa można wyżyć, a dwa na co innego. Więc jak się po-braliśmy, przestała pracować, wychowuje dzieci, jeden syn w piątej klasie, drugi w trzeciej. Na mieszkanie zakładowe czekaliśmy tylko pół roku i to był szczęśliwy zbieg okoliczności. Mieszkałam więc, jak pan widzi, w pokoju z kuchnią, a pokój przedzielł kotarą, żeby można telewizję oglądać, kiedy chłopcy śpią. Czekam teraz na większe mieszkanie w spółdzielni. Zarabiam dziś ponad 6000 zł. Czy myślę o studiach? Obecnie wszędzie się ludzie uczą, sporo osób z kierownictwa kopalni zaczynało od fizycznych. Ze dwa lata jednak musiałbym odpocząć, w domu wciąż gościem jestem, łóżka na kopalnię nie wyniosę, a trzeba by. Hobby? Właściwie nie mam, czasu brak. Dziełki też nie mam, o samochodzie może pomyśleć, jak się życie usabilizuje. Trochę kleję modele samolotów. A najbardziej lubię turystykę — tam, gdzie cicho i zielono. Często urlopu pomagam ojcu w gospodarce, a część z rodziną nad morzem albo w górach. Przyjechał? Nie wiem, czy chciałbym, żeby chłopcy byli górnikami, każdy chce dać lepsze warunki dziecku. Swojego tyca nie widzę poza kopalnią i poza Śląskiem, chyba żebyście w Lubelszczyźnie wybudowali piękną kopalnię, to może być i pojechać. Jak mnie stać pamięć? Tak zakończył rozmowę i trudno mi teraz dociec, czy ostatnie stwierdzenie było tylko kurtuazyjnym dowcipem.

Stanisław Cmielewski ma obecnie 32 lata, pracuje w specjalnej, przodującej brygadzie, która szybkością dostrzegania chodników, stosując nowoczesne zmechanizowane wrębospoły, Cmielewski jest I sekretarzem oddziałowej organizacji par-

tyjnej (już drugą kadencję), członkiem plenum Komitetu Zakładowego PZPR oraz delegatem na VI Zjazd PZPR.

Na konferencji samorządu robotniczego kopalni „Wesola II”, dnia 27 V 1968 roku, pada stwierdzenie: „Kopalnia przeżywa okres przemłowy w całym tego słowa znaczeniu — po kilkuletniej depresji wyszła ona z impasu, od kilku miesięcy wykonuje zadania planowe, a nawet poważnie je przekracza”. Początek odnowy, w rozmaitym zresztą sensie. W każdym razie w tym właśnie roku zaczyna się mechanizacja podstawowych procesów produkcyjnych: urabiania i ładowania węgla. Uruchomiono też nowoczesną dyspozytornię zakładu. „W Wesolej dobrze się dzieje” — donosi tytuły śląskich gazet. Od roku 1963 kopalnia ma regularnie najwyższe wydobywcę węgla oraz najlepszy wskaźnik wydajności pracy w polskim przemyśle węglowym. 27 I 1967 roku nadano jej imię Lenina, który to akt jest sankcją szlachetną rangi zakładu.

Równoległe bieżnie proces inny, aczkolwiek bezpośrednio związany z rozwijającą się kopalnią. Miastotwórcza rola wielkiego zakładu i rozbudowa urządzeń socjalnych dla załogi. W 1958 roku ulice osiedla poczynają pokrywać się asfaltem, widać pierwsze zieleńce na poboczach. 1960 — przebudowa i modernizacja nieużytecznej parowozowni na kino-teatr „Dar Górnik” w Wesolej oraz zakup 6-piętrowego bloku mieszkalnego w pobliskich Tychach. 1962 — dom towarowy i apteka (w Wesolej, która od 7 VII tego samego roku posiada już prawa miejskie). 1964 — stadion sportowy i boiska treninowe. 1966 — kryty basen z ośrodkiem hydroterapii na terenie kopalni, a także o-



Stanisław Cmielewski — delegat na VI Zjazd PZPR z kopalni „Lenin”.

środek wczasowo-kolonijny w miejscowości Zawoja. 1970 — zakład leczniczo - zapobiegawczy w Wesolej. Lata 1968 — 1970 to budowa 1534 izb mieszkalnych dla załogi (w Wesolej i Tychach), co zlikwidowało hotelowe baraki. 1971 — ośrodek sportów wodnych i kąpielisko.

Dla osady Wesola i dla kopalni „Wesola II” dawno się już skończył okres pionierskiej prowizorki. Teraz to pierwsza w kraju kopalnia „Lenin”, której obszar górniczy pod ziemią ma 26 km, zaś nad ziemią rośnie nowoczesne miasto. Dowody stabilizacji na każdym kroku. Dawniej fluktuacja załogi dochodziła do 70 proc. stanu zatrudnienia, zaś 30 proc. było pracowników niewykwalifikowanych. Analogicznie za rok 1970 — tylko 13 proc. stanu zatrudnienia, 26 proc. niewykwalifikowanych. Chociaż duża część pracowników pochodzi spoza Śląska (Krakowskie, Rzeszowskie, Lubelskie...) i chociaż około 20 proc. pracowników fizycznych i tyle samo umysłowych nie przekroczyło 30 lat życia — blisko 70 proc. całej ponad 6-tysięcznej załogi ma staż pracy ponad 5-letni. Boć i zarabia się tutaj dobrze: średnia płaca robotnika dotowego — 5220 zł, górnik przodowego — 6250 zł, górnik na ścianie — 6700 zł, a i na powierzchni robotnik zarabia średnio 3190 zł.

Ciężko laikowi mówić o skomplikowanych procesach produkcyjnych nowoczesnej kopalni, choćby się nawet im nieco przyjrzał i choćby o nich wiele usłyszał. W „Leninie” są dosyć skromni. Czy to najnowocześniejsza kopalnia w Polsce? — pytam. Czy to kopalnia przyszłości? Chyba nie — odpowiadają. W sprawie przyszłości musiałby się pan udać do kopalni „Jan”, my w każdym razie jesteśmy kopalnią aktualnie najbardziej zmechanizowaną. I dalej już mniej skromnie, ale zgodnie z prawdą: dzięki temu, choć nie posiadamy największej w kraju załogi, osiągamy jednak najwyższe bezwzględne wydobywcę węgla oraz najwyższe wskaźniki wydajności pracy.

Mechanizacja, którą wprowadzono stopniowo i nie bez oporów części załogi, bojącej się utraty zarobku, polega głównie na tym, że na wszystkich ścianach kopalni urabianie i ładowanie węgla odbywa się przy pomocy kombajnów (produkcji polskiej). W przypadku pięciu ścian wydobywczych zastosowano kompleksowe zmechanizowanie, czyli za kombajnami posuwają się obudowy przesuwane, które wyparły już nie tylko obudowy drewniane, lecz wyperają nawet obudowy stale metalowe. Praca ludzka jest przy tym systemie lżejsza, aczkolwiek nadal jeszcze

rów zdobytych przez kopalnię „Lenin”, dobrze i z czystym sumieniem wypełniłem żartobliwe polecenie naczelnego dyrektora zakładu, Juliusza Grońskiego: niech pan trochę zareklamuje naszą kopalnię na Lubelszczyźnie, mamy tutaj przyzakładową szkołę górniczą, do której nie zawsze jest komplet kandydatów, a kto wie, czy młodzież lubelska nie powinna o tym zawodzie pomyśleć, jakiś internat też by się znalazł...

Jak mi poradono — w sprawie dalszej przyszłości, której na imię już nie tylko mechanizacja, ale także automatyzacja, udałem się do zaautomatyzowanej doświadczalnej kopalni „Jan” w Katowicach, aby obejrzeć to, czego zawiąski i w kopalni „Lenin” można dostrzec (wyprobowany w „Janie” kombajn KDS czy — w nieco odleglejszej perspektywie — zbiorniki rewersyjne). Bo „Jan” nie ma zadań produkcyjnych, lecz badawcze — jako poligon dla wprowadzania nowych rozwiązań, przede wszystkim tam, gdzie w kierowaniu mechanizmem może człowieka zastąpić automat.

Przez bramę główną dostaje się konwencjonalnie, wylegitymowany na okoliczność pozwolenia. Nie wiem wszak, że moje wejście śledzi kamera telewizyjna, a całość obserwowana jest przez inżyniera ruchu na jednym z ośmiu monitorów w centrum zarządzania kopalnią. Z początku pesze się nieco, bo gdy wkraczam do budynku administracji, „same” drzwi się otwierają przede mną (pewnie jakaś fotokamera działa). Dalej, już bez przegód, idę właśnie do centrum zarządzania, oprowadzany i objaśniany aż do skutku przez inż. Kulczyckiego, głównego specjalistę do spraw organizacji i zarządzania.

Na dole nie byłem, wierzę wszak, że urządzenia kompleksowej obudowy ścian poruszane są przez automaty (o dziwo spełniają głównie funkcje konserwatorów), skoro widziałem, jak maszyną wyciągową skłupa można jednym przekroczeniem dźwigny przesunąć na sterowanie automatyczne. Serce i mózg kopalni znajduje się jednak w centrum zarządzania, czułym punktem pomiarowym, gdzie pulpity rozmatyły bez pulpitu pulpitu główny — do sterowania łożyskami na dole (maszyna cyfrowa przekazuje na monitor tego pulpitu raporty — o zmianowy, dobowy lub na ładanie — o stanie kopalni; aktualnie wydobywcę, miejsce kombajnu, spełnienie zbiornika, pozycja skłupa). Dalej — aparatury „Janton”, dosyć niebezpieczna, bo przy jej pomocy dyrektor w każdej chwili może przywołać pracownika, który zna

— Trzeba będzie przestawić pracę szkół, ślubków, handlu, zmienić komunikację — dodaje Zbigniew Mańkowski, człowiek młody, może 26-letni. — Po wprowadzeniu pięciodniowego dnia pracy w NRD, w samym Berlinie naniesiono 1500 poprawek do rozkładu jazdy autobusów, a w Szwecji uruchomiono tysiące automatów z żywnością. A wyjazdy na trawkę? Takie zmiany wymagają czasu i roboty.

— Nie ma co tu dyskutować — przerywa członek prezydium. — Tak się dzieje w innych krajach socjalistycznych, a my nie jesteśmy tak zacofani, żeby nie podpatrzeć i przyjąć dla siebie.

— Są tacy, co za to pieniądze biorą — popiera ktoś z sali.

Szumia maszyny za ścianą, w schłodzonej stołówce — „za ciasną” — nikt już gazetami nie szesze, nikt nikogo do dyskusji zachęcać nie musi. Ludzie mówią: o zaniedbaniu dzielnicy „Szczecin nad Odrą”, o potrzebie nowych szkół, o konieczności usprawnienia komunikacji i zmiany granicy wieku emerytalnego, o niepokojącym stanie BHP, o celowości przedłużenia urlopów macierzyńskich i skróceniu dnia pracy kobiet do 4-6 godzin, o tym, aby mieszkania budowano większe, usprawniono transport wewnątrz stoczni, lepiej zaopatrywano kioski i bary, „bo o godzinie jedenastej w barach nie już nie ma na ciepło, bułek nawet nie ma, oranżady nie ma”.

— Wczoraj było spotkanie z wicepremierem Kaimem — mówi w pewnym momencie Roman Pawełek, aktywista partyjny i brigadziśta gawerni. — Powiedział, że partia nie chce działać sama dla siebie, dlatego m. in. „Wytyczne” przedstawiono pod dyskusję całego narodu, że nasze plany zależą od wykonywania planów, że z funduszu zakładowego nikt nam grosza nie zabierze. A fundusz, jak chyba wszyscy wiecie, osiągnęliśmy największy w historii zakładu — 32 miliony. Szkoda, że tak mało dziś na zebraniu bezpartyjnych. Ale organizacja informuje przecież o swoich pracach.

— Ja jeszcze w sprawie pięciodniowego tygodnia pracy. Chcemy tę samą pracę brać za krótszą robotę, więc zastanówmy się, jak robić, aby sensownie skrócić ten tydzień. Moim zdaniem, wszystko będzie zależało od organizacji pracy. To nie sztuka wziąć i żądać, warto zapytać, skąd państwo ma siłę brać — zakończył Józef Przybyło.

— Właśnie — śladem przedmówcy ostro poszedł Stanisław Kantor,

mistrz gospodarski, lat 41, 18 lat pracy w stoczni. — Jak jest z dyscypliną pracy? Czy w stoczni też nie lekceważy się materiałem? Dziś w nocy zdemastowano zegar kontrolny w hall, jakby człowieka na mieście napadnięto! Ludzie są silni dzisiaj, kręcą na wszystkie strony, kraty w szatni wylamali. Daje się ludziom sio, a otrzymuje czterdzieści! Warunki wszystkich ludzi pracy trzeba poprawiać, nie tylko stoczniołowców.

Mistrz Janusz Jędrzychiewicz dopowiada zza stołu prezydijskiego:

— Co z takiego robotnika, co polową materiał niszczy?! A co z takiego dyrektora, co na każdym stanowisku się nie sprawdza, a mimo to znów mu dają fotel?! Mam wniosek: poruszyc na konferencji sprawę odpowiedzialności na każdym szczeblu.

Wypowiedzi są coraz krótsze, rwane, coraz cieplej robi się w stołówce... Cisza.

— Myślę — Witek zmierza do zakończenia zebrania — że wnioski wpłyną do Komitetu Zakładowego, bo tam działają odpowiednie komisje problemowe... Jak nie ma dalszych wniosków, to...

— Ja mam wniosek — wtrąca szybko ktoś młody. — Niech ta nasza dzisiejsza komisja opracuje wnioski i da do zatwierdzenia egzekutywie. Żeby jeden nie robił tego!

— Tak będzie.

Wychodzę z grupą towarzyszy z Oddziałowej Organizacji Partyjnej przy W-O. Na przystanek podjeżdża tramwaj „1”.

— Do widzenia! Trzymajcie się tam wszyscy! — słyszę.

...

Wydział K-1 znajduje się niedaleko bramy głównej do stoczni. Jest to wydział czysto produkcyjny, prowadzi się na nim prace związane z obróbką kadłuba.

Przez wszystkie pochyłnie stoczni przesunęło się w minionym dwudziestoleciu 209 kadłubów, z których wyrosły statki o technologii budowy odpowiadającej wymogom towarzyszy klasyfikacyjnych, takich jak Moraki Rejestr Statków, Lloyd's Register of Shipping, Polski Rejestr Statków. Łączny tonaż tych 209 jednostek przekroczył 1 milion 500 tysięcy ton nośności. Stępkę pod pierwszy statek pełnomorski, parowy rudowęglowiec „Czułym” (3200 ton) budowany na zamówienie armatora radzieckiego, położono 18 sierpnia 1931 r. W maju br. przekazano do eksploatacji dwusetne

działo Szczecina, 32-tysięcznik m/s „Obrońcy Poczty”.

Statki „Warskiego” pływają pod banderami trzynastu państw, niedawno Meksykanie nadesłali list gratulacyjny jako dowód uznania dla walorów masowca m/s „Azteca”, rodem ze Szczecina. Znakomite wyniki osiąga stocznia w produkcji, przede wszystkim na zamówienia Związku Radzieckiego, różnych typów statków naukowo-badawczych. Hydrograf „Mikołaj Zubow” jest statkiem flagowym służby meteorologicznej ZSRR, a „Wasilij Golowin” wylądował z morza automatyczną stacją kosmiczną „Sonda-5”. Rewelacyjne w skali światowej okazało się rozwiązanie statku szkolno-towarowego. Przeznaczony do szkolenia słuchaczy szkół morskich wszystkich specjalności, może również przewozić drobnicę, ładunki masowe, płynne i chłodzone.

Według informacji dyrektora naczelnego stoczni, mgr. inż. Leszka Bednarskiego, w bieżącej pięcioletniej pracy wykona tyle zadań produkcyjnych, w przeliczeniu wartościowym i tonażowym, ile wykonał dotąd — w okresie dwudziestoletniego istnienia zakładu...

Zebranie na K-1 otwiera sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej, Mieczysław Dmochowski, starszy mistrz wydziału, 38 lat życia, 20 lat pracy, brunet średniego wzrostu.

Przy trzech rzędach świetlicowych stołów, nakrytych zieloną tkaniną, siedzą 34 osoby, w tym trzy kobiety.

Kierownik wydziału, inżynier Józef Głód, informuje o przekraczaniu planów produkcyjnych i wzroście zarobków. Jakość pracy jest jednak gorsza, niż w ubiegłym roku, omijanie przepisów BHP powoduje groźne wypadki — jeden był śmiertelny — zdąża się, że ludzie przychodzą pijani do pracy.

Ma być dyskusja, lecz jest cisza, więc od stołu prezydijskiego wstaje sekretarz Komitetu Zakładowego, Józef Zieliński.

— Zaskoczony jestem milczeniem, przecież istnieje tyle ważnych spraw wartych przegadania. Na przykład BHP: stan jest bardzo zły. W rezultacie pogoni za zarobkiem, czy z nawyku lekceważenia przepisów? A sprawy polityczne: według oceny dyrekcji i organizacji partyjnej sytuacja polityczna w stoczni jest zadowalająca. Ale przecież niektóre jednostki występują w sposób demagogiczny. Nie możemy sobie pozwolić na to, aby te jednostki narzucały wolę większości. Na spot-



16 listopada 1 sekretarz KC PZPR, Edward Gierk, znów odwiedził szczebiśkich stoczniołowców. To zdjęcie fotoreporter CAF-u zrobił na wydziale kadłubowym Stoczni Im. A. Warskiego.

Fot. Dąbrowski

kaniu z Gierkiem udzielił mi poparcia polityce Partii i rządu, to zobowiązuje... Zaskoczony jestem stanem dyscypliny na wydziale, a przecież i w małżeństwie trzeba się podporządkować pewnym rygorom. Niektóre osoby przychodzą do pracy pijane, a przedstawiciel organizacji społecznej usiłuje ich bronić. Chciano takiego jednego wyrzucić, to polecił do dyrektora. I co się okazało? Osem czy dziewięć razy w ciągu roku opuścił pracę bez usprawiedliwienia. A co na to przewodniczący rady oddziałowej? Wielec co... Oceniajcie działalność swoich czynników, jak ja robię źle, to mi powiedzcie. Nie może być tak, że z kumplem wypil, to kumpla broni.

Cisza.

Lecz po tej chwili powszechnego milczenia rozwinęła się dyskusja wszechstronna, nie pozbawiona kontrowersji. Dotyczyła wyłącznie zagadnień socjalnych, bytowych, organizacji pracy. Wypowiadano się zatem, często krytycznie, o BHP w wydziale, o odciążeniu kobiet przez zniknięcie godzin pracy, o służbie zdrowia, premiach, przygotowaniu produkcji. Jeden z towarzyszy zwrócił uwagę na małą liczbę uczestników zebrania.

— Prawda — odpowiedział w tym miejscu sekretarz Dmochowski. — W stosunku do nieobecnych towarzyszy możemy wyciągnąć wnioski partyjne, lecz do bezpartyjnych nie mamy dostępu. Ale kogo to nie ma jeszcze? Nie ma przewodniczących

rady oddziałowej i robotniczej, taka z nimi współpraca! Wszyscy wiedzą, że jej nie ma. Z członkami rady oddziałowej pracować można, z przewodniczącym nie, ja to zgłaszałem w Komitecie Zakładowym. Jeśli ja jestem niewygodny jako sekretarz, to odejdę! Wszyscy popelniamy błędy, ale mówmy o nich tu, na zebraniu, a nie w biegu.

— Uważam, że sprawę współpracy organizacji społeczno-politycznych na naszym wydziale trzeba postawić na zebraniu ogólnym, 17 listopada. Trzeba to wszystko wyjaśnić.

...

Wyszedłem ze stoczni wraz z mistrzem z wydziału W-O, który od dwudziestu lat pracuje w stoczni.

— Tak to wygląda u nas, w innych wydziałach jest zupełnie inaczej, ludzie potrafili się dogadać, szanują dyscyplinę.

...

Nie jest moim zadaniem, jako dziennikarza, rozsądzać racji. Ludzie w stoczni szczebiśkiej dyskutują, stawiają wnioski, które dotrą na Zjazd, na konferencję wojewódzką. Ludzie czegoś chcą? Zabrzmij to jak frazes, ale powiem: chcą, żeby było lepiej. Komu? Im samym. Ale zobowiązania o wartości 100 milionów, które rzetelnie realizują, te między innymi świadectwa politycznego wyboru przekonywają, że owo „lepiej” otwiera się perspektywą ogólnonarodową.

duje się nawet daleko poza zakładem (jeśli tylko pracownik posiada przy sobie małe odbiorniki w kształcie długopisu — obecnie właśnie się to wprowadza — „długopis” buczy wpięty, a następnie przemawia dyktorskim głosem). Pulpit konferencyjny — można rozmawiać równocześnie z 30 abonentami w kopalni i w mieście, tak że wszyscy siebie wzajemnie słyszą. Pulpit automatycznego sterowania wentylacji, sprzężony z systemem czujników wrażliwych na dym (ewentualność pożaru), mogący odciąć zagrożony odcinek od dopływu tienu.

Są to w większości urządzenia nawet nie prototypowe, ale wręcz modelowe, tyle że czas szybko płynie w tej kopalni, jutro mogą się okazać prototypowe, a pojutrze znaleźć w kopalniach produkcyjnych. Jedno jeszcze zapamiętałem — maszyna posiada możliwość decyzji, lecz w każdej chwili człowiek może ją unieruchomić i decydować na własną odpowiedzialność, co już całkiem ujęło moje humanistyczne, przerażone serce. Zatem jeszcze trochę socjologii stosowanej: załoga w 80 proc. ma wyższe i średnie wykształcenie, przeciętna wieku — 31 lat. Dziś coraz częściej na dole pracują na etatach fizycznych ludzie o średnim wykształceniu technicznym.

Leszek Siemionek urodził się w roku 1937 w Lublinie, gdzie też i mieszkał do roku 1956, kiedy to przerwał naukę w klasie III technikum geodezyjnego. „Kolesie ze Starego Miasta mnie wyciągali” — powiada. Wyjechał przeto na Śląsk, do Zabrze. I tu spokojnie zaczął naukę w klasie III dziennego technikum górniczego, które ukończył w roku 1959.

Żeby nie to zakłócenie edukacji, byłoby to życiorys i droga do górnictwa nie tak chyba żmudna i szczególna jak w przypadku Cmielewskiego. Lecz i z owym „zakłóceniem” jest to życiorys mniej żmudny i szczególny oraz mniej błyszczący. Po prostu zwykła biografia, ale może właśnie dlatego interesująca. Pracę na dole rozpoczął od nadzórniaka w kopalni „Ludwik”, po dwu latach był już sztygarem zmianowym z pensją sporo ponad 5000 zł. Od 1965 roku w kopalni „Szczylgłowice” na tym samym stanowisku, tyle że z pensją wyższą — sporo ponad 6000 zł.

Zonaty jest, ma 4,5-letnią córkę. W roku 1968 otrzymali mieszkanie, spółdzielcze M-4, więc od chwili ślubu przyszedł czekać pięć lat. Mają terasę „Syręnkę”, solidnie urządzone mieszkanie, planują drugie dziecko. Pełna stabilizacja i pełna normalność sytuacji życio-

wej, a że żona też pracuje, więc wolno chyba mówić o braku kłopotów materialnych. Normalny jest także u Siemionka — jak on to powiada — „bakcył dółowy”. „Pomimo że jestem rodowitym Lublinianinem, nie wyobrażam sobie pracy u góry, choć tam na dole ciężko bardzo”.

Jedno tylko w tym wszystkim mnie intriguje. Nie mogę mianowicie rozstrzygnąć, czy posiada szersze odniesienie ów patriotyzm o-

Lubelszczyźnie, to chyba bym wrócił”...

...

Węgiel lubelski przesładował mnie na Śląsku bardzo często. Inż. Andrzej Bard, starszy projektant w Biurze Projektów Górniczych „Gliwice”, rozmówca w wieku Siemionka, tyle że miejscowy ślązak, rzucił przypadkowo taką mniej więcej uwagę: „Niewykluczone, że część młodych wiekiem projektan-

kowo. „Oni są poeci techniki” — powiadają o tej instytucji w ministerstwie. A komuż łatwiej się dogadać jak nie poetom z humanistą?”

Rozmowa była jednak bardzo trudna, sprawa bowiem dopiero się decyduje, a brane muszą być pod uwagę ogólnonarodowe racje ekonomiczne. Rozmawiałem zatem na zasadzie: jeśli będzie w ogóle, to jak mogłoby być? Raczej o kraj-

nowoczesne osiedla mieszkaniowe oraz wymyślne nieraz, ale i potrzebne inwestycje socjalne (jak podwodna kawiarnia w Szczylgłowicach, której same szyby kosztowały 240 tys. zł).

Raczej byłoby to zwarty kompleks kopalni, zbudowany w oparciu o całokształt projektu zagospodarowania regionu. Nie byłoby osiedli przyzakładowych, ludzie mieszkaliby w miastach towarzyszących, 50-tysięcznych, dosyć odległych od zakładów, szłoby tylko o usprawnienie transportu do pracy. Materiał, który na Śląsku rośnie w hałdy, można by wykorzystać do zasypywania bagien, wyeksploatowanych torfowisk, oraz do nivelacji terenu.

„Nie wyobrażam sobie dzisiaj projektowania czegoś, co nie byłoby jakimś odbiciem „Jana”, ale mogą przyjąć nowoczesniejsze rozwiązania. Pełna mechanizacja i automatyzacja. Zadnych kominów nowoczesna kopalnia nie posiada. Od momentu rozpoczęcia budowy trwa pięć lat i nowoczesna kopalnia wydobywa. Jeśli to wszystko na Lubelszczyźnie będzie realne, trzeba wcześniej pomyśleć o przekształceniu tam niektórych technik ekonomicznych w technikę przemysłową. Zresztą pierwszy raz kadry przyjdzie też ze Śląska — powroty ludzi na drodze awansu. Krajobraz? Tam pokłady zalegają poziomo, na głębokości 800 m i są niezbyt grube, więc jak można mówić o szkłodach górniczych! Niebezpieczeństwo dla rolnictwa? Następne głupie pytanie. Przy tej głębokości pokładów przez długie lata nikt nie zauważył górnictwa. Na obszarach górniczych mogą sobie istnieć łąki, pastwiska czy rosnąć zboża. Na górze będzie się rozwijać nowoczesne rolnictwo, a na dole wysoka wydajność pracy, wysocy wykwalifikowani ludzie, nie od łopaty”. W taki oto sposób pozwoliłem sobie skomasować energiczne uwagi dyrektora Paździoły.

„Już teraz poważnie i konkretnie myślę się nad węglem lubelskim — pod kątem optymalnej opłacalności inwestycji. Trzeba to będzie zrobić jak najlepiej, gdy do tego dojdzie. A i tak nasi następcy powiedzą, że można było to zrobić jeszcze lepiej”. To usłyszałem na koniec rozmowy. Na szczęście ja do tych następców nie należę, ani Cmielewski, ani Siemionek, ani Bard...

Maciej Podgóski



Kopalnia „Lenin” — kompleksowa zmechanizowana obudowa ściany

bejmujący miejsce narodzin i wczesnej młodości u ludzi, którzy — podobnie jak Siemionek — przybyli na Śląsk z innych stron kraju, w poszukiwaniu fachu i dobrego zarobku. Bo mimo „bakcyła dółowego” Siemionek to patriota lubelski, jeśliby szło o sentymenty, acz realiami mocno wrósł w śląską rzeczywistość. I znowu trudno mi ocenić prawdziwy sens słów, kiedy ten młody, 33-letni mężczyzna, ożeniony z rodowitą Ślązatką, Józefą Paździołą, całkiem nieprzypad-

ków zaryzykowałaby pracę na Lubelszczyźnie, tam mogłoby się otworzyć większe szanse szybkiego awansu, bo fachowców mało”.

Bard i Siemionek to ludzie, z którymi zetknąłem się właściwie przypadkowo, zresztą bardzo cenne źródło informacji dla dziennikarza powstaje w takich kontaktach. Ale na rozmowę o węglu lubelskim udałem się do naczelnego dyrektora Głównego Biura Studiów i Projektów Górniczych w Katowicach, Józefa Paździoły, całkiem nieprzypad-

obrazie niż o konkretach. A więc z pewnością nie krajobraz starego Śląska, wyrzuszony hałdami lub skłuty zapadlinami „szkod górniczych”, krajobraz miast, gdzie w samym centrum obok brzydkich mieszkalnych „familjoków” wyrastają wieże i dymiące kominy kopalni i hut, krajobraz bezładnie poręcznawy liniami wysokiego napięcia oraz torami bocznymi kolejowych. Ani nawet nie krajobraz nowego Śląska, gdzie kopalniom towarzyszą w niedużej odległości

Dyrektor nie straż pożarna

Jerzy Dostłalni

MIMO wszelkich zapewnień spóźniłem się o sześć minut. Mgła była tak wielka, iż nie miałem odwagi jechać szybciej niż 40 km/godz. Sekretarka wyjaśnia: pan dyrektor musiał pójść na produkcję, ale zaraz wróci. Na pociechę dostaje szklankę gorącej kawy i przegladam leżące na długim konferencyjnym stole plany dotyczące produkcji w toku. Wypełnione są tylko po stronie „plan” — wykonanie zostanie naniesione dopiero w różnych dniach listopada i grudnia.

— Jak pan widzi, będą to dni zupełnie nietypowe, tak na wyrywki, bo chodzi mi nie o ładną statystykę, ale o to, jak jest w rzeczywistości.

Inż. Bogdan Brzosko, dyrektor naczelny Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych, wiedział że przyjadę, ale dopiero teraz umawiamy się, że on będzie pracował jak zwykłe, a ja będę mu towarzyszył i słuchał. Zrozumiałe, że potem napiszę, co widziałem i co słyszałem.

Dyrektor siada przy swoim niewielkim biurku i manipuluje przez łącznicę telefoniczną. Aparat milczy, więc kładzie rękę na przycisku i nieco zdenerwowany mówi do wchodzącej sekretarki:

— Łączność nieczynna.

Dziewczyna znika jak kamfora. Po chwili coś raz i drugi chrobocze w łącznicy, wreszcie wszystko jest w normie. Przez łącznicę można rozmawiać z 21 osobami — pojedynczo, grupami, ze wszystkimi naraz. W układzie, że mówiący słyszy tylko dyrektora, albo wszyscy słyszą się nawzajem.

— Co z tą awarią na trzeciej zmianie? — pyta inż. Brzosko.

— Nawalili kondensatory. Meldunek poszedł już do głównego elektryka i do zaopatrzenia. Sama awaria usunięta, ale brak zapasowych kondensatorów.

Następna rozmowa: — Sekretarka przyniesie panu tablice współzawodnictwa, niech zadzwoni Bykowski jak przyjdzie, powiem mu, o co chodzi. Mam też dla pana planse produkcji w toku...

— Tak, tak, nie dostaną wszyscy, a przede wszystkim sąsiedzi. A Zadura w tej wczorajszej sprawie niech zaraz dzwoni do ministerstwa, ja wczoraj nie mogłem się dozwonić.

Tu wtrącam się z trochę niedyskretnym pytaniem:

— Czy po grudniu, no, powiedzmy gdzieś od kwietnia, ma pan dyrektor mniej konferencji na różnych szczeblach?

— Bez porównania. Chyba że trzy, cztery razy mniej. Tych konferencji, narad czy odpraw jest nie tylko znacznie mniej, ale okazuje się jeszcze, że nie na każdej muszę być osobiście. To samo na szczeblu wojewódzkim i powiatowym.

Nowy telefon.

— Co z ukaraniem tego majstra?

— Będzie ukarany za dwa dni.

— Kto pełni obowiązki majstra, nie może przychodzić do pracy pijany. Dlaczego za dwa dni? To się rozważnia.

— Absolutnie nie — protestuje ktoś z głośnika. — Kara będzie, chodzi tylko o to, jaka. Podobno ten majster ma poważne kłopoty domowe.

— No tak, trzeba to zbadać, ale szybko i dokładnie.

Dyrektor przelacza się do następnego rozmowy.

— Kierowniku, ja w sprawie tej skargi o mieszkanie. Dowiedziałem się wczoraj, że istotnie będą wolne trzy kawalerki. Ale niech ten inżynier zrozumie, że w fabryce jest ładnych parę tysięcy ludzi, a nie on jeden. Obiecane mu i mieszkanie dostanie, ale przecież poprzednika nie mogę wyrzucić na plac. Na przegrupowanie też są ustalone okresy, najbliższy 1 stycznia. Jeden człowiek nie może stawiać w stan alarmu całej dyrekcji i wszystkich kolektywów.

Ktoś światłem energicznie dopomina się o głos.

— Słucham?

— Ja w sprawie tej naszej propozycji o samodzielnosc...

— Zgoda, przyjdzie konkretny projekt, podpisze, możecie iść na pełną samodzielnosc, ale pamiętajcie, że to nie przyjemność, lecz ciężki obowiązek.

— ... — głośnik zachrypiał i nie zrozumiałem o co chodzi.

— Zupełnie możliwe, że ma rację, ale tak na gębę nie mogę załatwić. Skontaktuję się z panem jutro.

Już poza telefonem, do mnie:

— Ta awaria objęła tylko jedną maszynę, ale mnie chodzi o zasadę. Do jej usuwania

zabrano się dopiero po 5 godzinach. Z tego wynika, że coś nie funkcjonuje na styku drugiej i trzeciej zmiany. Potem poszło już szybko. Ale trzeba rzecz dobrze zbadać, aby wiedzieć, kogo pochwalić a kogo zganić, co zmienić w organizacji.

Do niezbyt obszernego gabinetu niemal ciurkiem wchodzi kilka osób. Codzienna narada kolektywu dyrektorskiego. Jego skład tworzą: dyrektor i jego zastępcy do spraw technicznych, ekonomicznych, handlowo-administracyjnych i socjalnych oraz główny księgowy, a nieoficjalnie główny inżynier do spraw produkcji oraz główny inżynier do spraw inwestycji. W zasadzie każdego dnia inna tematyka: produkcyjna, handlowa, inwestycyjna itd. Dziś koleją na sprawy socjalne. No i bieżące, ale tylko takie, które wykraczają poza resort jednego zastępcy. Zaczyna dyrektor Brzosko:

— Dział organizacyjny przygotowuje do soboty (jest wtorek) krótkie zestawienie wszystkich zadań, zleconych nam do wykonania w tym roku, oraz harmonogram wykonania z wykazem, co i gdzie się zaczyna. Z waszego działu — to do kierownika działu organizacji — mam tu dwa pisma w sprawie zdezaktualizowanych wniosków robotników. Ale ich nie podpiszę. To jest odpowiedź humanitarna, a do robotników trzeba konkretnie, technicznie.

— Słusznie — wtrąca przedstawiciel rady zakładowej. — Z takich ogólnikowych od-



Inż. Bogdan Brzosko.

powiedzi robotnicy nie są zadowoleni, spotkało to nas także. Myślę, że wnioski już odrzucone warto przepuścić ponownie przez maszynkę i zbadać, co jeszcze można zrobić.

— Znaćcie, panowie, uchwałę KW PZPR w sprawie rozwoju i realizacji budownictwa mieszkaniowego. Nas dotyczy ona w dwóch punktach: 1) wykorzystania limitów, 2) ewentualnego powołania własnej grupy remontowo-budowlanej. Jak dotychczas, nigdy nie przepadała nam nawet złotówka inwestycyjna na mieszkania, trzeba pilnować, aby to się nigdy nie zdarzyło. Własna grupa byłaby niewątpliwie konkretną pomocą, ale czy w obecnej sytuacji jest potrzebna? Kraśnickie Przedsiębiorstwo Budowlane robi nam wszystko, co potrzebujemy i skarży się na brak zleceń. Dyrektor Paul skontaktuje się z KPB i zbada, czy coś się zmieniło w planach sprzed 3 miesięcy, ile może nam wykonać więcej izb czy metrów kwadratowych. Według nas Kraśnicki Fabryczny potrzebuje 1560 mieszkań, a na pięciolatkę przewidziano tylko 520. Trzeba pokazać 860 osób mieszkających w hotelach i z tego powodu nie zakładających rodzin, dojeżdżających, rozbite małżeństwa itd. Te nasze potrzeby trzeba silnie zasignalizować wszystkim władzom wojewódzkim. Ale może zająć się produkcją pustaków z naszego żużlu? Trzeba porozumieć się z komitetem budowy domków jednorodzinnych.

— Jest trochę niechęci do pustaków — wtrąca ktoś — ludzie wciąż wolą cegły.

— Śmiesz twierdzić — popiera sprawę przedstawiciel rady zakładowej — że przynajmniej połowa wybudowanych już domków powstała z pustaków. Będą kupowali, jeżeli pustaki będą tańsze od innych, które można dostać na rynku.

Teraz na tapetę wchodzi sprawa zalewu we wsi Krzywice, tuż za lasem, 3 km od miasta. Idealne miejsce na popołudniowy i niedzielny wypoczynek. Zrobiono tam już przystań, postawiono hangar na łódzie i kawia-

renkę, ale okazało się, że stawy są tak zanieczyszczone bakteriami, iż nie można ich oczyścić. Ewentualna awaria oczyszczalni może doprowadzić do epidemii, a tego w Kraśniku po gorszych doświadczeniach boją się szczególnie.

Z takim więc trzeba z tego terenu zrezygnować. Ale jest inny, w Urzędowie. Kłopot z tym, że Wojewódzkie Biuro Projektów obiecuje zrobić dokumentację dopiero do 15 kwietnia, to znaczy przyszluszczy sezon będzie stracony. A dzieci z Kraśnika wskutek epidemii od trzech lat nie wyjeżdżają na kolonie. Zapada więc decyzja, że zastępca dyrektora do spraw socjalnych oraz przedstawiciel rady zakładowej poproszą przedstawiciela Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Metalowców i razem pojedą do projektantów, aby wytargować wcześniejszy termin.

Krótko jest jeszcze mowa o kilku innych sprawach: na sobotnim kolegium dyrektorskim będzie rozpatrywano rozłożenie planu na rok 1972 — głównie chodzi o wskaźniki ekonomiczno-techniczne i zaopatrzenie; w związku z nowym kredytem inwestycyjnym w wysokości 45 mln zł trzeba się zdecydować, co kupić: trzy automaty „gole” czy 2,5 z oprzykładowaniem; na sobotę konkretna informacja, jak przebiega realizacja zobowiązań przedzjazdowych; dworzec autobusowy, wybudowany przez fabrykę, miał być oddany dzisiaj, ale nie jest, bo komisja odbioru nakazała przeprowadzenie kilku poprawek, będzie czynny od poniedziałku; narzędziownia niech stanie na głowie, ale jakieś dwa detale muszą wejść do produkcji w ciągu czterech dni; produkcja dnia wczorajszego przebiegała względnie pomyślnie, na dziś zapowiada się lepiej; wypłata dla części ludzi jest opóźniona, wskutek nierytmicznej sprzedaży zabrakło 2 mln zł i trzeba było zaciągać pożyczkę w banku, a to trochę trwa; w kupionym niedawno domu wypożyczynowym w Muszynie zepsuło się ogrzewanie — gdy grzeje się w kaloryferach, nie wystarcza ciepła na wodę do kąpieli, przedsiębiorstwo z Sanoka nawala, pojedzie własna grupa.

Osobnym problemem staje się eksport. Jest o nim mowa na kolegium dyrektorskim, potem w rozmowie z pracownikiem, zajmującym się specjalnie tymi sprawami. Okazuje się, że na rynkach Europy zachodniej spada gwałtownie zapotrzebowanie na łożyska toczne. Japończycy rzucili na rynek duże ilości po niskich cenach, konkretnie szwedzki buduje cztery fabryki. W Kraśniku caloroczny plan jest już wykonany, ale teraz w eksporcie leży się nie produkcja, lecz to, co przekracza granicę. Wszyscy zgadzają się, że mimo trudności eksport można utrzymać, a nawet rozszerzać, pod warunkiem dalszego podniesienia jakości. Takie wahania są zresztą zawsze pod koniec roku. Teraz więc jest spokój, ale w grudniu będzie urwanie głowy. KFWM dopracowała się wreszcie tego, że produkuje nie tylko na zamówienie, ale w specjalnym magazynie ma gotowe najbardziej poszukiwane typy łożysk. Gdy przyjdzie zapotrzebowanie, można wysłać tego samego dnia. To też duży atut.

Później, gdy siedzieliśmy u głównego inżyniera produkcji w przybudówce jednej z hal produkcyjnych, ktoś wpadł do pokoju i mocno podniecony relacjonuje, że pewna firma z jednego z najbardziej uprzemysłowionych państw świata przysłała pismo, aby im zaoferować 30 łożysk wielkogabarytowych i to w krótkim terminie?

— Co pan powie? — poderwał się dyrektor.

Firma ta jest od lat światową potęgą w produkcji łożysk, także tych największych o średnicach ponad metr. Synonim najwyższej jakości. Nie wiadomo jeszcze, czy kupia, ale fakt że interesują się polskimi, kraśnickimi łożyskami, mówi sam o sobie. Muszą te łożyska uważać co najmniej za bardzo dobre.

Z koleją ślad za dyrektorem udaje się do kierownika planowania operatywnego. Tu z obu stron padają tak specjalistyczne określenia techniczne i ekonomiczne, pięciocyfrowe liczby z literkami lub bez zastępując poszczególne asortymenty czy typowymi łożysk — że uznaję się za pokonanego, prawie nie nie rozumiem. Więc następuje specjalny, krótki wykład dla mnie.

Przez 12 lat planowanie operatywne w KFWM wyglądało podobnie jak we wszystkich fabrykach. Ale na dziś to już nie wystarcza. Po odpowiednim przygotowaniu dokumentacji i jej obiegu, bez czego cała sprawa jest w ogóle nie do pomyślenia, zaczęto korzystać z komputera i maszyn obliczeniowych w ośrodku UMCS. To już maszyny obliczają, szybko i bezbłędnie, pracochłonność, potrzeby materiałowe, obciążenie poszczególnych maszyn. Np. dawna norma obciążenia maszyn wynosiła 85—86 proc. Teraz średnio osiąga się 95 proc. Przy pracy tryzmiowej generalnie w kraju dąży się do tego, aby poszczególne maszyny pracowały efektywnie, po obliczeniu wszelkich awarii, przerw, przez dwie zmiany. W KFWM w wielu przypadkach przekracza się już tę normę. A to dopiero początek. Albo inny przykład. Jutro będzie wypłata, obliczona normalnie według kart pracy. Następnego dnia maszyny obliczeniowe powieją, czy szlifiernią, tokarzem lub innym zapłacono za rzeczywiste wykonaną pracę, czy nadpłacono lub niedopłacono. Początkowo ludzie byli przeciw maszynom, dziś sami naciskają, aby się nimi posługiwać. W tradycyjnej księgowości można robić różne cuda, maszyna daje wielkość obiektywne. W przyszłym roku fabryka funduje sobie własną „Odrę”, ma już 5 wyszkolonych fachowców, za rok będzie 15.

Z koleją odwiedzamy dyspozytora. To serce fabryki — powiada dyrektor. W czasie drugiej i trzeciej zmiany właściwie on jest dyrektorem, tu zbiegają się wszystkie ważne i mniej ważne sprawy z produkcji i służb pomocniczych. Po każdej zmianie na specjalny arkusz nanosi się ilość wykonanych asortymentów, wszelkie awarie, braki itp. I niemal natychmiast polecenie do odpowiedniego wydziału: tych łożysk na dzisiaj dosyć, teraz robicie takie a takie; transport — wysyłajcie wózki na 17; zaopatrzenie — co z tym nowym transportem stali? A w uwagach: w prasie AMP-70 awaria magnesu; baza wózków od godz. 1,30 zamknięta od wewnątrz na drogę; w asortymencie takim a

takim „brak piękności” — co oznacza, że parametry techniczne są dobre, ale bieżąca nie wygląda estetycznie, więc zatrzymać je kontrola techniczna. Gdy jakakolwiek powtórzy się dwa razy, wtedy — jak powiadają — uruchamia się czujnik. Główny inżynier do spraw produkcji ma potężną posturę i gdy jest zdenerwowany, nie poskazuje się poetyckim językiem. W takich chwilach podległy mu personel chętnie schowałby się pod ziemię.

Gdy wracamy do budynku dyrektorskiego, pytam inżyniera Brzosko:

— Gdyby pan chciał codziennie obejść wszystkie wydziały i być na każdym tylko pół godziny...

— Niemożliwe. Musiałbym poświęcić na to cały dzień. Nie mogę interesować się wszystkim. Po to są zastępcy, kierownicy działów i inni odpowiedzialni ludzie, aby zdecydowali na swoim odcinku. Dyrektor nie może być ani poganiaczem, ani strażą pożarną, ani panną od wszystkiego.

— A czym powinien być?

— Ba! Są różne teorie, a w praktyce też różne bywa. To w dużym stopniu zależy od osobowości człowieka. Tak ogólnie — dyrektor powinien przede wszystkim myśleć i pracować nad przyszłością fabryki, gdy zajmie się bieżącymi drobiazgowymi — utonąć.

Jesteśmy znów w dyrektorskim gabinecie. Na ścianie wielka plansza projektu organizacji jednego z wydziałów — „linia łożysk do samochodów Fiat”. Ta inwestycja kosztuje 400 mln zł. Jak się z boku dowiaduję, to dyrektorski konik, począwszy od samego pomysłu. Mówiąc skrótowo i w sposób uproszczony rzecz polega na tym, aby maszynę ustawić w zupełnie inny sposób niż dotychczas. Kolejno wprowadza się to także na innych wydziałach. Nazywają się one teraz wydziałami przedmiotowo zamkniętymi — więc nie gniazda obróbcze, nie kolejno tokarki, szlifiarki, ale ciągi produkcyjne według kolejno wykonywanych operacji. Nie ma kierowników hal, a tylko kierownicy ciągów produkcji, więc gdy coś lub ktoś nawali, nie można powiedzieć: kolega.

Zbliża się już koniec oficjalnego urzędowania. Ale do dyrektorskiego pokoju wkracza dwóch młodych ludzi — kierownik i pracownik sekcji rozwoju zakładu. Właśnie przychodzą, z jakimiś bardzo skomplikowanymi obliczeniami, pokazują wykresy, planse, schematy. Rzecz polega na tym, iż w jednym z wydziałów cykl produkcyjny można skrócić czterokrotnie. To oznacza równocześnie, że w obiegu będzie znacznie mniej stali, różnych części i detali, a więc mniejsze zaangażowanie środków obrotowych, szybsza rotacja. I dzięki tej nowej organizacji, czyli dyrektorskiemu konikowi, łożysko typu 6307 będzie kosztowało 22,40 zł a nie 29,00 zł. Miliony oszczędności przy produkcji kilkuset tysięcy rocznie. Braki powinny być dwukrotnie mniejsze, materiałów zużyje się o jakieś 20 proc. mniej...

Tu mała informacja uzupełniająca. Technolog sekcji rozwoju zakładu, Stanisław Woźniak, przyszedł do fabryki jako prosty robotnik mając w kieszeni świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Potem skończył technikum, dziś kończy WSI, podobnie jak jego kierownik, Zdzisław Job. Dyrektor mówi do nich:

— Popracujcie jeszcze nad szczegółami, linia generalna dobra. Wszystko jednak musi być doskonale wypolerowane, aby nikt niczego nie mógł zaczepić. Przy samej reorganizacji wydziałów macie robotę na jakieś pięć lat.

A potem do mnie:

— Inaczej niż normalnie, my sami opracujemy sobie założenia i projekty technologiczne, a dopiero potem udajemy się do biur projektowych. Kiedyś walczyliśmy o wprowadzenie paletyzacji, teraz wprowadzamy szeregowo-liniowe układy maszyn, a myślimy nad małutkimi taśmami czy rylnkami, przyspieszającymi transport między maszynami. Wyniki potwierdzają, że mamy rację.

I jeszcze do obu młodych ludzi:

— Muszę mieć pełny rachunek: ile i na co wydać, ile na tym zarobimy, terminy, co i kiedy zrobić.

W białym fartuchu wchodzi kierownik zakładowego ambulatorium. Jutro w KP PZPR będzie się mówiło o potrzebach służby zdrowia. Tymczasem w fabryce wciąż brak etatów, budowę nowego ambulatorium znów przesunięto. Taka Stalowa Wola jest dwa razy większa, ale ma 5 razy więcej ambulatorium i 5 razy więcej lekarzy. Czy to mówić?

— Mówić, naturalnie mówić. I przedstawić konkretne potrzeby, nawet zrobić trochę szumu. Plan z tymi potrzebami proszę również dać mnie, wkrótce ma być minister w Lublinie, przedstawimy i to. A dla ambulatorium trzeba zrobić założenia techniczno-ekonomiczne, nasze służby pomogą. Mamy trochę pieniędzy fabrycznych, część pożyczamy od związków zawodowych, zaczniemy roboty społecznie. Nie możemy tylko czekać.

Już dawno po godzinach pracy. Wychodzę, w drzwiach zderzam się z młodym, brodatym człowiekiem. Zagłada niepewnie do gabinetu, ale dyrektor zaprasza. To przedstawiciel młodych stażystów. Nie wszyscy przystosowali się do warunków fabrycznych, nie wszyscy „starzy” pracownicy umieją z nimi współpracować. Było kilka przykrych nieporozumień, trochę gorzkich słów.

Więc jeden z tych młodych w porozumieniu z kilku kolegami referuje sprawę utworzenia klubu młodych inżynierów i techników pod „patronem stowarzyszeń technicznych i dyrekcji”. Będą spotkania towarzyskie i zawodowe, we własnym gronie i ze starszymi, pogadanki o fabryce i nowościach technicznych, znajdą się pieniądze na kawę. Dyrektorowi projekt statutu podoba się, ale ostatecznie zdecydować o nim zebranie zainteresowanych.

— Niech pan to robi jak najszybciej. Młodzi nie są źli, ale nie umieją wiązać teorii z praktyką, oni muszą się jeszcze dużo nauczyć, ale im trzeba z żywcem włożyć pomoc. Sam mam córkę, która jest stażystką i wiem, jakie powstają kłopoty z młodymi.

Wracam do Lublina. Dyrektor zostaje jeszcze w gabinecie. Trzeba podpisać pocztę i samemu stwierdzić, dlaczego czasem coś się w nocy haczy.

Wyższe uczelnie II propozycji

Janina Opieńska-Blauth

ZDANIEM moim wychowanie młodzieży w naszym dwudziestolecu nasuwa wiele zastrzeżeń (w krytycznej ocenie opieram się na przybliżonej średniej statystycznej). Niewątpliwie znaczna część naszej młodzieży w szkołach wyższych nie wykazuje większego entuzjazu do nauki, brak jej pasji do wykonywania dobrej roboty, jest mało uspołeczniona, skłonna do wyboru drogi łatwej i wygodnej.

Być może taka postawa gnuśna i bierna wypłynęła z wielkiej przesady w organizowaniu dzieciom i młodzieży wygodnego, łatwego i przyjemnego życia. Zbyt wiele rozkwiliwaliśmy się w prasie czy w telewizji nad „biedną młodzieżą”, która „się nudzi” i której trzeba organizować rozrywki. A więc wszędzie klubokawiarnie, wielogodzinne, nie zawsze pożyteczne i mądre programy telewizyjne dla młodych, podporządkowane ich niewyrobionym upodobaniom. Wysoko też szanujemy ich zmienne zachcianki odnośnie mody, zakładamy wystawne magazyny tylko dla młodych itp. Nawet wybrki chuligańskie usiłujemy tłumaczyć nudą i brakiem rozrywek, które powinno im państwo dostarczyć. Zbyt wiele troszczymy się o nieprzeciętne młodzieży nauką (która w istocie to bardzo niewiele pracuje), ułatwiamy zdawanie egzaminów maturalnych, wstępnych do uczelni, zdobywanie dyplomów, uzyskiwanie stopni naukowych itp. Natomiast nie zadaliśmy dostatecznie o wychowanie etyczne, obywatelskie, kulturalne, słowem o kształcenie charakteru, jak to interesująco pisał A. Szczępiński w „Polityce” (16 X 71).

W jednym z numerów „Życia Warszawy” przeczytaliśmy o dokumencie ogłoszonym w maju br. pt. „Zasady etyki kadry Ludowego Wojska Polskiego”. Treść tego dokumentu stanowią sprawy moralności. Jest to kodeks rycerski o patriotyzmie, ideowości, zaangażowaniu, poczuciu własnej odpowiedzialności za losy Ojczyzny, o karności i dyscyplinie, o honorze i poszanowaniu ludzkiej godności, o rzetelności i wielu jeszcze innych cechach, które chcielibyśmy widzieć u polskiego żołnierza.

Tak niewiele miejsca dla spraw etycznych w życiu osobistym i zawodzie znajduje się w programach pisanych i nie pisanych w wyższych uczelniach. Jak bardzo pożądana byłby kodeks etyczny dla polskiego studenta, wręczany mu podczas immatrykulacji.

W wychowaniu młodzieży popełniamy błąd w ustawicznej trosce o odsiew, o proporcje klasowe, w przyzwyczajaniu łatwinym. Większość studentów ogranicza się przy przygotowywaniu do egzaminów tylko do skryptów, stosując prawo koniecznego minimum. Niewątpliwie sam sposób przeprowadzania egzaminów może budzić zastrzeżenia. Często obciążamy studenta balastem niepotrzebnych szczegółów, nie sprawdzamy natomiast jego dojrzałości intelektualnej, jego samodzielności myślenia. Zdaniem moim egzamin powinien być dyskusją, a student partnerem do dyskusji.

Struktura organizacyjna wyższych uczelni

Od wielu już lat toczy się na łamach prasy oraz w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego dyskusja nad zmianą dotychczasowej struktury organizacyjnej uczelni, opartej o system katedr, niezależnych, w praktyce autonomicznych, pracujących raczej w izolacji. Przepomnę jeden z pierwszych artykułów z tej dziedziny na temat stosunków feudalnych w katedrach „O feudalach i wasalach”. Uchwała IV Zjazdu Partii stwierdza konieczność przebudowy i unowocześnienia przestarzałej struktury poprzez stopniowe zmniejszenie rozdrobnienia, przezwyłączenie izolacji katedr przez łączenie ich w większe jednostki — instytuty. Przemawiała za tym potrzeba większego sementowania uczelni, związania katedr w procesie unowocześniania dydaktyki, likwidacji przyczynkowych badań naukowych, usunięcia przetrastów feudalizmu, postępu w kształceniu kadry naukowej; słowem w instytutach widziano skuteczne remedium na wszystkie niedociągnięcia i bolączki.

Większość profesorów, nie tylko partyjnych, popierała projekty unowocześnienia uczelni. Wypadek m. in. znacznie przyspieszył wydanie odpowiedniego zarządzenia. Niestety, brak było odpowiedniego dla uczelni modelu instytutu. Istniejące instytuty PAN-owskie czy resortowe specjalistyczne nie odpowiadały w zasadzie potrzebom uczelni, ponieważ nie uwzględniały całokształtu ich zadań. Dydaktyki studenckiej, kształcenia kadry naukowej i prowadzenia badań naukowych. Zbyt szybkie i niedostatecznie przygotowane zarządzenia, a nadto administracyjny sposób ich wykonania wprowadziły dużo zamieszania i niepokojów w uformowany rytm pracy wyższych uczelni.

Dziś już otwarcie (vide „Życie Szkoły Wyższej” Nr 7—8, 1971) wytyka się błędy w nowej strukturze organizacyjnej. Szczególnie krytyce podlegają instytuty bezzakładowe, w których na jednakowym szczeblu w strukturze organizacyjnej znaleźli się profesorowie, byli kierownicy katedr, docenci, adiunkci i asystenci, przy prawie dyktatorskich uprawnieniach dyrektorów instytutów. Rozproszyła się też odpowiedzialność za całokształt funkcjonowania uczelni na kierowników zespołów naukowych, dyrektorów i ich zastępców, dziekanów, prorektorów i rektorów. Nie ustalono kompetencji ani rozdziału funkcji tyłu jednostek organizacyjnych. Jedno z najpoważniejszych zadań uczelni — kształcenie młodej kadry naukowej — nie znalazło odbicia w nowej strukturze. Przy wielorakiej odpowiedzialności wielu jednostek odpowiedzialność praktyczną nie istnieje. Najmłodszą pracownią instytutu ma wielu kierowników — innych dla dydaktyki, innych w zespołach naukowych. Nie ustalono też kompetencji rad naukowych instytutów i rozdziału kompetencji między dyrektorami instytutów, dziekanami, radami wydziału, rektoratem, prorektoratem, senatem. Aktualnie w chwili obecnej struktura wyższych uczelni opiera się na autonomicznych instytutach przy nie określonym jeszcze stosunku służbowym do władz uczelni. Słyszysz się też o przekazywaniu dotychczasowych funkcji dziekanatów w sprawach stypendiów i socjalno-bytowych studentów instytutom.

Na klimat, atmosferę w poszczególnych instytutach, porządek, zaangażowanie pracowników wpływa najbardziej dobro władz instytutów, dyrektorów i wicedyrektorów. Zie się dzieje w instytutach, skłoniętych naprzeciw, nieprzemysłowych. Są też instytuty powstałe z połączenia katedr, których nie łączy, z lokalizacją włączając, ani problematyka naukowa, ani dydaktyka, ani wieloosobowa i ochotą do wspólnej pracy. Przykładem mogą być niektóre instytuty międzywydziałowe w akademiach medycznych czy wyższych szkołach rolniczych.

Badania naukowe w wyższych szkołach

O przyczynach słabych wyników badań naukowych i o sposobach naprawy czytamy w Wytycznych KC w dziale III/3. Niewątpliwie ocena jest słuszna. Szczególnie słabo przedstawiała się praca naukowa w wyższych uczelniach. Trzeba jednak przypomnieć, że władze uczelni nie miały i nie chciały mieć wpływu na tematykę prac naukowych, pozostawiając ją wyłącznej kompetencji kierowników katedr. Katedry mogły, ale nie musiały, prowadzić badań naukowych, ich ilość i jakość zależały od większego lub słabszego zaangażowania kierowników. Katedry pracowały na ogół w izolacji, nie dzieląc się swoimi wynikami, osiągnięciami i trudnościami. Do rzadkości należały prace zespołowe, bądź kompleksowe, poświęcone wielostronnemu opracowaniu problemu. Tematyka podejmowanych prac była rozproszona i przyczynkowa. Słabe zaopatrzenie katedr w aparaturę, sprzęt, odczynniki, małe zainteresowanie władz centralnych i uczelnianych, ponadto brak bodźców — wszystko to wpływało na dzisiejszy stan badań naukowych w uczelniach. Nagrody były rozdzielane schematycznie na podstawie wniosków kierowników katedr bez poprzedzających zespołowych ocen. Interesowanie się pracami naukowymi katedr przez władze uczelni nie było popularne i dobrze widziane.

Plany naukowe uczelni muszą odbiegać od planów instytutów naukowych Polskiej Akademii Nauk i specjalistycznych resortowych. W programie prac instytutów uczelnianych powinny się znaleźć, obok tematów związanych z planem centralnym w gospodarce narodowej, tematy podstawowe z danej dyscypliny, tematy szkoleniowe i wdrożeniowe dla młodej kadry naukowej, tematy prac habilitacyjnych, doktorskich, a nawet i magisterskich, których wyniki mogłyby być również wykorzystane dla praktyki. Nie należy zaniedbywać tematyki regionalnej, inicjowanej przez oddziały towarzystw naukowych.

Rozwój i kształcenie kadry naukowej

Autorzy artykułów w „Szkołach Wyższej” słusznie wyrazili się, że wyższe uczelnie mają jakoby monopol na kształcenie młodej kadry naukowej. Świadczy o tym ilość stopni naukowych, które niemal w całości pochodzą z uczelni. Sprawy te potraktowano w pionie centralnym (Instytuty specjalistyczne i PAN) marginesowo, a w uczelniach pozostawiono je uznaniu kierowników katedr. Kto chciał, dostarczał do puli uczelnianej wielu doktorów i docentów, kto nie chciał — nie dał ani jednego, odchodząc na emeryturę bez następcy wychowanego w katedrze.

Niekorzystnie na rozwoju młodej kadry odbijał się sposób obliczenia etatów na podstawie godzin dydaktycznych, wykładów i ćwiczeń. Kierownicy zaangażowani naukowo musieli stosować akrobatykę organizacyjną, nie uwzględniając zaleceń podziału godzin na dydaktyczne, naukowe i organizacyjne, a inni stosowali taryfę ulgową przy obliczaniu godzin pracy naukowej, ponieważ była ona — jak się to nazywało — „mniej ważna”. Taką polityką była stosowana najczęściej w akademiach medycznych i wyższych szkołach rolniczych.

W układaniu ścisłych rozkładów godzinowych (w niektórych uczelniach obowiązywały nawet dzienniki pracy dla asystentów) zapomniano o tym, że w pracy naukowej potrzebna jest pasja naukowa nie liczona na godziny. Instytut naukowy to nie fabryka produkcyjna z gotową recepturą materiałową i ściśle obliczonym czasem pracy. W pracach naukowych jeden eksperyment powtórza się czasem wielokrotnie bez uzasadnionego planowania. W kształceniu kadry naukowej ważne są też szkolenia krajowe i zagraniczne, związane z dłuższymi czy też krótszymi wyjazdami pracowników, którzy odpadają w tym okresie z pracy dydaktycznej. Należy też lepiej doceniać wyjazdy na zjazdy naukowe, sympozja, konferencje dyskusyjne. O tym wszystkim zapomniano przygotowując oszczędnościowe pule etatowe w oparciu tylko o pracę dydaktyczną.

Również ostatnie, już po grudniu, zarządzenia Min. Oświaty o zahamowaniu i ograniczeniu mianowań na docentów etatowych (bariera wieku 45 lat i konkursy otwarte) wywołały ogólny pesymizm i spotkały się z krytyką, jeżeli nie oficjalną to kuluarową, wśród większości starszych pracowników naukowych. Szczególnie mogą się czuć „pokrzywdzonymi” ci, którzy nielato na skutek trudności proceduralnych zdobywali stopnie naukowe ciężko i trudno wypracowane. Szczególnie dotyczy to tych, którzy mimo zdolności, ambicji, wytrwałości nie znajdowali poparcia ani też życzliwości u swoich właściwych opiekunów, kierowników katedr. Pogląd, że uzyskiwanie stopni naukowych przez asystenta jest jego sprawą prywatną, był reprezentowany nie tylko przez wielu profesorów i władze uczelni, ale i przez czynników resortowe, ograniczające delegacje służbowe dla tych celów.

Mówi się obecnie o „widmie etatyżacji” czyli limicie etatów zarówno docentów jak i asystentów w instytutach. Co się będzie działo szczególnie w tych instytutach, w których sztucznie powiązano różne dyscypliny? Jaka rozgorzeje walka, jaką trudną rolę będą miały dyrekcje instytutów? Czy zawsze zwycięży obiektywność? Ośmielam się wątpić.

W tym wszystkim tkwi pewna sprzeczność. Z jednej strony walczymy o przyspieszenie rozwoju młodej kadry naukowej, a z drugiej hamujemy awans na docentów dla doktorów habilitowanych. Rotacja i stałe odwołanie zespołu młodsza kadra jest uzasadnione i potrzebne, ale czy nie należałoby tego robić na etapie pierwszym, przed uzyskaniem pierwszego stopnia naukowego? Stosunek do pracowników musi być przede wszystkim „uczelny” i nie może mieć nieprzewidywalnych zaskoczeń, jak to było w ostatnim zarządzeniu o barierze wieku dla doktorów habilitowanych, kandydatów na docentów, podczas gdy tyłu docentów tylko z pierwszym stopniem naukowym lub nawet bez tego stopnia mianowano w ostatnich dwóch latach. To są wszystkie antybodyce, które wywołują depresję i stany zniechęcenia u pracowników naukowych.

Niewątpliwie powrót do autonomii uczelni z 1956 roku, która wyrażała się między innymi w swobodnych wyborach władz uczelni, mógł budzić zastrzeżenia ze strony władz centralnych. Nie zawsze bowiem kierowano się dobrem uczelni podczas wyborów. Wiemy o tym wszystkie. Od 1968 roku stosuje się ponownie mianowania rektorów i dziekanów. Autorzy artykułów w „Życiu Szkoły Wyższej” (7—8, 71) stwierdzają jednakowoż, że byłoby korzystniej dla uczelni i bardziej demokratycznie, gdyby mianowania były uzgadniane z szerszym i nie tylko partyjnym aktywnym uczelniami. Ich opinia jest słuszna.

W podsumowaniu mojej wypowiedzi zgłaszam następujące dżedyraty i propozycje:

1. Opracowanie i wprowadzenie do uczelni kodeksu etycznego studenta.
2. Wprowadzenie do programu, obowiązkowych na wszystkich latach studiów, seminariów wychowania obywatelskiego i etyki zawodowej.
3. Unowocześnienie przestarzałych form dydaktyki dla studentów. Wyższa szkoła powinna być szkołą studiowania i samodzielnego myślenia.
4. Opracowanie właściwego modelu instytutu uczelnianego, w którym będą uwzględnione i jednakowo potraktowane trzy podstawowe zadania uczelni: dydaktyczne, kształcenie młodej kadry naukowej i praca badawcza. Przy wprowadzaniu instytutów jako jednostek organizacyjnych w uczelni należy rozdzielić i ustalić kompetencje.
5. Poddanie szybkiej rekonstrukcji tych instytutów, które nie rękują przetrwania z powodu wadliwej konstrukcji (dyscypliny nie powiązane, brak wspólnej lokalizacji, brak powiązań w tematyce naukowej i zły klimat wywołany nieodpowiednią obsadą kierownictwa).
6. Przywrócenie zakładów jako jednostek organizacyjnych w strukturze instytutu, bo tylko przy utrzymaniu zakładów może być zachowany monolit w realizowaniu podstawowych zadań uczelni.
7. Nowelizację w trybie wylczenia etatów pracowników naukowych, stosowanego dotychczas tylko według ilości studentów i godzin wykładów i ćwiczeń.
8. Cofnięcie zarządzeń ograniczających mianowanie doktorów habilitowanych docentami etatowymi (bariera wieku — 45 lat, konkursy i będący w przygotowaniu plan etatyżacji).
9. Wprowadzenie obowiązkowej rotacji tylko w pierwszych latach stażu asystenckiego, jeszcze przed uzyskaniem stopni naukowych.

Odważnie i rozważnie

10. Przeprowadzenie sondażu opinii samodzielnich pracowników naukowych o celowości organizowania studiów doktoranckich.

11. Dokonywanie mianowań zarówno rektorów jak i dyrektorów instytutów w sposób bardziej demokratyczny, dopiero po zasięgnięciu opinii nie tylko partyjnego aktywu uczelni.

Usunąć ten cudzysłów!

Kazimierz Andrzej Jaworski

SPRAWY wiążą się z tymi rozdziałami III części Wytycznych, w których jest mowa o wychowaniu młodzieży i kulturze. Zresztą nie tylko o młodzieży tu chodzi.

Kulturę przezwrotnie zwykliśmy kojarzyć z nauką, sztuką, z bogactwem duchowym i materialnym ludzkości, słowem z wyższymi regionami, a zapomina się o tym, że w życiu codziennym, w wielu pozornie nawet błahych, powszednich rzeczach przejawia się ona tak samo i że te drobniaki w sumie wystawiają naszą kulturę dobre lub złe świadectwo.

Dojeżdżamy do miasta. Pociąg zatrzymuje się na dworcu. Podróżni chcą wysiadać, ale nie zawsze im to z łatwością przychodzi. Bo oto już tłum nowych pasażerów szturmując do wagonów w niesłusznej obawie, że im miejsc siedzących nie starczy. Zmierzamy ze stacji na ulicę i tu znowu przy wyjściu trudności. Bo jakoś nie możemy się nauczyć, że odpowiednio drzwi służą do wychodzenia i wchodzenia i że pieszych podobnie jak samochody na jezdni tak samo obowiązują ruch prawostronny. Napisy: „wejście” i „wyjście” nad drzwiami może być niesforą publiczność do porządku wdrożyły.

A na chodnikach porzucane papiery i śmiecie, bo ludziom przezwrotnie nie chce się korzystać ze specjalnych skrzynek. Przechodnie śpieszą się, przeciskają w tłumie, potrącają wzajemnie. Rządzą padnie słowo „przepraszam”, tak samo wychodzące z obiegu, jak „dziękuję”, czy odpowiedź na „dzień dobry” i „do widzenia” ze strony sprzedawców w sklepie (tych jeszcze może usprawiedliwić zajęcie się innymi klientami) czy kierowców taksówek.

W parku bronowickim widnieją ogłoszenia ostrzegające przed jeżdżeniem na rowerach, wprowadzaniem psów, hałaśliwym zachowaniem, deptaniem trawników, niszczeniem ławek i groźące surowymi karami za łamanie przepisów. A tymczasem jakby na złość robi się tam wszystko, czego nie wolno. Kpi się z tych zakazów, bo nikt kar nie egzekwuje: przecież w parku nie ma dozorczy a i milicja tu prawie nie zagląda. Albo te skrzynki, przy których (zamiast w których) leżą niedopalki papierosów, ogryzki jabłek, lupiny, ba, czasami nawet potłuczone butelki po wódce. Ławki porżnięte, z wyciętymi imionami, mało tego, jakże często połamane, jakby jakiś bezzębny wandal sam czy wspólnie z innym barbarzyńcą próbował na nich swoich sił. Ścieżki wydeptane na trawnikach dla skrócenia drogi do sąsiadującej szkoły. I nad tym wszystkim unoszą się kłęby żółtego dymu z kolumna usytuowanych opodal miejskich łazienek. Też „kultura”! Pisze się szeroko o ochronie środowiska, o zanieczyszczeniu powietrza, a tutaj mimo kilku artykułów w sprawie tego dymu nie można czy nie chce się złożyć filtrów, przedłużyć kolumna, przejść na opalanie koksem i łazienki służące przecież higienie (o, paradoksie!) wciąż zatruwają ulicę i park, w którym bawią się dzieci z przedszkola.

A przed budkami — klub piwoszy, raczą się na stojąco tanim alkoholem (ilość przechodzi w jakość) i dysputują w jędrnej rodzimej łacinie. W „Delikatesach” łąda z napojami wysokowymi obłożona. Przeważają mężczyźni, choć trafiają się i kobiety. Nawet piękno natury nie powstrzyma przed nakłoniem. Jakże często wycieczki organizowane przez różne zakłady pracy wiążą się z libacją „na zielonej trawce” (widziałem to i w Zakopanem, i w Ojcowie), libacją, po której zostaje śmieć i puste butelki. Zalany widok! A przecież odpowiednie czynniki kulturalno-oświatowe w związkach zawodowych powinny uczestników wycieczki pouczyć, jak należy przyrodę szanować. Skąd ludzie biorą na to wszystko pieniądze i jak to się odbija na ich budżecie rodzinnym, na atmosferze domowej, na rodzinie i pracy? Dechód, jaki ma monopol ze sprzedaży alkoholu, już pomijając amoralność tego źródła, jakżeż jest iluzoryczny wobec strat, jakie za sobą pociąga. Zresztą pisało się o tym i pisze wciąż wiele. Wytyczne w punkcie 95 podkreślają: „musi być potraktowany ostrzej problem alkoholizmu”. Poprawilibym: jak najostrzej!

A jakie świadectwo naszej kulturze dają tw. miejsca użyteczności publicznej, ich czystość i porządek? Co cudzoziemcy przynaglani do skorzystania z nich mogą sobie o nas pomyśleć?

Oto obraz „kultury” na co dzień. Bynajmniej nie przejaśkrawiony. Jak walczyć z tym wszystkim? Jak usunąć w tym ważkim wyrazie cudzysłów?

Wychowywać i karać. Wychowywać — nigdy nie dość powtarzać tych truizmów — od maleńkiego dziecka, wpajając dobre zasady najpierw przez dom rodzicielski o właściwym klimacie, potem przez przedszkole, szkołę, obcowanie z kulturalnymi ludźmi, harcerstwo i inne organizacje młodzieżowe, literaturę, szkołę, prasę, radio, telewizję, sport itd.

Przed wszystkim — dom rodzinny, przedszkole i szkoła. Mądre jest przysłowie: „czym skorupka...” A jeśli w domu nie zawsze panuje odpowiednia atmosfera, tym większy obowiązek spada na przedszkole i szkołę. Uczy się na specjalnym szkoleniu — i jakże słusznie — umiejętnościach przechodzenia przez jezdnię, dlaćgóż na tzw. „godzinach” wychowania obywatelskiego nie poruszają tych najwzkiejszych zasad związanych z kulturą na co dzień. Zresztą ileż i lekcje mogą odpowiednich uwag nastęrczyć, zwłaszcza przedmioty humanistyczne. Pamiętam taki obrazek z Moskwy, który mi się ogromnie podobał. Szedłem przez skwer, a jakiś przechodzień szmygnął na alejkę puste pudełko po papierosach. I oto widzę, zrywa się z ławki jakaś mała dziewczynka, podnosi pudełko i wrzuca je do skrzynki. Ktoś ją musiał do porządku wdrożyć — rodzice w domu czy nauczycielka?

A kary? Te należą przede wszystkim do rodziców i szkoły. Oczywiście nie kary cielesne. A jakże ważną rolę do spełnienia ma milicja! Dzieci i młodzież czują respekt przed mundurem. Już sam jego widok może ich powstrzymać od jakiegokolwiek wykryku. Milicjant pilnuje porządku, instruuje, karci a w razie czego i ściga karne mandaty. To jest profilaktyka zapobiegająca groźniejszej ingerencji.

Chyba te nieblahe przecież sprawy zostaną w jakiś sposób również poruszone na Zjeździe, który ma uzdrowić pod każdym względem nasze życie w Polsce?

zagadnieniem niezwykle ważnym jest właściwe ich wykorzystanie. Jeżeli się bowiem uwzględni fakt, że większość nowych w naszym kraju obiektów inwestycyjnych ostatnich 20 lat była projektowana, budowana i wyposażona z uwzględnieniem aktualnego poziomu techniki europejskiej, a nawet światowej, to nie podlega dyskusji, iż warunki ilościowe i jakościowe wzrostu gospodarki były od strony technicznej w zasadzie spełnione. Natomiast przygotowanie organizacyjne do eksploatacji tych, często miliardowych obiektów, nie zawsze stało na odpowiednim poziomie. Nie pomogło nawet wydanie odpowiednich zarządzeń państwowych, zobowiązujących inwestorów do równoległego z projektem technicznym przygotowania projektów organizacji nowo uruchamianych przedsiębiorstw czy obiektów (projektów tych nie miał kto robić!).

Stąd później długotrwałe uruchomienia, „uczenie się na błędach”, nastrożone nierzadko niebędące potrzeby rezerwy produkcyjnej. Niestety, nawet obecnie bieżąco uruchamiane, wyposażane w najnowszą technikę światową obiekty, nie są wolne od tego pierwotnego grzechu.

Niedocenianie czynnika organizacji od pierwszej godziny życia nowego organizmu wytwórczego powoduje dalsze, jeszcze bardziej złożone konsekwencje. Wydawałoby się np., że truizmem jest udowadnianie współdziałania i współzależności postępu technicznego i organizacyjnego. Niestety, tak nie jest. W decydującej ilości przypadków obydwie te pojęcia są traktowane u nas rozłącznie i to ze szkodą dla idei postępu gospodarczego w ogóle. Tymczasem można zarówno teoretycznie jak i praktycznie udowodnić, że istnieje ścisła współzależność tych zjawisk. Postęp techniczny może dać pełny efekt ekonomiczny jeśli zostaną stworzone właściwe warunki organizacyjne do jego pełnego wdrożenia i vice versa.

W szerokim aspekcie nieuwzględnianie powyższej prawidłowości objawia się w niskim stopniu wdrażania nowych pomysłów usprawniających technikę wytwarzania i organizację produkcji. Ale nie tylko. Uwarunkowanie się postępu w technice i organizacji występuje i w innych dziedzinach, np. w tak modnej dziś mechanizacji i automatyzacji przetwarzania danych. Zainstalowanie stacji maszyn analityczno-liczących lub komputera jest niewątpliwie wyrazem postępu technicznego. Toteż starają się o nie (koszt kilka milionów zł) co bardziej ambitne przedsiębiorstwa i instytucje. A potem okazuje się, że stopień ich wykorzystania jest bardzo niski. Dlaczego?

Otóż aby tym, szybko i sprawnie przetwarzającym dane, maszynom zapewnić ciągły i sprawny dopływ informacji, niezbędne jest generalne uporządkowanie wewnętrznej organizacji, ujednoczenie i usprawnienie obiegu dokumentacji źródłowej. A to jest ogromna robota organizatorska na 3 do 5 lat. Przedsiębiorstwa najczęściej przystępują do niej w momencie... uruchamiania zainstalowanych urządzeń, i z reguły nie doprowadzają jej do końca.

Przykładów potwierdzających obiektywność tezy o współdziałaniu postępu technicznego i organizacyjnego jest aż nadto. Konsekwencja osiągniętego w przedsiębiorstwie wysokiego poziomu organizacji zarządzania, pracy i produkcji jest zawsze atmosfera sprzyjająca postępowi technicznemu i wynalazczości, wzrostowi kultury techniczno-produkcyjnej oraz humanizowaniu procesów pracy. Rozwój techniki inspiruje dalsze usprawnienia organizacji pracy i produkcji. Jest to więc proces łańcuchowy i ciągły: kolejnym etapem postępu organizacyjnego odpowiada rozwój techniki i odwrotnie.

Nasuwa się więc oczywisty wniosek: programowanie, projektowanie i realizacja postępu gospodarczego powinny uwzględniać współzależność postępu technicznego i organizacyjnego, jako warunku osiągnięcia optymalnej efektywności społecznych nakładów na ten cel.

Powyższe, oczywiste prawdy, głoszone i postulowane od lat przez organizatorów skupionych w Towarzystwie Naukowym Organizacji i Kierownictwa, mają wszelkie szanse realizacji w obecnym klimacie odnowy; bez tego najlepsze założenia reformy gospodarczej nie dalyby oczekiwanych wyników.

Wbrew pojawiającym się, niesłusznym poglądom, mamy nieliczną wprawdzie, ale wysokiej klasy kadrę organizatorów — praktyków i naukowców. Rzecz w tym, że niewiele z nich ma warunki do pełnego wykazywania we własnych zakładach pracy swoich możliwości i ambicji. Tym kierowało się TNOiK zabiegając od 5 lat o utworzenie wyspecjalizowanej jednostki projektowo-wdrożeniowej w zakresie usług organizatorskich. Dotychczas bezskutecznie.

W tym czasie najbliżsi nam sąsiedzi z RWPG gwałtownie nas wyprzedzili. Dość np. wspomnieć, że przy istniejącym dopiero od 3 lat w Koszycach (CSR) oddziale podobnego stowarzyszenia istnieje od 2 lat Instytut Doradztwa Organizacyjnego, obsługujący wiele przedsiębiorstw i instytucji Słowacji. TNOiK zaś szczyci się 50-letnią tradycją i ogromnym dorobkiem, niestety nie w pełni wykorzystanym.

Oczywiście, zapotrzebowanie na pomoc organizatorską może istnieć tylko w określonym klimacie, który tworzy reprezentująca odpowiedni poziom kadra kierownicza. Mamy dowody na istnienie takiej kadry. Są również, niestety nierzadkie, przykłady negatywne. Do nich np. można zaliczyć pewnego naczelnego kierownika ze szczebla wojewódzkiego zarządu, który tylko dlatego polecił rozwiązać dyrektorowi podległego mu przedsiębiorstwa budżet z organizatorami, że ci natknęli się w trakcie analizy na budzące wątpliwości stanowisko pracy, stworzone w tym przedsiębiorstwie dla... syna owego wysokiego zarządcy.

Należy oczekiwać, że spodziewana reforma gospodarcza stworzy, poprzez swoje wysokie wymogi, naturalne sito, przez które przejdzie tylko zdrowe ziarno. Tym ludziom organizatorzy będą potrzebni, bo taka jest prawidłowość rozwoju współczesnej cywilizacji, co obserwujemy na całym świecie. Pilną więc sprawą jest przygotowanie się do reformy zarówno przez wdrażanie wiedzy organizatorskiej w zakładach pracy, jak i niezłoczne uruchomienie wyspecjalizowanych, organizatorskich jednostek usługowych. Pierwszą z nich powinna powstać w Lublinie — gdzie przed 5 laty rozpoczęto o to starania.

Refleksje o teatrze

Kazimierz Braun

POKUTUJĄ jeszcze nawyki myślenia wedle których sztuka starożywieca może być rzecznikiem nowoczesnego społeczeństwa i może nowoczesnemu społeczeństwu służyć.

Decydując się dzisiaj w sposób stanowczy i konsekwentnie postawić na unowocześnienie naszego kraju, musimy sobie bardzo jasno uświadomić, że jeżeli w procesie tym uczestniczyć ma sztuka, to musi to być sztuka nowa. Lecz zarówno ambicje sztuki, jak i zadania, którymi służyć jest obarczana, nie pozwalają pozostać na uczestniczeniu. W zachodzące procesy artyści chcą włączyć się czynnie. Mają szanse intensyfikować je swoją działalnością, przyspieszać je i przewidywać. Posiadają bowiem umiejętności prostego, bezpośredniego i gorącego trafiania

do ludzkich serc, kierowania bieżącą myślą, pobudzania wyobraźni.

* Uczestniczenie w procesie pracy i w procesie artystycznego kształtowania rzeczywistości zarówno może być twórcze. Więcej. Musi być twórcze. Norwid: sztuka to chorągiew na prac ludzkich wieży. I gdzie indziej: praca jest tak dalece samodzielną, iż najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza a nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu... to próżniak... i doświadczony dozorca pracy oddała go. To pojęcie moje o pracy całe jest, bo od brukującego ulicę, do Kopernika też same i jedno i zupełnie. Zaś dlatego całe, że prawdziwie. Nikt ze smętności większą do pracy się nie zabiera jak pańszczyźniany kmięć... i jakkolwiek postawisz taką pracą piramidę, jednakże nie postawisz taką pracą na nogi chromego narodu!

* Praca zatem społeczeństwa i twórczość jego artystów zarówno są czynnikami postępu. Zarówno nadają sens naszemu życiu i świadczą o naszej ludzkiej godności.

* Współczesna sztuka wśród licznych i różnych swoich wartościowych tendencji w jednym zwłaszcza odróżnia się od sztuki dawniejszej. Najwyraźniej bodaj widać to w teatrze. Oto w teatrze współczesnym coraz bardziej aktywna i czynna rola przyznawana jest widzowi. Widz staje się każdorazowo rzeczywistym współtwórcą widowiska. Ma szansę wpływania na jego bieg. Otrzymuje prawo głosu i działania. Stwarza to teatrowi nowe, niezwykle intensywne możliwości oddziaływania społecznego.

* Oczywiście jest dla wszystkich ludzi choć luźno związanych z teatrem, że jest on obecnie w okresie bardzo wyrazistych przemian. Nie ma to zresztą nic wspólnego z banalnymi i bezsensownymi okrzykami na temat rzekomego kryzysu teatru. Po prostu na naszych oczach kończą się, obumierają, przestają być nośne pewne formy. Inne, przeciwnie, rodzą się i rozkwitają. Naszą rzeczą, rzeczą ludzi teatru, a także wszystkich odpowiedzialnych za politykę kulturalną jest procesy te umieć dostrzec i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski: postawić na zjawiska postępowe, te, do których należy przyszość. Z pewnością przez czas jakiś różne prądy będą płynęły obok siebie. Zawsze trwa jeszcze stare, gdy zaczyna już działać nowe. Rzecz w tym, aby nie szminkować starego i nie rzucać kłód pod nogi nowemu.

* I tak oczywiście jest, że następują procesy przemian w dramaturgii, aktorstwie, scenografii, reżyserii. Gdy idzie o tę ostatnią nie do przyjęcia jest już typ reżysera — dyktatora, przystępującego do prób z zaplanowanym w wyobraźni przedstawieniem, które jedynie wypełnić każe potem aktorem swoją obecnością. Dzisiejszy reżyser jest raczej inspiratorem, doradcą, tworzy warunki i wytwarza atmosferę pracy całego zespołu. Pobudza. Proponuje. Animuje. Tak więc kształtowanie się nowej zespołowości jest jednym z tych nowych elementów sztuki teatru, które wydają się określać jej najważniejsze zjawiska współczesne; zjawiska w rozwoju.

* Niewątpliwie jest odwrót nowego teatru od starych budynków teatralnych. Dominująca dziś forma teatru pudełkowego jest wytworem dawnych okresów historii. Wywodzi się z iluzyjnej sceny XVII wieku. Jej rozkwit nastąpił w teatrach — nie ludowych — ale dworskich. Rozprzestrzeniła się i osiągnęła szczyt rozwoju w XIX wieku jako forma teatru mieszczańskiego, okresu rozkwitu kapitalizmu. To właśnie w latach 1880—1914 zbudowano największą liczbę teatrów w historii Europy. (Także w Lublinie w 1886 r.). Ta forma architektoniczna teatru związana z określoną formacją społeczną — kapitalizmem, z ówczesnym podziałem klasowym, z ówczesną, dziś już w większości martwą dramaturgią — jest w oczywisty sposób nieprzydatna, więcej wsteczna i anachroniczna w nowym społeczeństwie o ustroju socjalistycznym. Stoi więc przed nami potrzeba budowania nowych teatrów dla nowego społeczeństwa, dla nowej sztuki. W starych budynkach sztuka teatru nie jest już w stanie mówić pełnym głosem. Potrzebne nam są budynki teatralne na ostatnie 25 lat wieku XX i na wiek XXI.

* W pogoni za statystycznymi sukcesami w upowszechnianiu kultury zapomnieliśmy w pewnej mierze o najważniejszym: co mianowicie upowszechniamy. A upowszechniamy częstokroć rzeczy kiepskie, powierzchowne, nie przemysłane i nie przygotowane. Dzieje się tak z wielu przyczyn, z których pierwszą jest to, iż teatrom nie stwarza się dostatecznych warunków organizacyjnych. Rosnąca liczba przedstawień (pozornie sukces upowszechnieniowy) powoduje automatycznie zmniejszenie liczby prób przeznaczonych na przygotowanie poszczególnych premier. Bowiem liczba aktorów i godzin pracy w ciągu dnia się nie zmienia. Im więcej więc przedstawień, tym są one w gorszych warunkach przygotowywane. Heroiczne wysiłki aktorów pracujących po nocach nie mogą na stałe zaradzić złu. Rozmawianie więc się redukuje: po prostu im więcej przedstawień, tym są one gorsze.

Powinniśmy na nowo rozpatrzyć obiektywne możliwości teatru i to nie z punktu widzenia statystyki, ale jego roli politycznej i społecznej. Należy więc analizować po pierwsze „co”, a zatem rzeczywistą wartość poszczególnych premier. A nie liczbę powtórzeń. Pozwoliłoby to również na rzeczywiste zwrócenie się teatru do środowisk robotniczych, studenckich, wiejskich. Pozwoliłoby na rozmowę z konkretnym widzem. A nie z widzem anonimowym, statystycznym. Teatr czyni wielkie wysiłki, aby przełamać ten stan rzeczy. Dyskusje po „Sprawie majora Hubala”, trwające nieraz po godzinie i więcej, są dowodem sukcesów na tej drodze. Potrzebna jest jednak pomoc z zewnątrz. Potrzebne jest pilnie i konkretnie nowe ustalenie „wskaźników” określających pracę teatru, tak aby były one wytyczną szerokiej polityki kulturalnej, a nie tylko optymistycznym zestawem cyfr w statystyce.

* Jeśli już mówimy o konkretnych, a nie spełnionych ciągłe jeszcze warunkach, które by pracą naszego teatru mogły umieścić w dostatecznych (wcale nie przesadnie dogodnych) ramach, nie sposób pominąć faktu, że w Lublinie aktorom mieszka się źle. Może najgorzej z ważnych miast teatralnych w Polsce. Władze czynią odpowiednie starania i okazują swą życzliwość. Warunki nadal jednak są niewystarczające. Zraża to wielu aktorów. Innych odstrasza od Lublina. Mamy bardzo dobry zespół aktorski. Obysmy — z powodu braku mieszkań dla zespołu — nie mieli gorzej. A gdybyśmy dysponowali choć minimalną liczbą mieszkań co roku — moglibyśmy mieć zespół jeszcze lepszy.

* Jest ponadto wiele problemów, o których chciałoby się mówić. Ważne jest to, że dziś głos przedstawicieli środowisk, głos ludzi, którym w rzeczywisty sposób zależy na doskonaleniu swojej działalności i rozwijaniu swych warsztatów pracy — jest słuchany. Jeśli więc nie przy okazji tej wypowiedzi, to przy innych okazjach rozszerzy się wachlarz problemów. Myślę, że obecny czas — przedzjazdowy — jest czasem właściwym na stawianie sobie samemu na obszarze swojej działalności najważniejszych, poważnych pytań. I szukanie nowych odpowiedzi. Postępowanie zgodnie z nimi. Tylko taka postawa nadać może naszym poczynaniom artystycznym dynamizm, który tak akcentował Józef Teichman: Ten dynamizm, który pojawił się w życiu, powiesien stworzyć nowy klimat dla twórczości naukowej i kulturalnej. Nowy klimat nie jest programem dla kultury, jest tylko warunkiem jej rozkwitu, jest czynnikiem wyzwalającym nowe intencyjny twórcze. Dotyczy to literatury, sztuki filmowej, twórczości teatralnej, plastycznej itp. Rzecz jasna, najcenniejszymi głosami w dyskusji byłyby dzieła twórcze, które przyniosą nowe, nie znane jeszcze spojrzenia na problemy i doświadczenia, które są naszym udziałem, jako społeczeństwem budującego socjalizm i jako narodem polskiego i wreszcie jako części ludzkości wraz z jej problemami obecnego wieku.

Odważnie i rozważnie

Czym Estradzie można pomóc?

Wiesław Kryński

ATMOSFERA szczerzej dyskusji przedzjazdowej zachęcała mnie do wypowiedzenia się na temat problemów zawartych w Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii. W szczególności pragnę wypowiedzieć się w sprawie Estrady, o której dyskutuje się od szeregu lat na różnych naradach i konferencjach ministerialnych, często z udziałem kierownictwa resortowego, mówi się i pisze w prasie lokalnej i centralnej — częściej źle niż dobrze. Bardzo rzadko natomiast wskazuje się na przyczyny istniejącego zła. Zło zaś nie tkwi moim zdaniem w samej działalności tej instytucji, lecz w jej strukturze organizacyjno-programowej.

Przed wojną działało w paru większych ośrodkach kultury — Warszawie, Krakowie i Łwowie — kilka ekskluzywnych kabaretów („Morskie Oko”, „Qui pro quo”, „Zielony balonik”, „Czarny kot”). Przygotowywały one przeważnie programy satyryczno-obyczajowe. Autorami, a nawet mecenasami kabaretów byli tacy wytrawni literaci, jak Tadeusz Boy-Zeleński czy Julian Tuwim. W pozostałych większych miastach działało jeszcze kilkanaście „knapiańskich” zespołów wariete dla ludzi szukających taniej, niewybrednej rozrywki.

Kiedy po wojnie działalność kulturalną nadano charakter masowy, nie mając wzorców do naśladowania, sprawy upowszechniania rozrywki powierzono organizacjom społecznym; początkowo zajęł się nią „Czytelnik”, a od 1948 r. Artystyczna Organizacja Społeczna „ARTOS”. I tak rozpoczęła się reorganizacja kołomyjka. I stycznia 1950 r. minister kultury i sztuki w miejsce AOS „ARTOS” powołał Państwową Organizację Imprez Artystycznych z siedzibą w Warszawie. W terenie działały delegatury wojewódzkie, w oparciu o artystów miejscowych instytucji artystycznych organizowały trupy poetyckie, wokalne czy muzyczne dla obsługi zakładów pracy, szkół, wsi, PGR-ów, spółdzielni produkcyjnych. Działalność ta finansowana była całkowicie przez państwo.

Wobec stale wzrastającego zainteresowania powstała konieczność podjęcia organizacji imprez artystycznych dla masowego odbiorcy, imprez odpłatnych na rzecz organizatorów. 20 grudnia 1954 r. minister kultury i sztuki przekazał dotychczasową Państwową Organizację Imprez Artystycznych w Centralny Zarząd Imprez Estradowych „ESTRADA” z siedzibą w Warszawie; w miastach wojewódzkich utworzone nadzorowane przez CZIE odrębne przedsiębiorstwa estradowe z własnymi zadaniami statutowymi, obejmującymi m. in. organizowanie imprez estradowych przede wszystkim w ośrodkach wiejskich i poza-wojewódzkich teatrów, dalej imprez masowych, zespołów zagranicznych, imprez okolicznościowych dla zakładów pracy, na zlecenie innych instytucji, w tym gastronomicznych, a także prowadzenie estrady satyrycznej.

Zadania te Estrady wykonywały w oparciu o stałe zespoły etatowe (około 6 zespołów po 5 do 8 osób każdy) oraz pomocnicze, organizowane przez prywatnych impresariów. Zespoły etatowe przygotowywały programy zaangażowane, przeznaczone do szerokiego upowszechniania zgodnie z wytycznymi polityki kulturalnej, zaś prywatni impresariowie przygotowywali przeważnie programy rozrywkowe o znikomym ładunku ideowo-wychowawczym, jak również programy dla zakładów gastronomicznych.

W wyniku ustawy o decentralizacji nastąpiły dalsze zmiany. 28 czerwca 1957 r. zlikwidowano Centralny Zarząd Imprez Estradowych w Warszawie, a funkcje jego przejęły: w zakresie polityki kulturalnej — Centralny Zarząd Teatrów w Warszawie (obecny Zespół do Spraw Teatrów i Muzyki), w zakresie zaś zarządzania przedsiębiorstwami — prezydium wojewódzkich rad narodowych. Ale każde prezydium pozycyliło tak duże zmiany w organizacji i zasadach finansowania tych przedsiębiorstw, że w chwili obecnej nie ma dwóch podobnych w sensie strukturalnym Estrad w Polsce, mimo iż ich przedmiot działania pozostał ten sam.

Zmiany nie oszczędziły i lubelskiej Estrady. W dniu 27 XII 1960 r. uchwała nr 304 Prez. WRN dokonała zmiany statutu oraz nazwy przedsiębiorstwa. Utworzono Wojewódzką Agencję Artystyczną, zawierającą jej kompetencje do działalności impresaryjnej. Etaty artystyczne wraz z dotacją finansową przekazano do Teatru im. J. Osterwy, pozostałe składniki majątkowe rozdzielono między teatr i operetkę. Była to faktyczna likwidacja Estrady. 29 marca 1961 r. Prez. WRN dokonało ponownej zmiany nazwy na Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych w Lublinie. Nadano mu statut dawnego przedsiębiorstwa estradowego, z tą jednak różnicą, że pozostawiając przedsiębiorstwu szerokie uprawnienia w zakresie przygotowywania własnych programów o walorach upowszechnieniowych, nie stworzono warunków koniecznych dla ich realizacji. Dyrekcja lubelskiej Estrady już wówczas zdawała sobie sprawę z tej paradoksalnej sytuacji i opracowała własne założenia, zmierzające do powołania działalności impresaryjnej i własnej działalności programowej. Plan działania obejmował dwa etapy:

- 1) uporządkowanie spraw administracyjno-gospodarczych i ekonomicznych,
- 2) otwarcie własnego teatru i organizacji imprez o randze krajowej.

Realizacja pierwszego etapu przypadła na lata 1962—1964. Uporządkowano sprawy kadrowe, pozbyto się ludzi nieuczciwych, wprowadzono nowy system organizacji imprez i prowadzenia dokumentacji, uzyskano niewielką dotację na działalność programową, zakup środków transportu i adaptację pomieszczeń na teatr. W okresie tym w działalności impresaryjnej panowało znaczne ożywienie. Zaprezentowano społeczeństwu Lublina i Lubelszczyzny niemal wszystkie zespoły i programy aktualnie działające w kraju. Było to tym łatwiejsze, że wówczas nie działała jeszcze szeroka sieć telewizyjna, stanowiąca dziś poważną i zdrową konkurencję, istniała również łatwość sprzedawania programów i uzyskiwania środków pieniężnych.

Drugi etap przypada na lata 1965—1968 i choć był on okresem trudnym, to jednak charakteryzuje się bezspornym wzrostem poziomu artystycznego i organizacyjnego lubelskiej Estrady. W związku z otrzymaniem do eksploatacji teatru „Relaks” publiczność lubelska mogła oglądać ciekawe programy, ciesząc się wielkim uznaniem krytyki, posiadając

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 9

Czym Estradzie można pomóc?

Dokończenie ze str. 9

jące duże walory artystyczne i upowszechnieniowe. Programy te sprowadzane były z największych ośrodków kulturalnych w kraju, a występowały w nich najwybitniejsi artyści scen polskich.

Wspólnie z aktorami miejscowych teatrów przygotowywano programy własne, z których wyróżniły się: „Poemat o m. Lublinie”, „Lekkożylna Muza”, „Nie boska komedia”, „Na brawo patrz” i „Piotr i Ja”. Łącznie w latach 1968—1967 w teatrze „Relaks” wystawiono 38 programów. Również w oparciu o „Relaks” podjęto w 1966 organizację imprezy o charakterze ogólnopolskim, nadając jej przebieg w stosunku do szumnie reklamowanych efemeryd-festiwalu nazwę „Nasz Mały Festiwal”, który konsekwentnie jest realizowany do dzisiaj, zdobywając sobie coraz większą popularność i uznanie. Próba objęcia niektórymi programami festiwalu innych miast jak Chełm, Puławy, Kraśnik, Naleczów, Kazimierz czy Siedlce, powodza się, wobec czego w roku bieżącym objęto nimi także miasta powiatowe Lubelszczyzny. Dla informacji podaje, że w szeregu festiwali zaprezentowano 64 programy, zorganizowano 187 imprez, które obejrzało 47 864 widzów z Lublina i Lubelszczyzny.

Jednak niedługo Estrada mogła nacieszyć się własną, z wielkim trudem wyremontowaną salą: decyzją władz wojewódzkich w roku 1968 przekazano salę „Relaks” do dyspozycji Miejskiego Domu Kultury. W ten sposób pozabawiono Estradę lokalu, który spełniał rolę sali koncertowej, sali przeglądów zespołów i sali prób własnych programów. Tak zmuszono Estradę do rezygnacji z ambitnych zamierzeń dotyczących otwarcia stałego teatru, pozostawiając jej swobodę w szerokiej działalności impresaryjnej, określając tym samym jej charakter jako agencji artystycznej.

Estrady są przede wszystkim przedsiębiorstwami rozrywkowymi i jako takie winny zapewnić publiczności godziwą rozrywkę, bądź to za pośrednictwem zespołów własnych, bądź kupowanych w kraju i za granicą. Dlatego też stała ich troską jest to, aby programy posiadały odpowiedni poziom artystyczny; ponieważ jednak Estrady mają również obowiązek realizowania określonych planów rzeczowo-finansowych, zadanie takie jest więc trudne, nie zawsze bowiem ambitne artystycznie i ideowo programy są dostatecznie popularne i gwarantują frekwencję oraz wpływy finansowe; odwrotnie, bardzo często zespoły i ich programy dość mierne pod względem artystycznym, są modne, popularne i gwarantują uzyskanie odpowiednich wpływów.

W latach 1968—1971 obserwuje się ciągły spadek liczby imprez organizowanych w miejscowościach poniżej miast powiatowych. Głównymi przyczynami tego zjawiska są: a) zmniejszanie z roku na rok dotacja finansowa na programy upowszechnieniowe dla wsi, małych miast i młodzieży szkolnej, b) wielkość sal widowiskowych w tych ośrodkach nie pozwalająca na osiągnięcie wyższych wpływów ze sprzedaży biletów. Ten stan rzeczy wydaje się istnieć we wszystkich Estradach.

Biorąc pod uwagę ilość i konsekwencje przemian, które towarzyszyły Estradom w okresie ich trudnej działalności, wydaje się, że nie może istnieć w dalszym ciągu sytuacja, w jakiej znalazły się obecnie te przedsiębiorstwa. Nadszedł czas, by na szczeblu centralnym, pomiędzy resortami finansów i kultury, uporządkować sprawę, ustalając potrzeby, cel i zadania Estrad w Polsce. Przed wszystkim należy skończyć z ciągłą reorganizacją tej instytucji. I ustalić, czym wreszcie ma być. Czy w dalszym ciągu, niezgodnie z zadaniami statutu, ma handlować improwizowanymi składkami, imprezami popularnie zwanymi chałturą, czy upowszechniającą instytucją artystyczną ideowo-wychowawczą, działającą w głębokim terenie, szczególnie tam, gdzie nie docierają zawodowe teatry, opery, operetki i filharmonie?

Postulowanie nadania wszystkim Estradom jednolitej struktury organizacyjno-ekonomicznej byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Trudno też sobie wyobrazić, że od 1 stycznia 1972 r. każda z Estrad otrzyma milionową dotację finansową, co najmniej 30 etatów artystycznych i technicznych, odpowiednią salę prób i potrzebne wyposażenie techniczne, nie mówiąc już o możliwościach zaplecza twórczego poszczególnych środowisk. Dlatego też za punkt wyjścia należy przyjąć obecne warunki pracy, przysparzając je do możliwości rozwojowych. Wychodząc z tego założenia, osobliwie widząc następującą strukturę Estrad:

W grupie pierwszej należy umieścić te Estrady, które posiadają wszelkie warunki do tworzenia programów estradowych różnych form, od recitali, monodramatu, kabaretu, wariete do rewii włącznie. Gwarantując tworzenia dobrych programów, dla kraju i za granicą, dając odpowiednią ilość czołowo i jakościowo kadra artystyczna, skupiona w Estradzie oraz pozostałych instytucjach artystycznych, następnie działających przy Estradzie sztab twórców (pisarzy, reżyserów, kompozytorów, scenografów, choreografów), umiejętnie dowodzony przez kierownictwo artystyczne i administracyjne Estrady. Oddane do ich dyspozycji wyposażone sale widowiskowe i sale prób wraz z odpowiednią dotacją finansową powinny stanowić bazę produkcyjną Studia Programów Artystyczno-Estradowych. Moim zdaniem tylko trzy ośrodki odpowiadają tym wymogom: w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu. Sprawowanie nadzoru merytorycznego nad Studiami powinno należeć do Ministerstwa Kultury i

Sztuki, zaś nadzór administracyjno-ekonomiczny — do prezydentów właściwych rad narodowych.

W drugiej grupie powinny znaleźć się Estrady, które tylko częściowo posiadają warunki dla tworzenia programów estradowych o określonym profilu (literackim, muzycznym) na użytek własny, z możliwością wymiany programów między sobą oraz z Estradami grupy pierwszej. Na ograniczone działanie Estrad tej grupy wpływa mała liczebna grupa aktorska i nie dość prężne środowisko twórcze. Do tej grupy zaliczyłbym ośrodki w Katowicach, Łodzi, Poznaniu i być może w Gdańsku.

Do grupy trzeciej należy zaliczyć pozostałe Estrady, które nie mają praktycznej możliwości przygotowywania programów estradowych na użytek własnej działalności, z wyjątkiem programów okolicznościowych. Byłyby to samodzielne przedsiębiorstwa wojewódzkich agencji artystycznych, nadzorowane merytorycznie i administracyjno-ekonomicznie przez prezidia wojewódzkich rad narodowych.

Każda z wymienionych grup estradowych powinna posiadać odrębne statuty, dostosowane do potrzeb i możliwości danego ośrodka, opracowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, sprawujące również rolę koordynatora działalności estradowej w kraju i na zagranicę oraz nadzór w zakresie realizacji polityki kulturalnej państwa w dziedzinie estrady. Wprowadzenie w życie proponowanych założeń strukturalnych okazałoby się niemożliwe, gdyby nie zweryfikowano istniejących obecnie, często przestarzałych, nieżyjących przepisów i zarządzeń. Trzeba je dostosować do aktualnych potrzeb działalności artystycznej Estrad, pozostawiając ich dyrektorom maksimum swobody dla podejmowania odpowiedzialnych decyzji.

Wiesław Kryński

Uchwały i plany zamiast Wytycznych

Jerzy Dostatni

W OSTATNICH tygodniach dyskusji słyszałem kilkakrotnie pytanie: czy my czasem nie przegadamy Polski? Myślę, że nie przegadamy. W zeszłorocznym grudniu i tegorocznym styczniu gadałymi chyba jeszcze więcej, że nie zawsze słusznie, to inna sprawa. Ale przecież właśnie wtedy nowe władze wystawiły nam wszystkim czeki bez pokrycia i to na poważne sumy. Cofnięto podwyżki na wiele artykułów, zamrożono ceny artykułów spożywczych na dwa lata, wydano miliardy na podwyżki najniższych płac i najpierw na dorazne, a zaraz potem na bardziej długofalowe podniesienie warunków bezpieczeństwa i higieny pracy itd.

Nie na wszystkie te działania rząd posiadał w styczniu odpowiednie środki. Wystawił więc owe czeki bez pokrycia finansowego, ale był przekonany, że ma całkowite pokrycie w zaufaniu społeczeństwa, w nowym klimacie, w nowych formach działania, w rezerwach produkcyjnych i psychologicznych, które mogły się ujawnić dopiero w tych rzeczywistych nowych warunkach, jakie zaczęły się kształtować po grudniu.

Dziś już wiemy, że partia i rząd nie zawiodły się w tych obliczeniach. Z październikowego wystąpienia premiera Jaroszewicza w Sejmie dowiedzieliśmy się, że społeczeństwo, a klasa robotnicza przede wszystkim, dało nie tylko pełne pokrycie na owe czeki, ale nawet stworzyło pewne zapasy środków na dalszą rozbudowę kraju, na znaczne zwiększenie budownictwa mieszkaniowego, na dalsze podnoszenie stopy życiowej nas wszystkich.

A przecież przez cały ten czas toczyły się wszędzie zażarte dyskusje. Najpierw takie w ogóle, potem już konkretnie nad Wytycznymi na VI Zjazd. W tych dniach owe Wytyczne przekształcały się w uchwały VI Zjazdu. Nie znamy jeszcze konkretnych sformułowań tych uchwał, nie wiemy, które z wniosków będą realizowane jutro, które pojutrze, a które jeszcze później. Ale istota tych uchwał jest już znana nie od dzisiaj: dalszy, szybszy niż dotąd rozwój naszej socjalistycznej gospodarki i znacznie szybszy niż dotąd wzrost poziomu życia nas wszystkich.

Podjęcie przez Zjazd odpowiednich uchwał nie oznacza wcale końca dyskusji. Myślę nawet, że będzie się ona toczyła nadal i to równoległe w dwóch kierunkach: ogólnym i szczegółowym. Ogólnym dlatego, że nikt przecież nie będzie uważał uchwał Zjazdu za absolutny wzór doskonałości. Również i zmieniające się wraz z upływem czasu warunki będą rodziły konieczność ciągłego wprowadzania uzu-

Odważnie i rozważnie

pełnień, korekt, jeszcze bardziej optymalnych działań. To normalne, chociaż trzeba pamiętać, że elastyczność w zarządzaniu i działaniu nie może być równoznaczna z przyjmowaniem wciąż innych koncepcji, kierunków, metod. Mamy już w tej dziedzinie nie najlepsze doświadczenia i czas najwyższy od nich odejść na rzecz konsekwentnego, zdyscyplinowanego realizowania długofalowych celów.

Po ciężkim kryzysie zaufania w roku ubiegłym, w bieżącym jesteśmy świadkami ciągłego narastania tego zaufania społeczeństwa do partii. Wyrazem tego była chociażby przedzjazdowa dyskusja, po raz pierwszy od wielu lat nie hamowana i z góry nie ukierunkowywana, a właśnie dlatego pełniejsza w zaangażowanie i wzajemne zaufanie. Ten wzrastający systematycznie kapitał zaufania jest chyba najcenniejszym dorobkiem przedzjazdowej dyskusji i powinien on dalej wzrastać właśnie w trakcie dalszych dyskusji — jak jeszcze lepiej, jeszcze efektywniej rozwiązywać czekające nas zadania.

Drugi kierunek dalszych dyskusji będzie się toczył w konkretnych warunkach danego zakładu pracy, danej instytucji, określonego urzędu. Tu głównym celem będzie znalezienie najlepszych metod w realizowaniu już szczegółowych zadań, stojących przed określoną jednostką gospodarczą, administracyjną czy społeczną. Niepomniernie wrzasta tu rola osobistej odpowiedzialności każdego z nas. Nie chodzi mi tylko o odpowiedzialność służbową. Jak wiemy, już maleje ilość zarządzeń, okólników, wskaźników itp., mamy nadzieję, że będzie ich jeszcze mniej. To jednak nie może przekształcać się ani w anarchię, ani w taki stan, że każdy będzie ciągnął w swoją stronę. Im mniej dyktaw z góry, tym większa odpowiedzialność osobista. Do przyjętego w zakładzie pracy czy urzędzie planu działania każdy zawsze może zgłosić poprawki, ale równocześnie program w takiej formie, w jakiej został przyjęty, musi obowiązywać wszystkich. A marginesu działania czy elastyczności nie wolno mylić ani z dowolnością, ani z brakiem konsekwencji.

W swojej najnowszej książce „Rozważania o Rzeczypospolitej” prof. Jan Szczepański pisze: Polska nie potrzebuje błyskotliwych kalamburów, złośliwości czy jałowej krytyki. Potrzebuje codziennego wysiłku ludzi rzetelnych, dających codziennie dobry przykład dobrej pracy na swoim własnym podwórku, w swojej pracy zawodowej. A nieco wyżej: Za Polskę odpowiedzialny jest każdy z nas. Los Polski nie jest tylko sprawą rządu czy partii, lecz sprawą każdego Polaka.

W styczniu cały kraj powtórzył Edwardowi Gierkowi: pomożemy. I pomógł, zapewniając z nadwyżką pokrycie owych czeków. Teraz czeka nas kolejna próba konsekwentnej realizacji tej odpowiedzi. To nie kilkunastoosobowy rząd, nawet nie milionowa partia wybuduje nam potrzebne mieszkania, zwiększy nasze dochody, zapewni sklepy potrzebami towarami. Partia i rząd wytyczają kierunki, określają zadania, stwarzają warunki działania. Takim najważniejszym kierunkiem działania jest sama istota socjalizmu, polegająca na uwzględnianiu w rachunku, i to na pierwszym miejscu, świadomej, twórczej aktywności społeczeństwa, które jest prawdziwym gospodarzem państwa.

Komitet Centralny, przedstawiając społeczeństwu Wytyczne jako materiał do dyskusji, odwołał się właśnie do tej świadomej i twórczej aktywności nas wszystkich. Z powodzeniem, może nawet większym od spodziewanego. Teraz, gdy Wytyczne przekształcają się w uchwały, odwołuje się znowu do społeczeństwa. Bo przecież tylko społeczeństwo może wcielić w życie te uchwały, może je przekształcić ze słów w realne czyny. Partia, rząd, mogą stworzyć — praktyka pokazuje, że wciąż je stwarzają na coraz większej płaszczyźnie — podstawowe warunki w skali ogólnokrajowej, mogą stwarzać bodźce materialne i emocjonalne, ale przecież nie są w stanie rozwiązywać szczegółowych problemów województw, powiatów, poszczególnych zakładów pracy, instytucji. Na szczeblach od makro- do mikrorejonych czy problemów muszą działać odpowiednie instancje, kierownictwa i grupy aktywu. Ale w ostatecznym rachunku także nie one będą decydowały o powodzeniu, lecz każdy z nas na swoim odcinku pracy.

W czasie dyskusji przedzjazdowej zrobiliśmy wszechstronny rachunek sumienia z tego wszystkiego, co tworzy nasze życie. Nie tylko po to, aby wskazywać drogi naprawy i poprawy, aby błyszczeć efektownymi propozycjami, czy biczować się. Mając olbrzymi kapitał, zebrany w czasie tej dyskusji, musimy teraz nim tak obracać, aby w możliwie najkrótszym czasie osiągać najpełniejsze efekty, dające nam wszystkim wyraźne odczucie poprawy bytu osobistego, a jednocześnie świadomość, że jako naród i państwo zajmujemy coraz wyższą pozycję w hierarchii światowej.

Stąd konieczność dobrej roboty, o której ostatnio tak głośno, dosłownie na każdym miejscu pracy. Stąd konieczność mądrego myślenia, zdyscyplinowania społeczeństwa, znacznie większej odpowiedzialności osobistej, przeniesienia zasad etyki z teorii do codziennej rzeczywistości, stąd konieczność samodzielnego działania bez popychania z góry w realizacji i kierunków ogólnych, i zadań konkretnych, określonych najpierw w uchwałach VI Zjazdu, a potem w obowiązującym planie pięcioletnim.

Okolice sztuki

Dobre nadzieje

MOZNA powiedzieć, że lata 1970 — 1971 plastyka lubelska kończy w atmosferze dobrych nadziei, które nie są wyłącznie projekcją ogólnych nastrojów społecznych. Nadzieje te wspierają konkretne fakty artystyczne, dość jeszcze, co prawda, nieliczne, ale sygnalizujące znaczny potencjał rozwojowy ich sprawców. Są to malarze młodzi, dopiero trzy lub cztery lata temu zaopatrzeni w dyplomy warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, którzy po ukończeniu studiów powrócili do Lublina, wnosząc tu sporo zapału i radości dla każdego powo-
dów do publicznej demonstracji osobistych poglądów na dzisiejszą twórczość plastyczną. Spowodowane przez nich wystawy, czy inne formy artystycznej obecności, gromadziły

rzadko spotykane w Lublinie tłumy widzów, dość żywo uczestniczących w pokazach i działaniach tej młodzieży, choć nie posuwała się ona tak daleko, aby zmuszać młode dziewczęta do zarzynania i patroszenia wieprzka w łóżku, jako koniecznego wstępu do tarzania się w jego krwawych wnętrznościach, co nie tak dawno temu zrealizował w Brunszwiku pewien wiedeńczyk. Wdarzenia lubelskie miały przebieg znacznie łagodniejszy, dostosowały do lokalnej wrażliwości i odporności, nie tyle inicjatorów, co uczestników; były zresztą sporadyczne, lecz na tyle ważne dla samopoczucia całości środowiska, że warte szczególnej akcentacji.

Nieodparcie nasuwa się porównanie wejścia tego młodego pokolenia w Lublin właśnie do happeningu, który — jak wiadomo — polega na inicjacji spontanicznie rozwijających się wydarzeń. Ta generacja przyniosła zaczął ruchu artystycznego o znamionach trwałości, będącego dokumentacją jej postawy wobec świata i sztuki, postawy innej od poprzedników.

Kiedyś, około 1963 roku, podobne nadzieje wiązano z pierwszą tak wysoką falą przy-
pływu do Lublina absolwentów krajowych uczelni plastycznych, którzy dość szybko dali się poznać jako aktywni uczestnicy życia artystycznego miasta. Wkrótce przecież ślad po nich zaginął, choć wiadomo, że do dziś mieszkają nad Bystrzycą. Z dziesięciu malarzy, na przykład, zaledwie dwóch nie zawiodło owych zbożnych nadziei, reszta przelożyła życie na sztukę; na ogół są to podni szacunku obywatela, których sympatie do plastyki są funkcją zleceń, otrzymywanych z PSP.

Obecna grupa, mniej liczna, obejmuje kilku artystów — Tomasza Kawiaka, Brunona Nagrodzkiego, Jana Popka, którzy pojawili się w Lublinie w latach 1968 — 1970. Urodzeni w pierwszej połowie lat czterdziestych, reprezentują bodaj pierwsze pokolenie plastyczne wykształcone w powojennej Polsce, które programowo zanegowało kolorizm, aczkolwiek w czasie studiów było nasycone jego ideami. Nieuoyrażenie zgody na cierpliwą kontynuację najszerzego od niedawna nurtu sztuki polskiej, przez lat bez mała czterdzięci będącego rodzajem skali, według której wymierzało się rozwój innych tendencji, jest zjawiskiem o szczególnej doniosłości, albowiem sygnalizuje upadek modelu malarstwa, nacielowanego na formalno — warsztatową sprawność, przynoszącą w najlepszym wypadku satysfakcję czysto estetyczną.

Obserwacja ta, z odpowiednią poprawką na specyfikę innych rodzajów artystycznej ekspresji, ujmuje zresztą pozostałe i podstawowe dziedziny twórczości współczesnej, znakowane przez artystów najmłodszej, lecz już świadomej własnych poczynań generacji. „Zabawa... wydadają się dywagacje o przyszłości filmu w kategoriach stylizacji, estetyki czy nawet techniki — zauważa Marek Piwowo-
ski, autor „Rejsu”. — Nie od takich spraw i takich propozycji będzie zależało, kto przetrwa na powierzchni i będzie robił filmy. Perspektywę filmu wyznaczają postawy etyczne, a nie estetyczne.”

Etyczny charakter działań artystycznych młodych plastyków lubelskich nie rozwiązuje się, oczywiście, w formułowaniu ocen moralnych zjawisk zachodzących poza sztuką, należy go również kojarzyć z samą czynnością

stawiania problemów istotnych dla społecznej egzystencji sztuki oraz dla tego właśnie pokolenia.

Tomasz Kawiak przeciągający w maju ub. roku ulicami miasta swoje „spacjostruktury”, czyli niewielkie metalowe konstrukcje na kółkach, zakłóca społeczny rytm ulicy, porządkowany wityrnamy sklepów, restauracji, kawiarni, realizacją codziennych konieczności ludzkich. Jego wózki nie są rzeźbami, są prowokacją zafrasowanego ogółu.

Z kolei ekshibicjonistycznie szczerze obrazy Jana Popka w żadnym wypadku nie nadają się do tzw. kontemplacji. Będąc zapisem stanu świadomości pokoleniowej, zmuszają do dialogu, do zajęcia stanowiska etycznego, a nie estetycznego. Twórczość Brunona Nagrodzkiego mieści się jeszcze w ramach malarstwa, lecz i w jej obrębie, aczkolwiek w sposób szalenie aluzyjny, dostrzec można przede wszystkim konfrontację między autorem a rzeczywistością pozaobrazową.

Trzeba tu też wspomnieć jeszcze jedno nazwisko, Ryszarda Lisa, choć należy ono do malarza urodzonego w 1935 roku, a więc starszego od wymienionych. Ale sens twórczości Lisa, jej motywacje ideowe — obraz jest przekazem opinii, poglądów — wskazują na pokrewieństwo mentalności autora z działaniami młodej generacji.

Miejmy nadzieję, że ten potencjał twórczy nie rozplynie się w lubelskich układach, za-
wziętych w neutralizacji wszystkich, co wy-
biega poza ustaloną latami normę.

General Berling

Dokończenie ze str. 1

Dygresja

29 sierpnia 1943 roku, w Sielcach, generał brygady Zygmunt Berling odwiedził m. in. 1 pułk piechoty. Za trzy dni — wyjazd na front. Zwróciła jego uwagę pięknie wyszykowana, chodząca jak za porządkiem sznurka pułkowa kompania rusznic. Na prawym skrzydle stał 43-letni sierżant.

— Wasze nazwisko, sierżancie?
— Ludwik Langner.

— Jakże stanowisko zajmujecie w kompanii? Szef?

— Nie, obywatelu generale, dowódca plutonu.

— To dobrze, bardzo dobrze.

General jeszcze raz spojrział na wyprężoną kompanię.

— W którym pułku służyliście?

Lublinianin Langner wyrzucił jednym tchem:

— W pułku obywatela generała. Czwartą pepelę.

Leciutki uśmiech dowódcy.

— Od kiedy?

— Od chwili, gdy wkroczył do Lublina w dziewięćset piętnastym. Bilem się już pod Jastkowem.

— Ja byłem wtedy sierżantem... Do końca w nim byliście?

— Nie, obywatelu generale, wysłano mnie na emeryturę. Pracowałem na poczcie. Teraz moje stare ręce i oczy na coś się jeszcze przydadzą.

General położył mu rękę na ramieniu.

— Przydadzą, Langner. Mianuje was chorążym.

— Ku chwale ojczyzny, obywatelu generale!

Chorąży Langner, niestety, nie doszedł do Lublina, do Polski. Zginął bez wieści w bitwie pod Lenino.

Z życiorysu

Po kryzysie legionowym — powrócił do Nowego Sącza. Wraz z miejscowymi kolegami rozbił Austriaków. Bierze udział w wojnie 1920 roku.

W czas pokojowy wchodzi z odznaczeniami: Krzyż „Virtuti Militari”, czterokrotnie Krzyż Walecznych, potem — jeszcze Krzyż Niepodległości i Złoty Krzyż Zasługi. Studiuje prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1925 ukończył Wyższą Szkołę Wojskową.

Przez pewien czas pełni służbę w Ministerstwie Spraw Wojskowych jako szef wydziału organizacyjnego. Jest współautorem książki pt. „Officer”.

Dygresja

Przed kilkoma laty w Ludowym Wojsku Polskim zaczęto opracowywać zasady etyki kadry zawodowej. Jeden z wyższych oficerów, specjalizujący się w tej materii, natrafił na wspomnianą książkę „Officer”. Dzięki jego uprzejmości miałem okazję przeczytać ją od przysłówkowej deski do deski.

Oczywiście, wiele jest różnic między armią przedwojenną a współczesną. Byłem jednak szczególnie zaskoczony jak wiele można znaleźć aktualnych po dziś myśli. Na przykład gdy mowa o godności człowieka, godności oficera, o wymaganych zaletach takich, jak prawda, uczciwość, odwaga cywilna.

I po latach z całym przekonaniem można pisać: bo i takim właśnie, człowiekiem z wielkim charakterem i godnością, był i jest jeden z autorów owej książki, dzisiejszy generał broni w stanie spoczynku Zygmunt Berling.

Z życiorysu

Z Warszawy skierowano go do Krakowa na stanowisko szefa sztabu okręgu korpusu (DOK V). Tu wszedł w konflikt ze swym dowódcą wyznaczającym dość oryginalne — ale nie odosobnione — poglądy, iż spory natury politycznej należy załatwiać... bijąc oponenta. W konkretnym wypadku chodziło o pobicie opozycyjnego posła Dębskiego. Podpułkownik Berling ostro sprzeciwił się takim metodom. Sku-

tek był szybki. Za karę skierowano go na stanowisko zastępcy dowódcy pułku w Wilnie. Pełnił tu służbę pięć lat. Dopiero na dwa lata przed wojną mianowano go dowódcą 4 pułku piechoty w Kielcach. Myślący, krytyczny, był na swego rodzaju indeksie wojskowym, kadrowym.

Dygresja

Ale to właśnie jemu przyszło wiosną roku 1939 wysłać ze swego pułku grupę 82 żołnierzy na Westerplatte. Był wśród nich por. Leon Pająk, późniejszy dowódca placówki „Prom” kpr. Henryk Chrul, dowódca placówki „Łazienki”, oraz zmarły niedawno plut. Edward Łuczyński, dowódca wartowni nr 6.

Żołnierzy, którzy najpiękniej zapisali się w ojczyźnych, najnowszych dziejach.

W monografii literackiej „Początek drogi — Lenino”, opisując scenę przysięgi 1 dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki w dniu 15 lipca 1943 roku, próbując przedstawić myśli dowódcy — wówczas jeszcze pułkownika Zygmunta Berlinga. Ze patrząc na karne szeregi, które wkrótce pójdą w bój — myślą wraca do tych, wysłanych w marcu 1939 roku na straconą pozycję. Do tych, którzy żołnierski obowiązek wypełnili do końca.

Podczas kolejnej rozmowy z generałem Berlingiem wspomniałem o tych moich rozważaniach. — Czy są prawdziwe? — pytałem.

Zamyśla się.

— Niewykluczone, że tak właśnie było.

Z życiorysu

Na Westerplatte kieruje się obrońców. „Niewygodnemu” zaś, bo myślącemu, jednemu z najzdolniejszych absolwentów Wyższej Szkoły Wojskowej, daje się inny, szczególny przydział — przenosi się go do cywila. A już przecież Hitler wyraźnie wyszczerzył zęby na „korytarz gdański”. Już się odbywa w Polsce pierwsza mobilizacja. Podpułkownik dyplomowany jest w wojsku niepotrzebny... Trzy miesiące urlopu. Od 1 września ma rozpocząć pracę... w Państwowym Instytucie Rozrachunkowym.

Zgłasza się, gdy coraz czarniej nad Polską, po przydział mobilizacyjny. Nie otrzymuje go. Rydz-Smigły nie lubi takich jak Berling.

Wybuch wojny zastaje go w Wilnie. Stąd internowano go do Związku Radzieckiego.

Już wtedy, z grupą oficerów polskich, zgłasza projekt zorganizowania polskiej jednostki wojskowej do walki z hitleryzmem. Jeszcze jednak do realizacji tej myśli nie dochodzi.

Po utworzeniu armii Andersa — otrzymuje stanowisko szefa sztabu 5 dywizji piechoty. Ona też najwcześniej gotowa jest do walki.

Dygresja

I byli żołnierze, którzy niemal dokładnie tę samą drogą odbywali, co on.

Marian Dulemba, syn górnika z Porąbki, był młodocianym kapelmistrzem w... 4 pułku piechoty w Kielcach, pod komendą ppłk. Berlinga. W czasie wojny — znalazł się w Związku Radzieckim. Trafił — do 5 dywizji piechoty. Wszedł w konflikt ze swoimi przełożonymi. Przekazano go do radzieckiego więzienia. Stąd trafił — po raz trzeci — pod komendę ppłk. Berlinga do 1 dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Pięknie stawał pod Lenino, w legendarnym już 1 batalionie 1 pułku. W Ludowym Wojsku



15 lipca 1943. Przysięgam... Czwartą w drugim rzędzie od lewej strony (oznaczony I) — Jan Olszewski, obecnie mieszkaniec Krasnobrodu, pow. Zamość.

Polskim doszedł do stopnia porucznika i dowódcy samodzielnej kompanii zwiadu w 4 dywizji piechoty.

Z życiorysu

Od chwili klęski wrześniowej Zygmunt Berling, jak wielu myślicy obywateli kraju, a wśród nich i ci w mundurach, wiedział, że Polska, która powstała, musi być inna niż przedwrześniowa. Dlatego też od pierwszych miesięcy pobytu w ZSRR wypowiada myśl, by powstała polska jednostka wojskowa, która obok Armii Radzieckiej pójdzie do kraju drogą najkrótszą.



Zygmunt Berling

Nie taki panował jednak klimat w armii Andersa. Raz po raz dochodzi do konfliktów między ppłk. Berlingiem a dowódcą 5 dywizji, gen. Borutą-Spiechowiczem.

Berling nie kryje swych poglądów — do Polski bliżej przez Smoleńsk, niżli przez Iran.

Podczas wizyty w ZSRR Naczelnego Wodza, gen. broni Władysława Sikorskiego — pułkownik Berling próbuje przedstawić swoje niepokoje wobec sytuacji i nastrojów dowództwa armii. Otrzymuje obietnicę następnej rozmowy.

Dygresja

Ci, którzy oglądali film „Spotkanie z generałem”, pamiętają zapewne charakterystyczne zapalenie fajki. Popelnie małą niedyskrecję. To swego rodzaju historyczna fajka. Otrzymał ją pułkownik Zygmunt Berling w prezencie od generała Sikorskiego.

Zagrała fajka jeszcze swoją rolę w filmie. Niestety, już skończyła swój żywot.

Z życiorysu

Do dramatycznego spięcia między Berlingiem a Borutą-Spiechowiczem dochodzi na tle... chleba. Chleba dla polskich, głodujących rodzin, które znalazły się w sąsiedztwie ośrodków formowania armii. Z inicjatywy Berlinga żołnierze przeznaczają dla cywilów część swoich chlebowych racji. Staje się to pretekstem do awantury i — usunięcia pułkownika ze stanowiska szefa sztabu dywizji. Jak na ironię otrzymuje nominację na komendanta bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku. On, który uważa, że o puszczenie sojusznika w bledzie nie mieści się w polskich, żołnierskich tradycjach, ma właśnie przeprowadzić wysyłkę polskich pułków i dywizji z terenów radzieckich.

Dygresja

Chleb. Nasze pokolenie ma do niego inny stosunek niż nasze dzieci. Jakże bywaliśmy chleba w czas wojny spragnieni. I pamiętam z okresu lata i wczesnej jesieni 1944 roku, z walk o przyczółek wareckomagnuszewski, gdy stawiałem pierwsze żołnierskie kroki, a gen. dyw. Zygmunt Berling dowodził 1 Armią, jak wiele chodziło legend o dowódcy, który — ponoć — z kijem za plecami pilnował rzetelności kucharzy i kwatremistrzów.

Pytam o ten szczegół teraz, po latach.

General śmieje się.

No dobrze, to inaczej. Sięgam do faktów, dokumentów.

Z okresu szkolenia i dywizji zanotowano m. in. takie dosadne określenie generała, odnoszące się do szkoły podoficerskiej, że „trzeba jej wstawiać wściekłe jaja”. No i wstawiano. A powiedzenie, co — dosadne, ale najbardziej trafiające w

sedno. Miał dowódca 1 dywizji, potem 1 Korpusu, 1 Armii, wiele takich dosadnych, męskich powiedzeń. Znało je wojsko i powtarzało.

Żołnierze wiedzieli: „wściekłe jaja” im się wstawi, ale i dba się o ich wyżywienie, wyszkolenie, bezpieczeństwo, zdrowie, o to, by najmniej ich pozostało na zawsze na żołnierskim szlaku.

Pokazuję teraz generałowi, podczas kręcenia filmu, zdjęcie — bardzo znane — pocztu sztandarowego podczas przysięgi. I sylwetkę wysokiego elewa z lewej.

— Tak, znam to zdjęcie.

— A czy pamięta Pan, Panie Generale, że ten oto — już ogniomistrz — dostał od Pana po zębach za to, że podczas domarszu dywizji do frontu mimo zakazu palono ognisko? On był szefem szkoły oficerskiej, artyleryjskiej.

Znów śmiech.

— Możliwe. Tepilem bardzo ostro używanie wazekich świateł. Wystarczyłby jeden niemiecki samolot i jedna bomba...

— A pewien kierowca z 1 pułku artylerii lekkiej, gdy się po wojnie demobilizował, przechwalał się młodszym kolegom: coż wy wiecie o życiu, ja to przynajmniej od generała Berlinga oberwałem za świecenie świateł samochodu pod Smoleńskiem.

General ma poczucie humoru. Nie obraża się. Bawi się wraz ze mną.

Dla ścisłości: takich dowódców, wymagających, surowych ale i dbających o żołnierzy, chyba zawsze wojsko szanowało, lubiło, szło za nim w ogień.

Z życiorysu

I kiedy w sierpniu 1942 roku odplywał z Krasnowodsku ostatni ewakuacyjny transport armii Andersa — na molo pozostało kilka osób. Płk Zygmunt Berling, lotnik major Wicherkiewicz, por. Maria Mika...

Miał się dla nich rozpocząć nowy życiowy rozdział. Tej najbliższej drogi do Polski.

Właśnie: przez Smoleńsk, Lenino, Kijów, Darnicę, Bug.

Dygresja

Od tej właśnie myśli, o kilku osobach, które pozostały na krasnowodzkim molo — rozpoczyna się opowieść generała Berlinga w telewizyjnym filmie „Spotkanie z generałem”.

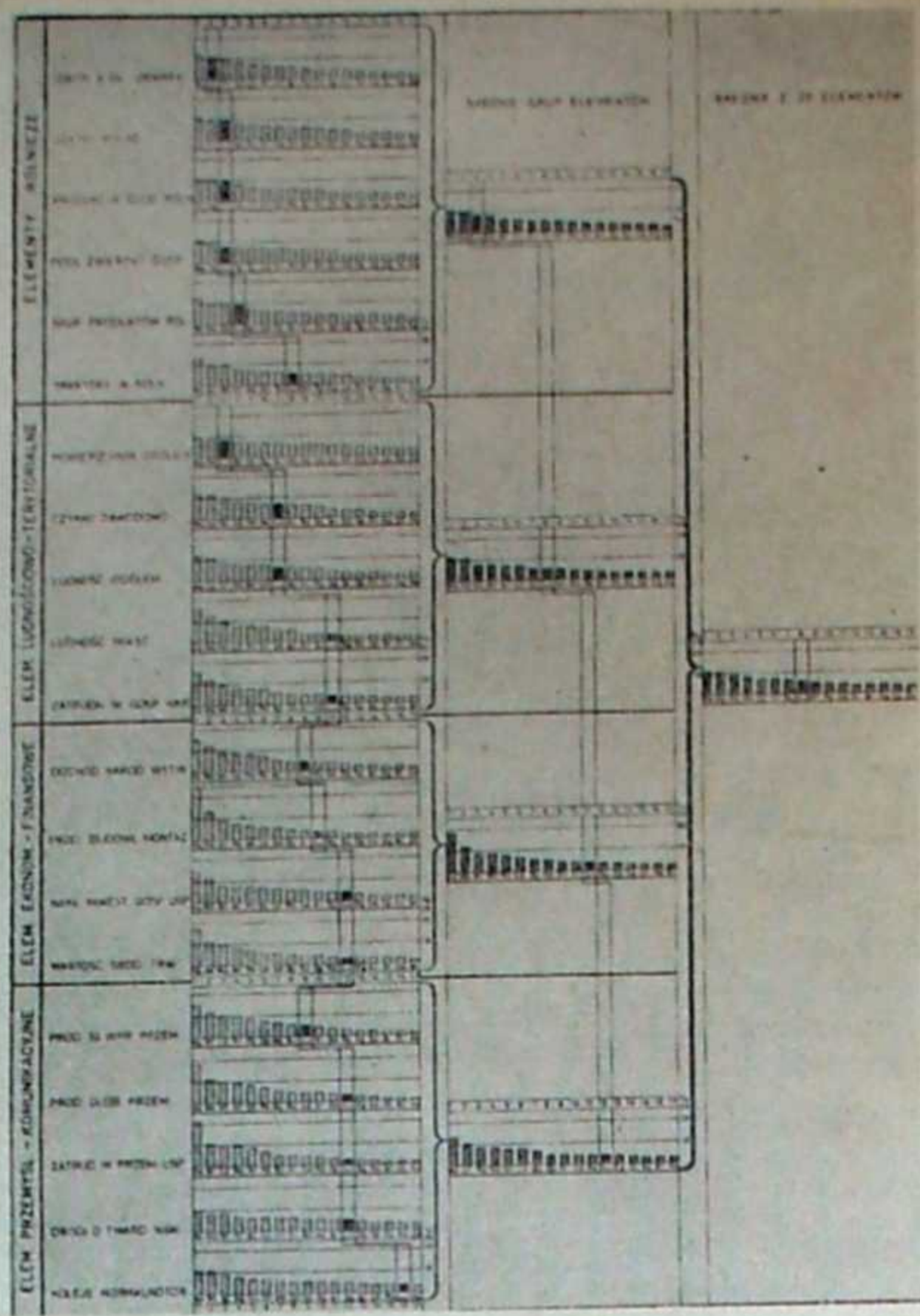
I jeśli redakcja oraz łaskawy Czytelnik zerwoli — część dalszą szkicu przedstawię za dwa tygodnie.

Alojzy Sroga

Kamena str. 11

„Pokazuje zdjęcie Stasia z matką...”

LUBELSZCZYŻNA



Dokończenie ze str. 1

Ażby uprościć metodycznie poszukiwanie miernika określającego rolę województwa w Polsce, zdecydowałem się zrezygnować z takich mierników, w których występuje wiele zmiennych. Np. odniesienie wartości gospodarczych do powierzchni czy liczby ludności, charakteryzuje zagadnienie jeśli chodzi o dany obszar, natomiast ma znikomą wartość porównawczą, ponieważ i powierzchnia i ludność we wszystkich województwach występują w bardzo różnych wartościach.

Zdecydowałem się więc na wykonanie próby określenia roli województwa lubelskiego w Polsce w porównaniu z innymi województwami przy pomocy jednego wskaźnika eliminującego wiele zmiennych, mianowicie: udziału województwa w poszczególnych działach gospodarki, to znaczy określenia, jaka część danego elementu gospodarczego przypada na poszczególne województwa, a w tym i na lubelskie. Dany element gospodarki w całym kraju traktuję jako 100 procent, a wielkość udziału procentowego województwa charakteryzuje jego rolę w obrębie tego elementu. Szeregując następnie województwa według wielkości udziału procentowego, otrzymujemy miejsce naszego, czy każdego innego, województwa wśród 17 województw. (Województwa miejskie w obliczeniach traktowane są łącznie z odpowiednimi województwami).

Zagadnienie roli poszczególnych województw w kraju nabiera szczególnego znaczenia właśnie teraz w związku z Wytężnymi na VI Zjazd Partii, i rozpatrywaniem zagadnień gospodarczych województw pod kątem ich rozwoju perspektywicznego z tendencją do wykorzystania tych możliwości, jakie poszczególne województwa reprezentują. Podczas pobytu w Lublinie i sekretarza KC PZPR wyraźnie wskazał na konieczność uwzględnienia specyfiki naszego województwa, ponieważ prowadzi do właściwego wykorzystania bazy, jaką ono w różnych dziedzinach reprezentuje.

Z ogromnych ilości charakterystyk gospodarczych, których dla województw mamy niemal tysiące, trzeba wybrać takie elementy, które mają odpowiedni wagi diagnostyczny, tzn. pozwalają określić rolę gospodarza województwa i odpowiedni wagi indywidualizujący, tzn. umożliwiające określić pozycję gospodarza województwa. Pod tym względem zróżnicowanie województw jest ogromne i z góry można powiedzieć, że województwo o zdecydowanym profilu gospodarczym jest stosunkowo mało. Raczej panuje duża rozmałość i rozdrobnienie udziału w wybranych elementach gospodarki. Došlo do tego m. in. dlatego, ponieważ województwa są nie tylko jednostkami administracyjnymi, ale i jednostkami planowania gospodarczego, a w tej dziedzinie występowały nawet tendencje autarkiczne, zmierzające do tego, aby każde województwo obejmowało wszystkie działy gospodarki.

W marcowym numerze miesięcznika „Miało”, poświęconym Lubelszczyźnie, opublikowałem artykuł rozpatrujący rozwój naszego województwa w latach 1955—1969. Materiał tekstowy z konieczności był bardzo szczupły, natomiast znalazł się tam ogromny materiał

ilustracyjny, w którym wiele rzeczy zostało po raz pierwszy pokazanych. M. in. po raz pierwszy zamieściłem tam dwa wykresy, w których pokazałem miejsce województwa lubelskiego w r. 1955 i 1969 w obrębie czterech grup gospodarczych, opartych o dwadzieścia elementów.

Wykres ten według danych z r. 1969 zamieszczony jest obok. Pozwala on łatwo ustalić miejsce województwa wśród wszystkich województw w obrębie 20 elementów gospodarczych (1 kolumna), w obrębie średnich grup elementów (2 kolumna) i w obrębie średnich z 20 elementów (3 kolumna). Miejsce województwa lubelskiego jest uwypuklone czarnym słupkiem, a linie schodkowe w obrębie grup dobitnie wykazują malejącą rolę województwa w kolejnych elementach gospodarczych.

Jak łatwo można odczytać z wykresu, uwzględniłem sześć elementów rolniczych, pięć ludnościowo-terytorialnych, cztery ekonomiczno-finansowe i pięć przemysłowo-komunikacyjnych.

Okazuje się, że najlepszą pozycję województwo lubelskie zajmuje w rolnictwie. Pod względem zbiorów sześciu głównych ziemiopłodów zajmuje ono drugie miejsce w kraju z wartością 11,1%. Pod tym względem przewyższamy nasze miejsce w użytkach rolnych, w których zajmujemy trzecie miejsce z udziałem 9,1%. Tak samo na trzecim miejscu z udziałem 9,6% lokuje nas produkcja globalna rolnictwa. Natomiast pogłównie zwierząt gospodarczych daje nam również trzecie miejsce, ale już z wartością udziału procentowego tylko 7,6%.

W następnym elemencie, skupie produktów rolnych, województwo lubelskie występuje z wartością 9,1% na czwartym miejscu, podczas gdy zbiorów sześciu głównych ziemiopłodów, jak podałem, dają nam drugie miejsce z udziałem 11,1%. Dowodzi to dysproporcji między tym, co zbieramy a tym, co dochodzi w postaci produkcji towarowej skupu. Dlaczego tak jest? Nie stawiam diagnozy, tylko stwierdzam fakty, a ekonomista na pewno potrafił to odpowiednio zinterpretować. Z różnych elementów agrotechnicznych wziąłem pod uwagę tylko wyposażenie w traktory — tu występujemy na ósmym miejscu z wartością 5,5%, a więc dwukrotnie niższą od udziału w użytkach rolnych, dużo niższą niż mamy w ogólnej powierzchni kraju (8,0%) i niższą od wskaźnika udziału ludności (8,9%). A więc wyraźnie widać dysproporcję w wyposażeniu w tak podstawowy czynnik mechanizacji rolnictwa, jakim są traktory.

Tu warto krótko powiedzieć, kto nas wyprzedza, bo kto jest za nami to ostatecznie sprawa tych województw słabszych. W zbiorze sześciu głównych ziemiopłodów wyprzedza nas tylko województwo warszawskie, w użytkach rolnych warszawskie i poznańskie — to są zresztą dwa największe województwa, my jesteśmy na trzecim miejscu. W produkcji globalnej rolnictwa mamy przed sobą poznańskie (1 miejsce) i warszawskie, w pogłówniu zwierząt gospodarczych — warszawskie (1 miejsce) i poznańskie. W skupie produktów rolnych od tych dwu lepszych od nas województw dołącza województwo bydgoskie — mniejsze od lubelskiego i o gorszych warunkach naturalnych dla rolnictwa. Natomiast jeżeli chodzi o traktory w rolnictwie, wyprzedzają nas, idąc w kierunku wrastających wartości — szczecińskie, koszalińskie, warszawskie, olsztyńskie, wrocławskie, bydgoskie i poznańskie. A więc te dwa ostatnie województwa, które są niemal wzorcowe pod względem rolniczym, mają najwyższe w kraju wyposażenie w traktory. Ogółem pod względem udziału średniego w elementach rolniczych jesteśmy na trzecim miejscu, z wartością 8,7%, a więc niewiele wyższą od naszego udziału w powierzchni kraju (8,9%).

Gorzej przedstawia się sytuacja województwa lubelskiego w elementach ludnościowo-terytorialnych. Tu uwzględniłem powierzchnie ogólną, w której zajmujemy trzecie miejsce 8,8%, w czynnych zawodowo — siódme miejsce 6,5%, w ludności ogółem — również siódme miejsce z wartością 6,9%. Ale już jeżeli chodzi o ludność miast, jesteśmy na miejscu jedenastym z wartością 3,5%. Również na jedenastym miejscu jesteśmy w zatrudnieniu w gospodarce narodowej z wartością 3,8%. Średnio w tych pięciu elementach ludnościowo-terytorialnych lokujemy się na ósmym miejscu z wartością 5,6%.

Wśród elementów ekonomiczno-finansowych w takim syntetycznym wskaźniku jak dochód narodowy wytworzony zajmujemy

już dziewiąte miejsce z wartością 4,5%. W produkcji budowlano-montażowej woj. lubelskie jest na miejscu dziesiątym z wartością 3,7% — i tu warto powiedzieć, że wyprzedzają nas województwa: kieleskie, bydgoskie, gdańskie, łódzkie, wrocławskie, poznańskie, krakowskie, warszawskie i katowickie, które dominuje w Polsce z wartością 25,2%. Nic dziwnego, że eksportuje ono swoje usługi budowlano-montażowe do innych województw. Czwarty element, nakłady inwestycyjne w gospodarce uspołecznionej, lokuje nasze województwo na dwunastym miejscu z wartością 4,4%. I wreszcie wartość środków trwałych, a więc stan zagospodarowania — zajmujemy również dwunaste miejsce, ale z wartością zaledwie 3,0%. A w wartości środków trwałych województwo katowickie ma 17,7%, a wyprzedzają nas nawet: rzeszowskie, opolskie, szczecińskie, bydgoskie, gdańskie — wszystkie mniejsze od naszego województwa. Średnio w elementach ekonomiczno-finansowych zajmujemy dopiero jedenaste miejsce z wartością 3,9%.

Wreszcie sytuacja Lubelskiego w elementach przemysłowo-komunikacyjnych. Najlepiej przedstawia się województwo lubelskie w produkcji 30 głównych wyrobów przemysłowych. Zajmujemy tu dziewiąte miejsce, środkowe, z wartością 5,1%. Wyprzedzają nas kolejno: bydgoskie (7,3%), poznańskie (6,8%), łódzkie (6,5%) i katowickie (6,2%). W produkcji globalnej przemysłu jesteśmy dopiero na dwunastym miejscu z wartością 3,4%. Zatrudnienie w przemyśle uspołecznionym — również dwunaste miejsce 3,9%. Wprowadzone przesłanie dwa elementy komunikacyjne mogą być trochę zastępczą diałką, ponieważ udział procentowy np. jeśli chodzi o drogi inżynierskie, bo po prostu granice obejmują mniejszą lub większą ilość kilometrów dróg czy kolei. Zatem nie jest to wskaźnik gęstości dróg, lecz ilość kilometrów dróg o twardej nawierzchni, która przypada na każde województwo. W drogach jesteśmy też na dwunastym miejscu z wartością 5,1%. Najgorzej sytuację mamy jeśli chodzi o koleje normalnotorowe — dopiero szesnaste miejsce, a więc przedostatnie z wartością 3,7%. I na tym przykładzie można łatwo wykazać, że wielkość powierzchni województwa nie odgrywa decydującej roli jeżeli chodzi o wskaźnik udziału procentowego. Bo wystarczy wspomnieć, że województwo opolskie, które jest 2,5 razy mniejsze terytorialnie od województwa lubelskiego, w kolejach normalnotorowych wykazuje wskaźnik 5,1 (Lubelskie 3,7), co oczywiście wynika z większego zagęszczenia. Średnio w elementach przemysłowo-komunikacyjnych jesteśmy na miejscu dwunastym z wartością 4,0%, a więc poniżej udziału w ludności i udziału w powierzchni kraju. W tym zestawieniu już widać wyraźne upodlenie naszego województwa w grupie ekonomiczno-finansowej i przemysłowo-komunikacyjnej.

Tę część rozważań zakończyłbym wskazaniem miejsca województwa w całości gospodarki, reprezentowanej przez uwzględnione 20 elementów. Jest to miejsce ósme z wartością 5,8. Jesteśmy więc o jedno miejsce lepsi niż średnie — mediana, przekroczyliśmy zaledwie próg zbliżający nas ku czołwce województwa.

Warto jeszcze podnieść, że wybór uwzględnionych 20 elementów gospodarki jest niewątpliwie wyborem subiektywnym. Np. można stwierdzić, że brakuje tak ważnego elementu, jakim jest budownictwo. Poza tym chcąc określić pełną gospodarczo-społeczną rolę województw, musimy brać pod uwagę nie tylko elementy gospodarcze, w tym wysuwające się na pierwsze miejsce produkcję, ale i takie elementy społeczne, które niewątpliwie też określają wagę i rolę województwa w kraju.

Które z tych elementów należy wysunąć na pierwsze miejsce? Przede wszystkim naukę i oświatę, następnie kulturę, z usługowymi — obrót towarowy, służbę zdrowia, opiekę społeczną. Aby znowu nie robić przypadkowego wyboru, dokonałem nowego opracowania, szerszego, uwzględniającego wszystkie gałęzie gospodarki i niektóre elementy wyodrębnione dodatkowo dla pełnego scharakteryzowania gospodarczo-społecznego województwa lubelskiego w szeregu innych województw.

Aby tego dokonać wziąłem pod uwagę 112 elementów — ale o tym w następnym artykule.

Franciszek Uhorczak

Wnikliwość inwencja dobry smak

Maria Bechcyc-Rudnicka

TALENT reżyserski Cataliny Buzoianu mieliśmy już sposobność ocenić wiosną bieżącego roku, kiedy to na zasadzie umowy o wymiarze przyjechał do Lublina zespół Teatru Narodowego z Jass, przywożąc dwie swoje pozycje repertuarowe. Jedną z nich był „Chory z urojenia”, który zachwylił nas iście wzorowym unowocześnieniem dzieła klasycznego. Po rewelacyjnym odświeżeniu „Grzegorza Dymala”, jakiego dokonał kilka lat temu Planchon chwytami naturalistycznymi, z kolei młoda reżyserka rumuńska dowiodła teraz, że można przecie odświeżać komedie mollerowskie idąc w zupełnie odmiennym kierunku, a mianowicie przez połączenie psychologicznego praw-

dopodobieństwa postaci z elementami commedii dell'arte, potraktowanymi nie w guście wczorajszej farsy, lecz zgodnie z dzisiejszymi kanonami estetycznymi.

Ostatnio wytworny styl Cataliny Buzoianu sprawdził się również w dramaturgii współczesnej, przy okazji inscenizacji „pseudokomedii” Katarzyny Oproiu „Nie jestem Wierzą Eliffa”, którą Teatr im. J. Osterwy przygotował na Ogólnopolski Festiwal Sztuk Krajów Demokracji Ludowej.

Wybór padł na utwór bardzo dziś wzięty nie tylko w Rumuni, ale bodaj w kilkunastu krajach europejskich, a nawet w Japonii. Autorka, bukaresteńska dziennikarka, nie jest profesjonalnym dramaturgiem. Czytając egzemplarz po obejrzeniu spektaklu, doznaje się pewnego zawodu: brak w tym tekście pisarskiego wyrobienia artystycznego. Sądzę, iż popularność swoją w kraju i za granicą za-

wdzięcza owa „pseudokomedii” temu, że jest okazem (niezamierzonym) tzw. dramaturgii otwartej, a mówiąc po staroświecku, jest sztuką — debiutem, niewykończoną dramaturgicznie. Czyli trafiła dzisiaj na swoją porę.

Napisana w r. 1958, leżała odłogi lat kilka, przypuszczam, iż wylansowało ją przedstawienie utalentowanego inscenizatora, Andrzeja Szerbana (dziś asystent Petera Brooka), pokazane na I Międzynarodowym Festiwalu Festiwalu Teatrów Studenckich we Wrocławiu. Widziało ten spektakl wielu krytyków.

I ja także go widziałam. Był znakomity. Operując prościutkimi elementami scenograficznymi, matami kolorowymi w różnych układach, Szerban zamienił to, co było w oryginale „poetycznością” — w pojęcie, w autentyczny liryzm.

Przedstawienie Cataliny Buzoianu nie jest liryczne. Zabawny paradoks: jest bardziej „męskie”.

Ale podajmy bodaj najwięcej fabułę i myśli sztuki. A więc: przypadek zrzucił, że gdzieś w szczerym polu spotkało się dwoje młodych, których nie zabrał autobus podążający do Bukaresztu. Młodzieniec, student architektury, spieszy się na ważny egzamin. Ona, pracująca w terenie przy boku pewnej niewydarzonej akustycznej, pragnie spędzić week-end wśród uciech stołecznych. Zabłądziwszy w lesie, szukają wspólnie wyjścia na wielką drogę, gdzie mogłyby się nadarzyć taki czy inny wehikuł.

Droga ta jest elementarnym symbolem lub, jeśli kto woli, metaforą — drogi życiowej.

Akcja toczy się sukcesywnie na dwóch planach. Na planie rzeczywistym rodzi się miłość, wzmagają się trudy podróży, na planie imaginalnym roją się marzenia, powstają obawy i przeszkody, piętrzone przez otoczenie.

Naczelną ideą utworu w zamyśle autorki jest wiara w potęgę prawdziwej miłości, poddanej próbom,



Katarzyna Oproiu — „Nie jestem Wierzą Eliffa”, Zbigniew Górski, Ewa Wolf, Jerzy Schejbal i Ewa Lejczak.

tudzież potrzeba solidarnego działania społecznego. Całe działanie sztuki składa się, że tak powiem, na dowodzenie: jest źle, bo ludzie sobie nie pomagają, jest źle, bo wystawiona na próby miłość młodych słabnie. Sztuka, pozostawiająca czytelnika w finale z samymi postulatami i wątpliwościami, tchnie w gruncie rzeczy melancholię. Najmocniejsze są w niej strony dema-

skujące sobkostwo i pasję złościwego wtrącania się do cudzych spraw. Gdzie indziej dialog jest raczej błąd — może z winy przekładu.

Catalina Buzoianu wzbogaciła „pseudokomedii” wprowadzeniem planu trzeciego. Zakłada ona, że

Dokończenie na str. 11

JESZCZE 30 lat temu gryzonie te były w naszym województwie wielką rzadkością. Spotykano je w okolicach Hrubieszowa. Obecnie rozprzestrzeniły się już po całej niemal Lubelszczyźnie. Mowa o susłach. Ale co wspólnego mają susły z brakiem wody w naszych wsiach? A jednak mają! Gryzonie te są zwierzętami wybitnie stepowymi, nigdy nie stykającymi się z wodą, a nawet unikającymi terenów, na których lustro wody podskórnej jest wysokie. Ich rozprzestrzenienie się w naszym województwie wskazuje na szybko postępujący proces „odwadniania” gruntów. I tak jest faktycznie. W ciągu ostatnich 50 lat na jednej trzeciej obszarze Lubelszczyzny wody gruntowe opadły o ponad 7 metrów. Susły — o których przywołuje mowa, to mocno śpią — jak widać nie przesypiają tego. A my, czy czasami nie przepijemy tej groźby?

W niektórych wsiach powiatów tomaszowskiego, hrubieszowskiego, zamojskiego czy bilgorajskiego gospodnie chętniej częstują spragnionych wędrowców szklanką mleka niż szklanką wody. Po prostu łatwiej tam o mleko niżli o wodę. Zresztą nie tylko tam.

Z danych GUS wynika, że w 1968 r. ponad 370 wsi lubelskich cierpiało na okresowy brak wody, a ponad 50 — na jej stały brak. Największy deficyt wody występował w wsiach pow. bilgorajskiego, hrubieszowskiego, janowskiego, krasnostawskiego, lubartowskiego, lukowskiego, puławskiego, radzyńskiego i tomaszowskiego (od 10 do 20 proc. wsi cierpiało tam na okresowy i stały brak wody). Z tychże danych wynika, że ponad 131 tys. gospodarstw, a więc z górą 33 proc. ogółu gospodarstw indywidualnych, — z braku własnych studni lub braku w nich wody — zmuszonych było do dowożenia lub donoszenia wody nierazko z odległości ponad 500 m. Najwięcej takich gospodarstw — od 30 do 40 proc. ogólnej liczby — znajdowało się w pow. bilgorajskim, janowskim, krasnostawskim, lubelskim, opolskim, puławskim i zamojskim, oraz o wiele więcej, bo ponad 40 proc., w pow. bychawskim, hrubieszowskim, krasnostawskim i tomaszowskim.

Najbardziej pewnym i radykalnym rozwiązaniem problemu braku wody byłaby budowa odpowiednio gęstej sieci wiejskich wodociągów, a przynajmniej odpowiednio wydajnych i zmechanizowanych studni gospodarczych. Jedno i drugie rozwiązanie następcza szereg trudności natury

finansowej, materiałowej i technicznej.

Jeśli chodzi o budowę studni, zwłaszcza w rejonach południowo-wschodnich, to nie jest to przedsięwzięcie ani łatwe ani tanie. Na obszarze Rostocza i Grzędy Sokolskiej źródła wody są nierazko na głębokości 50—80 i więcej metrów. Prywatny „kopacz” za wydrążenie 1 m studni bierze ponad 300 zł. Im głębiej, tym stawka rośnie. Jeszcze więcej zażyłyoby się za taką usługę lubelskie przedsiębiorstwo zaopatrzenia wsi w wodę. Sporządzone przez „Elwod” kosztorys budowy studni kopanej do głębokości 10 m opiewa na kwotę 13,2 tys. zł.

ciolatce na ten cel wydatkowane w naszym województwie 130 mln zł. Prawie połowę tej sumy pochłonęły prace w pow. bilgorajskim, hrubieszowskim, tomaszowskim i zamojskim.

Przewiduje się, że w ciągu najbliższych pięciu lat wieś lubelska wzbogaci się o dalszych 39 wodociągów. Na ich budowę państwo przeznacza 151 mln zł. Czy zamierzenia te zostaną w pełni zrealizowane? Wykonawca, czyli lubelski „Elwod”, jest raczej dobrej myśli, chociaż nadal odczuwa na pewne braki materiałowe (cement, tarcica, armatura) oraz kłopoty kadrowe (brak wykwalifikowanej kadry techniczno-

na dwu budowach, w Różańcu i Gutowie, kładzie się sieć wodociągowa z rur PCW.

Inną wadą procesu inwestycyjnego jest budowa małych, oddzielnych dla każdej wsi urządzeń wodociągowych, zamiast wodociągów obsługujących całe rejony. W woj. lubelskim jest zaledwie parę takich wodociągów, które obsługują kilka sąsiednich wsi (np. wodociąg Wanda-lin — Białowoda — Ludwików w pow. opolskim, Tarnogóra — Izbica w pow. krasnostawskim czy Zyrzyn — Zagrody w pow. puławskim). A tymczasem rachunek ekonomiczny przemawia za budową takich właśnie wodociągów. Otóż jeśli koszt

— 12, a zwykła kura domowa czy kaczka od 6,5 do 1 litra wody. W interesie dalszej intensyfikacji produkcji rolnej, a zwłaszcza hodowli, leży więc stworzenie rolnikom lepszych możliwości korzystania z wody. Niestety, nawet w tych wsiach, w których istnieją wodociągi, nie znikają kłopoty z wodą. Bynajmniej nie dlatego, że wody nie ma. Jest, i to jest w nadmiarze.

Z danych uzyskanych w lubelskim Inspektoracie Zaopatrzenia Wsi w Wodę wynika, że istniejące wiejskie wodociągi mają olbrzymią nadwyżkę wody. Ich „moce produkcyjna” wykorzystywana jest zaledwie w 40 proc. Dlaczego? Dlatego, że do podstawowej sieci wodociągowej podłączyło się mniej rolników, niż przewidywano. Rzecz w tym, że rolnicy wolą donosić czy dowozić wodę z ulicznych źródeł, aniżeli z uwagi na wysokie koszty, brak wykonawców i materiałów — doprowadzać przewody wodociągowe do domów i obejść. Powstaje więc paradoksalna sytuacja — wodociąg ni-by we wsi jest, a ludzie nadal dźwigają na nosilkach wiadra z wodą.

Czy nie można znaleźć wyjścia z tej sytuacji? Można i trzeba. Należałoby się zastanowić, czy nie czas zrewidować dotychczasowe przepisy odnoszące się do budowy wiejskich wodociągów. W sposób sztuczny dzieli one proces inwestycyjny na dwie części, a mianowicie na roboty podstawowe i półpodstawowe. Do tych pierwszych zalicza się budowę ujęć wody i jej rozprowadzenie wzdłuż osi wsi. Obowiązkiem tym obciążony jest wykonawca, a więc przedsiębiorstwo „Elwod”. Natomiast roboty tzw. półpodstawowe, do których zalicza się doprowadzenie wody do zagród, uzależnione są od złożenia zlecenia przez rolnika i opłacenia w pełnej wysokości kosztów robót przed rozpoczęciem prac. Koszty robót nie są małe. Dlatego też tylko niektórzy, co zamożniejsi rolnicy zakładają w swych obejmach instalacje wodociągowe. W tej sytuacji trzeba by rozważyć, czy opłat za doprowadzenie wody do zagród nie należałoby obliczać na podstawie przychodowości gospodarstw i czy nie należałoby ich spłaty rozkładać na kilkanaście lat, tak zresztą jak to jest przy elektryfikacji.

Problem lepszego „nawodnienia” lubelskich wsi staje się jednym z głównych problemów stojących w najbliższych latach przed rolnictwem. Od tego, w jakim stopniu zostanie on rozwiązany, w dużej mierze zależy będzie realność planów zakładających znaczny wzrost hodowli, podniesienie stopy życiowej, zdrowotności i higieny na Lubelszczyźnie.



Wieś lubelska spragniona wody

Jerzy Denisiuk

natomiast do głębokości 20 m — na sumę 21 tys. zł. Oczywiście odpowiednio droższa jest studnia wyposażona w pompę i inne urządzenia. Już chociażby z tego widać, że nie wszystkich rolników stać na podobną inwestycję. Stąd też m.in. bierze się nienadążanie Lubelszczyzny za resztą kraju nawet w dziedzinie wyposażenia rolnictwa w studnie. O ile na 100 ha użytków rolnych przypadało w kraju w 1962 r. średnio 15 studni, a w 1968 r. — 16, to w woj. lubelskim odpowiednio 14 i 15.

Pół biedy byłoby z tym, gdyby wieś lubelska w odpowiednio zwiększonych proporcjach korzystała z wodociągów. Ale tak nie jest. Wodociągów też mamy jeszcze mało. W 1968 r. korzystało z nich na Lubelszczyźnie 2,3 proc. ogólnej liczby gospodarstw indywidualnych, czyli ponad 4-krotnie mniej niż średnio w kraju.

Pierwszy wodociąg wiejski w woj. lubelskim budowany był na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w Poczajku (pow. opolski). Od tamtego czasu liczba wodociągów wzrosła do 84, a korzysta z nich 94 miejscowości i prawie 15 tys. gospodarstw. W minionej pię-

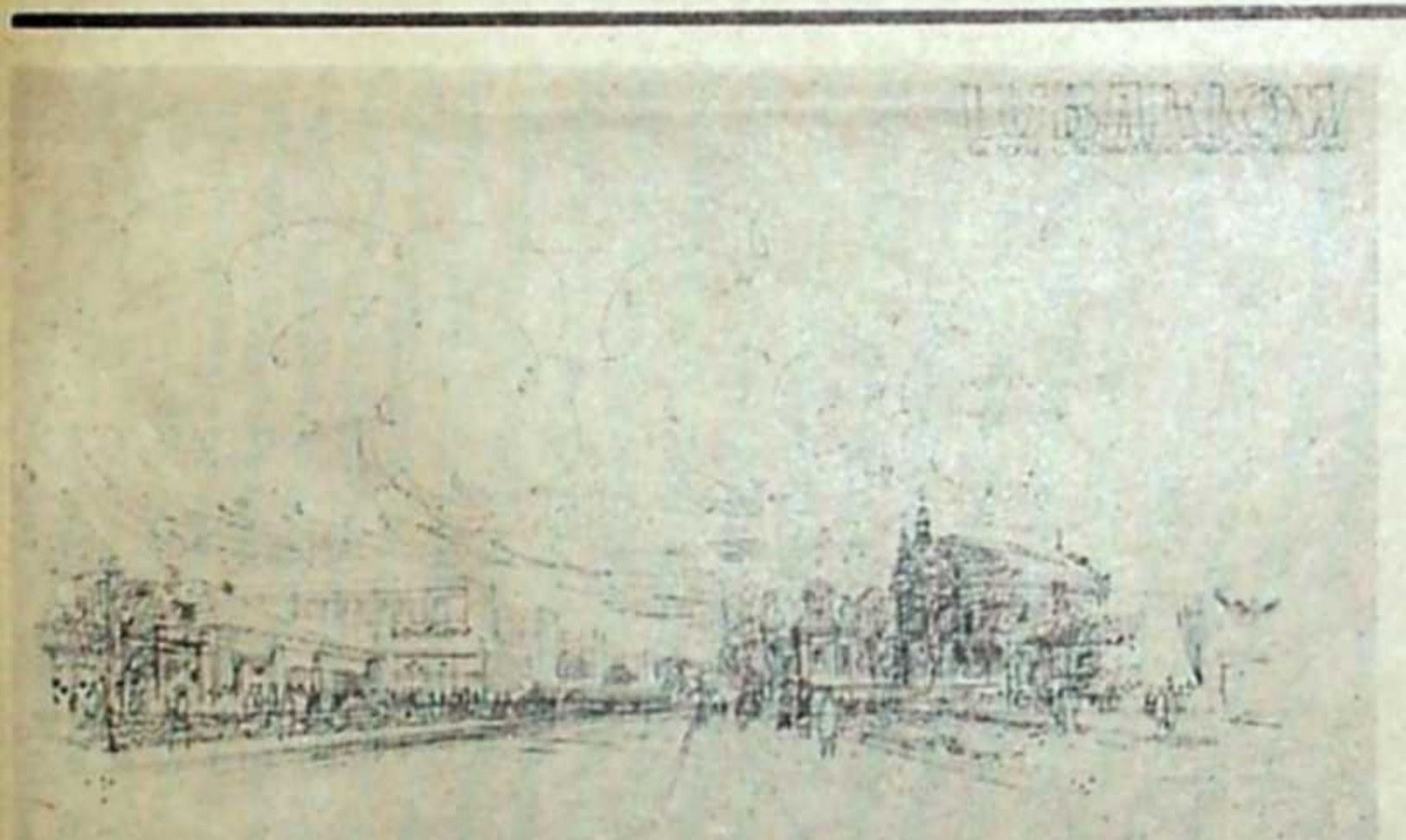
inżynieryjnej). Nie jedyne to zresztą trudności, na jakie napotyka proces inwestycyjny. Usunięcie ich wpłynęłoby niewątpliwie na usprawnienie budowy wodociągów wiejskich, na ich potanie, a co za tym idzie — na wybudowanie większej ilości za te same pieniądze.

Jednym z podstawowych mankamentów procesu inwestycyjnego jest przedłużający się cykl budowy wodociągów. Trwa on nierazko nawet 5 lat, chociaż mógłby trwać 2-3-4 razy krócej. Szansę skrócenia czasu budowy stwarza nowa technologia układania wodociągów z rur PCW (polichloru winyli) i rur polietylenowych, zamiast z dotychczas stosowanych przewodów azbestowo-cementowych. Przy układaniu rur z tworzyw sztucznych odpada konieczność montowania ich w wykopach, kopania szerokich rowów, ich szlamowania i przetrucania nad nimi mostków. Zyskuje się przeto na czasie i robociznie. Niestety, przedsiębiorstwa budujące wodociągi z dużą rezerwą odnoszą się jeszcze do tej innowacji, chociaż od 20 lat nie jest ona żadną innowacją dla Niemców, Anglików, a nawet Rumunów. Na Lubelszczyźnie zaledwie

wyprodukowania 1 m³ wody w wodociągu „indywidualnym” dla danej wsi kształtuje się na poziomie 3 zł, to w wodociągu grupowym spada poniżej 2 zł.

Z drobniejszych spraw związanych z niedostatkami występującymi przy budowie wiejskich wodociągów zwrócić by należało uwagę na wznoszenie budynków hydroforni. Budowane są one wg. projektów typowych. I dobrze. Żle natomiast, że projektanci nadal im obskurny wygląd zewnętrzny, nie odbiegający wiele od wzorowego garażu, a poza tym nie pomyśleli o ludziach tam pracujących. Budynki te są ciasne i nie mają odpowiedniego zaplecza bytowo-sanitarne.

Stwierdziłszy na początku, że setki wsi na Lubelszczyźnie cierpią na brak wody. A przecież woda jest jednym z podstawowych surowców niezbędnych do produkcji rolnej. Znałe są przykłady licznych gospodarstw, w których już nie pasza, lecz woda limituje rozwój hodowli. I to jest całkiem zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że krowa potrzebuje w ciągu doby 70 litrów wody, koń — 40, maciora — 75, tucznik — 40, warchlak — 30, owca



Targowica i „księdza - ogród”

Mirosław Derecki

JESZCZE kilka lat temu był tutaj pusty plac, potocznie zwany w Lubartowie „targowica”. Z dawien dawna, w określone dni tygodnia, zapelniał się furmankami, wasagami i bryczkami, przede wszystkim zaś — tabunami koni. Dobrze pamiętam specyficzny klimat owych spotkań koniarzy z całego powiatu: próby zręczności, próby siły konia, grupy mężczyzn zwalające się na furmanki, które wśród krzyków, trzaskania z batów, mkną przez swolsty „tor przeszkód”, przez płaszczyste lub błotniste wstępy.

Po drugiej stronie szosy rozciągał się „księdza-ogród”. Szmat ziemi, należąca do plebanii, otoczona drewnianym, wysokim płotem wspierającym się na masywnych, ceglanych słupach. O ile targowica leżała trochę na uboczu, to „księdza-ogród” mieścił się niemal w centrum miasta. Tylko rząd niskich, połydowniczych kamieniczek oddzielał go od lubartowskiego rynku.

Nie ma już targowicy i nie ma „księdza-ogrodu”. Ale spacerując dzisiaj z prezesem Powiatowej Spółdzielni Mieszkaniowej, Feliksem Zukowskim, wśród czteropiętrowych

bloków mieszkalnych, możemy jeszcze dokładnie określić, gdzie ksiądz proboszcz hodo-wał maliny, gdzie siał żyto i w którym miejscu miasto sprzedawało chłopom wodę dla koni — po złotówce za wiadro.

Lubartów, owe „przedmieście Lublina”, zmienił się w ciągu kilku ostatnich lat nie do poznania. Wprawdzie w pojęciu niektórych mieszkańców prawdziwym obywatelem tego grodu jest ten, kto posiada udział we wspólnym pastwisku (a prawa do owego udziału przechodzą z ojca na syna), ale też takich ludzi jest coraz mniej. Do starego, murarsko-rolniczego Lubartowa wchodzi przemysł. Pije się wprawdzie jeszcze często mleko od własnych krow, ale nierazko córki ich właścicieli pracują w jednym z najbardziej nowoczesnych zakładów Lubelszczyzny, miejscowej filii warszawskich Zakładów Radiotelewizyjnych im. Kasprzaka.

Zukowski siedzi w Lubartowie od lat dwudziestu. Zaczynał jako działacz Związku Młodzieży Polskiej, pracował w organizacji harcerskiej. Kiedy już wyrósł z organizacji młodzieżowych, wybrano go ojcem miasta. Wreszcie, naturalną koleją rzeczy, objął

funkcję prezesa. Ale nie jest to prezes tylko od zajmowania honorowego miejsca za prezydalnym stołem. Chociaż nie rdzenny Lubartowianin (a mam prawo do wydania takiego sądu, ponieważ moja babcia posiadała udział w pastwisku), jest jednym z tych ludzi, którzy z całą pasją kształtują nowe oblicze miasta.

O współczesności Lubartowa świadczy coraz to nowe zakłady produkcyjne, lecz w nie mniejszym stopniu wpływa na jego nowoczesny charakter właśnie fakt istnienia spółdzielni mieszkaniowej. I nie chodzi tylko o tych 13 bloków mieszkalnych wyposażonych w centralne ogrzewanie, bieżącą wodę i łazienki, które do niedawna na palcach można by policzyć w Lubartowie, ale także o pracę organizacyjną, społeczną, kulturalną, prowadzoną w osiedlu. To, co się robi w Lubartowie, przypomina najlepsze czasy Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. „Problem w spółdzielczości mieszkaniowej” — mówi Zukowski — polega nie tylko na tym, żeby dać ludziom klucze do mieszkań. Spółdzielczość ma ambicje tworzenia w osiedlach nowego społeczeństwa. Tworzenia stosunków międzyludzkich na miarę naszych czasów. My każdym nowoczesnym wnętrzem, każdą nową łazienką, każdym spotkaniem czy prelekcją w klubie osiedlowym zatrząskujemy drzwi za tym wszystkim, co w Lubartowie przestarzałe, anachroniczne”.

Nie pierwszy raz goszczę w tutejszym klubie osiedlowym. Zgrabny, nowoczesny, piętrowy pawilon stoi akurat w tym miejscu, gdzie kiedyś była brama wjazdowa na targowicę. Dla mnie posiada to dodatkową wymowę. Parter budynku zajęty jest przez sklep spożywczy, mający również dział gospodarstwa domowego. Piętro — to prawie cały „dom kultury”. Elegancka, przytulna sala klubowa i ciągnący się wzdłuż korytarza rząd salek i pokoi. Jest tutaj ognisko muzyczne, w którym kształci się 40 uczniów, odbywają się kursy gotowania i prowadzenia domu, działa poradnia krawiecka, kosmetyczna, istnieje zakład fryzjerski. Przy klubie — młodzieżowy zespół muzyczny oraz zespół żywego słowa. Spotkania i prelekcje, organizowane głównie w porozumieniu z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, dotyczą najczęściej zagadnień polityki międzynarodowej oraz problemów nurtujących współczesne polskie społeczeństwo.

Niezależnie od pawillonu kulturalno-usługowego istnieje na terenie osiedla filia Biblioteki Miejskiej z własną czytelnią-świetlicą.

Ośrodek zdrowia, apteka, gabinet dentystryczny, elegancka restauracja „Astra”, no i prawie czterysta nowoczesnych mieszkań, w których żyje około 1300 osób, sprawiła, że centrum Lubartowa niepostrzeżenie przesunęło się właśnie na teren dawnej targowicy i „księdza-ogrodu”. Jest to zresztą tylko centrum „czasowe”. Zukowskiego nasłoucha myśl wełna z nowoczesnością na lubartowski rynek, aby dawna równowaga miejska została zachowana. Należy się spodziewać, że

nastąpi to w najbliższej przyszłości; opracowano już projekty i dokumentację, została zatwierdzona lokalizacja. Roboty mają się zacząć w przyszłym roku. Zostaną wyburzone parterowe ruiny wokół rynku, w ciąg zabytkowych kamieniczek będą wkomponowane nowoczesne pawilony usługowo-handlowe i wielki spółdzielczy Dom Handlowy o powierzchni 1000 m kw. Nad nowoczesnym rynkiem — zaprojektowanym przez warszawskiego architekta Tadeusza Myka — będzie górowała sylwetka pięknego barokowego kościoła św. Anny. „Tak — powiada prezes Zukowski — w przyszłym roku robimy w Lubartowie rewolucję. W samym centrum miasta. I to połączenie starego z nowym musimy nam dać Lubartów nowoczesny”.

Z nowoczesnością, z przemysłem, przychodzą do miasta nowi ludzie. Ci właśnie ludzie jeszcze bardziej od starych, zasiedziały lubartowskich rodzin, potrzebują mieszkań. W filii Zakładów Kasprzaka pracuje 550 osób, budująca się Komunalna Rozlewnia Gazu Płynnego — jedna z sześciu w Polsce — zatrudni 350 pracowników. W wielkiej garbarni stanie do pracy 1300 osób. Tymczasem Powiatowa Spółdzielnia Mieszkaniowa jest w obliczu ogromnych trudności. Mimo iż dotychczasowe bloki zostały wybudowane w rekordowo krótkim czasie, obecnie tempo budowy uległo znacznemu zwolnieniu. W Lubartowie jest gdzie budować, ale w tym samym, murarskim miasteczku nie ma kto stawiać domów. Swego czasu doskonale pracujące miejscowe przedsiębiorstwo budowlane zostało wchłonięte przez Lublin. Roboty budowlane prowadzi teraz przedsiębiorstwo z Radzyna, które cierpi na brak rąk do pracy. 400 rodzin mieszka już w dwóch osiedlach Powiatowej Spółdzielni Mieszkaniowej, 640 rodzin czeka na mieszkania. Ostatni na liście otrzymają je nie wcześniej niż w 1978 r., co i tak napawa optymizmem jeśli się weźmie pod uwagę okres oczekiwania w spółdzielniach lubelskich, ale już teraz przewiduje się, że wkrótce okres czekania na mieszkania przedłuży się z czterech do siedmiu lat.

W dodatku, w owych nowoczesnych blokach mieszkalnych coraz częściej brakuje wody. Lubartów jest dzisiaj miastem skanalizowanym, posiadającym szeroko rozwidwaną sieć wodociągów (w ostatnich latach, głównie dzięki czynom społecznym, zbudowano tutaj 30 kilometrów wodociągów), ale nie posiada własnego ujęcia wody. Jeżeli nie ma wody dzisiaj, to co będzie za lat pięć? Miasto nie może sobie pozwolić na tak poważną inwestycję, same czynn społeczne w tym wypadku nie wystarczą, zaś władze wojewódzkie zachowują w tym względzie wiele mówiące milczenie.

Lubartów zdobył się na piękne inicjatywy. Realizuje je w sposób wzbudzający najwyższy szacunek. Trzeba pilnie uważać, żeby tego nie zmarnować. Pomoc dajcie im Lublinczy!

W LUBLINIE powiadają, że po kozuchach najlepiej pojechać do Kurowa. Podobno jak tylko wysiadzie się z autobusu, zaraz podchodzą mężczyźni i pytają: „Może kozuszek szanownemu panu?”. Coś jak w okolicach sklepu PKO, gdzie pytają: „Może dolarki?” lub: „Bony odstąpię, bony, tanio”. Pojechałem w chmurny listopadowy dzień do Kurowa. Zaczynał ostry wiatr, byłem w lekkim, podniszczonym paletku, lecz jakoś nikt nie podchodził z propozycjami, choć tylko ja jeden wysiadłem z autobusu. Stałem, stałem, zimno zaczęło mną telepać, a pies z kulawą nogą nie pokazał się. Dziwnie.

Z kozuchami w ogóle dziwna sprawa. Jak dawniej z płaszczami ortalicionowymi, nawet bardziej. Modne są, z wariantami, od lat. W sklepach na ogół ich nie ma, chyba że w dużych miastach, a i to rzadko, w niewielkich ilościach. Jednak kozuch jest zimą przyodziewkiem pospolitym na polskiej ulicy. Znaczący się, gdzieś go można kupić. Znajomi opowiadali, że jak ktoś ważny, albo ma chody, to po prostu kupuje w Kurowie, w zakładach futrzarskich. Podobno codziennie pod bramą zakładów stoi kilka eleganckich limuzyn, którymi szyby z całej Polski przyjeżdżają po sprawunki dla żon, córek i sekretarek. Pojechałem zobaczyć te limuzyny i pasażerów, ale pod zakładem stał tylko jeden astmatyczny „Trabant”, na rejestracji lubelskiej, z zachlapanymi błotem szybami.

W biurze, do którego wchodzi się bez strażników, przepustek, portiera, przyjął mnie niski, szcypły mężczyzna. Dyrektor handlowy Henryk Rukasz. Przedstawiłem się.

— Ach tak, rozumiem — powiedział dyrektor i spojrzawszy znacząco na urzędniczkę z ładnym biustem, obciśniętym czerwonym swetrem, która przyniosła mu papiery do podpisu. Urzędniczka zerknęła ukradkiem na mnie i uśmiechnęła się porozumiewawczo do dyrektora. W kieszeni miałem ledwo 200 zł, w dodatku pożyczone, kozucha nie zamierzam kupować, lecz poczułem się głupawo.

— Jak będzie w tym sezonie z kozuchami? — pytam.

— Jeśli chodzi o nas, dobrze — odpowiada dyrektor. — Dotychczas nie zawsze mieliśmy dostatek surowca. Nasza specjalność to przrób skór owczych i jagnięcych. W latach ubiegłych, z braku czegoś innego, musieliśmy przerabiać skóry koźle, importowane z Chin, zmieniając do tego specjalnie technologię. Niedobór surowca wystąpił też na początku października. Obecnie mamy w magazynach 85 tysięcy skór owczych i jagnięcych. Miesięcznie przerabiamy 30 tysięcy, czyli zapas wystarczą prawie na kwartał.

— Ile z tego będzie kozuchów?

— Domyślam się, że pod mianem kozuch ma pan na myśli modną konfekcję z futra owiec i jagniąt, włosem do środka, skóra z wierzchu zrobiona na zamsk, czyli welur. Takich produkujemy rocznie 16 tysięcy męskich, damskich i dziecięcych, i jesteśmy największym ich wytwórcą w przemyśle kluczowym w Polsce. Wszystkie zakłady tego przemysłu produkują, łącznie z nami, 29 tys. welurów rocznie. Producentami są też przemysł terenowy, spółdzielczość i rzemiosło. My oprócz welurów robimy też futra damskie i męskie z futer owczych i jagnięcych, włosem do wierzchu, odzież z tkanin wełnianych i sztucznych, podbijaną kozuchem, odzież ze skór owczych i jagnięcych na zamsk oraz galanterię skórzaną i futrzaną (czapki, rękawiczki, mufki).

Wchodzi tegi mężczyzna w średnim wieku, raczej młody. Dyrektor

naczelny, Zygmunt Kwiatkowski. Też patrzy na mnie znacząco, podając rękę kiwa znacząco, jakby chciał powiedzieć, że rozumie, że po kozuchach. Więc przystępuję do rzeczy: czy przyjeżdżają indywidualnie do nich ludzie na stanowiskach, nie służbowo, a tylko po trudno dostępnym na rynku kozuchach, albo czy przyjeżdżają po kozuchach pod pozorem wizyty służbowej? Czyj samochód stoi przed bramą?

„Trabant” jest własnością dyrektora Kwiatkowskiego, który mieszka w Lublinie i dojeżdża codziennie. Co do zakupów w zakładzie, panowie mówią niechętnie. Owszem, zdarza się, czasem nawet redaktorzy,

wymienić urządzenie na umożliwiający przrób 1500 skór. A przy okazji zbudować urządzenia socjalne, stołową z prawdziwego zdarzenia, łaźnię, szatnię, klub. Pracują u nich 574 osoby, z czego 45 proc. to kobiety, a nie mają ani przedszkola, ani żłobka.

Dowiaduję się paru ciekawostek. Na jeden kozuch trzeba 5—7 skór (około 40 proc. z każdej odpada i wykorzystywane jest potem na podbicia i galanterie). Na kozuchy oszczędnie i wydajność pracy niewielkie. Tak uważa dyrektor i dodaje, że rzemiosło indywidualne powinno być przestawione na renowację używanych kozuchów, czego dotychczas nikt w dostatecznej skali nie robi.

Zegnam obu dyrektorów, stwierdzając jeszcze, że jeden ma jesioneczkę z laminatu, a drugi płaszcz na nylonowym misiu. Przy okazji zwiędzam zakład. Halas, wibracja, wylewy chemikali, wilgotne powietrze. Załoga na ogół młoda i w średnim wieku. Gdzieś są nestorzy, siwi, zgrzybiali, od dziecka garbiący skóry? Wyobrażalem sobie, że takich trzyma się dopóki starczy im sił. Robotnik przy maszynie rozprasowującej i rozczesującej na garco futro baranie, wykrzykuje mi w ucho, że praca w garbarstwie jest szkodliwa dla zdrowia i znaczna część zatrudnionych przy tym, na rentę inwalidzką idzie w wieku przedemerytalnym.

Potem ruszyłem w Kurów, pociągając nosem, czy skądś nie doleci zapach, który poznałem już w zakładzie. Dolatywały różne, ale nie ten. W centrum stoi Wiejski Dom Towarowy, prawie tak duży jak lubelski pedet. Spytałem o kozuchy. Sprzedawczyni popatrzyła na mnie jak na wariata. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek tu były.

Lazilem po osadzie. Na ulicy Zabiej niewielki dwupiętrowy budynek zajmuje zakład pana Antoniego Diupery. W dębowych kładziach na parterze moczą się surowe skóry baranie. Kwaśny fetor przyprawił o mdłości. Ciekawe, czy posiadaczki eleganckich kozuchów wiedzą, jak one wyglądały w pierwszym stadium pobarania? W innych pomieszczeniach odbywa się plukanie, suszenie, farbowanie, strzyżenie i uszlachetnianie surowca. Niczym młynarze mąka, ubieleni są drobinami wełny pracownicy firmy. I pewnie przesiąknięci na amen wonią garbunku.

— Tak, nie schodzi prędko. Ale po to się ożeniłem z kobietą z Kurowa, żeby nie zatykała nosa, jak wróć do domu — zwierza mi się jeden. O innych sprawach personel nie chciał mówić, a szefa, pana Diupery, nie zastałem. Pojechał po farby. Buldog, który mnie ostro oszczekał przy wejściu, gdy wychodziłem radośnie pomachał ogonem. Też kwalifikuje ludzi po zapachu — a ja chyba już trąciłem nieco.

Pana Aleksandra Kuflewskiego, właściciela drugiego zakładu, również nie było. Panna Janina Wiejak z firmy „Zbigniew Wiejak i Spółka” powiedziała mi, że więcej od

futer interesuje ją gospodarstwo domowe, zwłaszcza gotowanie. A zresztą firma wyprawia nie owce, a króliki i nutrie. Pan Henryk Mazurkiewicz z firmy „Mikusiński i Spółka”, którego spytałem, czy można u nich wyprawić surowe skóry baranie, powiedział, że owszem, ale należy mieć absolutnie na każde świadectwo jej legalnego pochodzenia, bo inaczej nie z tego.

O skóry pytałem dlatego, że w Polsce hoduje się 4 miliony owiec. Teoretycznie roczny ubój powinien wynosić około miliona sztuk. Tymczasem do skupu trafia coraz mniej, ostatnio po około 300 tysięcy sztuk. Wynotowałem to w zakładach futrzarskich, z oficjalnego biuletynu. Reszta skór sprzedawana jest prywatnym odbiorcom, po cenach wyższych. Zeby skup państwowy mógł konkurować z prywatnym, albo ceny musiałyby być wyższe, zatem i ceny wyrobów finalnych, albo należałoby dostawcom przydzielać dodatkowo węgiel czy inne deficytowe towary, na przykład budowlane. Popyt na surowe skóry owcze wzrasta szybciej niż podał. Nie tylko u nas, wszędzie.

W Kurowie pytanie o kozuchy wywołuje dziwne reakcje. W restauracji „Zagłoba” z gorących dań były tylko cynadry. Zapytałem rumianą kelnerkę, gdzie tu można kupić prywatnie kozuch.

— Nie wiem, nie interesuję się — odparła takim tonem, jakbym był prowokatorem. I nie rozchmurzyła się nawet wtedy, gdy zamówiłem cynadry, których nie lubię.

Lepszym interesem od cynader był później kufel jasnego z pianką, następnie drugi i trzeci, bo przy nich wszedłem w komitywę z dwoma panami od sąsiedniego stolika, a nawet wypiliśmy bruderszaft (szóstym kuflem). Zapytałem o jeszcze jedną plotkę usłyszaną w Lublinie, a mianowicie, że pewnego dnia przyjechał do Kurowa autobus z rejestracją łódzką i tablicą „wycieczka”, pełen mężczyzn i kobiet. Wsiadli, zostali zaatakowani przez ofentów kozuchów i poszli do ich domów, gdzie wylegitymowali się jako funkcjonariusze KW MO. Może dlatego teraz nikt nie zaczepia przyjezdnych?

— E, nie, bzdura — śmieje się jeden z moich nowych kolegów. — Ani nikt u nas nie handluje na ulicy, ani nie było takiej wycieczki.

Drugi kompan (jeszcze po jednym piwie) wpada w bojowy nastrój:

— Przyjeździe do zakładu taki wazniak ze swoją kochanicą i przetrząsa wszystkie kozuchy, zanim bierze. Towarzyszu, towarzyszu, męczy dyrektora. Potem jeszcze pięć razy przyjeździe odmieniać. Taka pluskwa żyjąca z socjalizmem. I pewnie jeszcze jemu i szoferowi rozliczają delegacje służbowe. Ludzie to widzą. A załoga nie ma prawa kupić sobie w zakładzie. Pracuję tyle lat, sam nie wiem, ile sztuk przeszło przez moje ręce, a gdy chciałem dla córki, musiałem wziąć dzień urlopu i zupełnie prywatnie pojechać do sklepu do Lublina. I co myślisz, że dostałem?

Wyszedłem z „Zagłoby” w chłostający wiatrem mrok. Kuple pożegnali mnie serdecznie. W zakładach futrzarskich chyba jednak wydawałem się podejrzany: nie problem o sprzedaż niczego. Br... Podniosłem kolnierz jesionki. Gdybym jednak miał żonę i gdyby ona nie miała kozucha?

Po kozuchach do Kurowa

Romuald Wiśniewski



Fotograf damski welur — MIO
Numer: 2233—332 34 —387—714

niby zjadą na wywiad, a potem ci chutko, czy nie znalazłoby się coś dla nich, albo dla żon. Zresztą na ogół zakład nagabywany jest o okrycia damskie. Taki prezes, dyrektor czy naczelnik przeprasza za faturę, mówi, że sam może chodzić w byle czym, ale kobieta, sami panowie rozumieją — i bezradnie rozkłada ręce.

Dyrekcja w miarę możliwości stara się spławić takich interesantów; no, nie każdy jest do spławiania. Jeśli przyjeżdżają z polecenia jednostki nadrzędnej zakładu, co innego, rozkaz to rozkaz. Przy czym bezpośrednio w zakładzie nie sprzedaje się nigdy, lecz wysyła do określonego sklepu. Ile kozuchów sprzedano w ten sposób w roku, dyrektorzy nie wiedzą, nie prowadzą statystyk, mówią, że niewiele. Wyraźnie nie mają chęci na kontynuowanie podtematu.

Czy nie przewidują zwiększenia produkcji? Owszem, po zmianie urządzeń. Zakład zbudowany w roku 1950, ma szereg urządzeń wyeksploatowanych w ponad 70 procentach. W najbliższych latach trzeba będzie wymienić zespoły na nowe, wydajniejsze. Oni tu robią wszystko od początku: garbują skóry surowe, wyprawiają, uszlachetniają, projektują wzory, kroją i szyją. Skóra to tworzywo naturalne, pewnych procesów nie da się przyspieszyć, swoje musi odleżeć w kadziach. Zakład był projektowany na przrób 600 skór dziennie, zmodernizowali go, przerabiają dziś tysiąc dziennie. Chcieliby

równie się wyprawiają. Najgorsze — hodowcy lubelscy, białostoccy i krakowscy. A w ogóle najlepsze są z Islandii, lecz kraj ten, podobnie jak i Hiszpania, ostatnio rozwinął na szeroką skalę własny przrób i produkcję, wobec czego ceny tamtejszego surowca podniosły się. Kurowskie zakłady dostają też skóry importowane z Grecji, Turcji, Tunisu, Maroka, Algierii, Australii, Anglii, Mongolii, Argentyny i z USA. Kurów eksportuje rocznie 2500 welurów na kozuch, głównie do USA i NRF. Rozwój tworzyw sztucznych nie mniha dotychczas najmniejszego wpływu na popyt na kozuchy. Natomiast moda się zmienia. Teraz idą welury, przedtem — poszukiwane były wierzchy błyszczące, lakierowane.

Opowiadają w Lublinie, że w każdym domu w Kurowie wyprawia się skóry. Pytam, czy panowie słyszeli o tym? Naturalnie. I nieraz przostawali te błędne opinie. Skóry wygarbować po cichu, nielegalnie, raczej w takiej dużej osadzie nie można. Nie dąboby się ukryć kadzi z moknącym surowcem, a poza tym zapachy, jakie od niego daleko idą, zdradziłyby sprawcę. Może gdzieś oszedł ktoś próbuje, ale to wyjątki. Natomiast w każdym domu jest ktoś, kto umiałby to zrobić. Właściwie to prawie wszyscy w Kurowie umieją. Wielowiekowy tradycyjny zawód mieszkańców. Krótko mówiąc, wszyscy w osadzie są fachowcami. Obok zakładów, istnieje tu spółdzielnia futrzarska, zatrudnia

Wnikliwość inwencja dobry smak

Dokończenie ze str. 12

Wszystko, co się dzieje na scenie, zostało zaimprovizowane przez młody zespół aktorów, który kształtuje losy bohaterów, ustosunkowując się tym samym do ich czynów i wynikających z błędów konsekwencji.

Nadto wplotła inscenizatorka do niektórych partii widowiska elementy starego rumuńskiego tańca obrzędowego kuczi lub kukerii, który miał, podobno, symbolizować ślub, zapładnianie, śmierć i zmartwychwstanie. Te interpolacje folklorystyczne nie tylko ubarwiają przedstawienie, ale i pogłębiają je nawiązaniem losu jednostkowego do dziejów narodu.

Nader pomysłowym procederem inscenizacyjnym było włączenie w akcję kwestii narracyjnych i wie-

lu polemicznych uwag bohaterów, zarówno bowiem wspomnieniowe retrospekcje, jak obrazy o charakterze „futurologicznym”, przyczyniają się skutecznie do wzmocnienia dynamiki spektaklu.

Temuż celowi wybitnie przysłużyła się „antropomorfizacja” przedmiotów, gławki i zwierząt: kapitał pies (w wykonaniu Jerzego Leszczyńskiego), który przypominał mi psa z „Niebieskiego ptaka” Maeterlincka, kukulka i ukazujące się po niej ptaki-strachy, odwrócenie rozkołysanych wicherem gałęzi w lecie za pomocą ruchu aktorów z sekantymi kijami w ręku, przedział kolejowy uformowany z ludzi... Nieustająca wzajemna penetracja trzech wymienionych planów ma przebieg bardzo płynny, bardzo rytmiczny, jak również metamorfoza postaci w niealicznych epizodach. Służna była likwidacja „głosów” zakulisowych i z widowni, tracących przestarzałym konwencjonalizm. Kwestie wyrusowanych przejeżdża zasadniczo, szkieletobowa obsada, która wypełnia scenę nieprzerwanym ruchem i gwarem, nie dopuszczając pary bohaterów do kameralnej izolacji.

Widowisko ma szereg świetnych scen, takich jak zabawa w pocąg, jak scena marzeń o ślubie, skrojona z rajskimi „twimlencjami” i z chrześnym płasem maskar, czy ucieleśnienie wspom-

nień o rodzinnym miasteczku z zabawa w Indian, z okrzykami na donnieimym nowym stadionie, jak „wojna domowa”, jak symultaniczne sceny separacji i narodzin ze wzniosłym upostaciowaniem macierzyństwa, czy też tragiczne sceny ze sznurem, z jarmem.

C. Buzolanu umie odwieść chwytły zbanalizowane modą (przykład: komieczny bleg dokoła własnej osi — rzekomo po poruszoną walczkę). Chwytły znaki jej spektaklu występują zawsze w zaskakująco oryginalnych układach.

Bariera językowa nie przeszkodziła dobrej współpracy rumuńskiej reżyserki z aktorami i ze scenografem.

Oszczędna, funkcjonalna scenografia Teresy Targońskiej jest jeszcze jednym walorem przedstawienia — niemalowane schody, kilka podestów, parę frapujących masek, trafnie zaprojektowane rekwizyty, śliczne rajskie drzewko...

Grają w „pseudokomedii”: Danuta Borowiecka, Ewa Lejczak, Ewa Wolf, Zbigniew Górski, Jerzy Schejbal, Włodzimierz Wiśniewski

Wiele ekspresji mają postacie głównych bohaterów, ONA i ONA, w

interpretacji Z. Górskiego i E. Lejczak — postaci „abiorcze”, a zarazem wyposażone w indywidualne rysy psychologiczne.

Inni aktorzy dwoją się i troją, przemieniając się z istną wirtuozerią, niekiedy „wypadając” z akcji, by ją skomentować. Sprawność rachy pantomimicznego zawdzięczają oni współpracy Jerzego Leszczyńskiego.

Nastrój wytwarza raz po raz lub zabarwia sytuację dwoipem — to muzyczne Jacka Popiołka.

I rzecz najważniejsza: inscenizacja Cataliny Buzolanu doprowadziła dramat dwojga młodych do potęgi tragedii ludzkiej.

A problem nurtujący współczesnych?

Zycie ultraspieszone. Przymus wielkich dokonań. Być czy nie być „Wieża Eiffla”?

Cóż, chyba wieże były i będą potrzebne dla postępu cywilizacji.

Maria Bechzyce-Rudnicka

Pracowite zdziwienia poety

PRACOWITE zdziwienia" przypominają postać zmarłego przed czterema laty poety i krytyka, Jana Spiewaka. Jak mało który z pisarzy ostatniego czasu pochłonięty był on nie tylko uprawianiem swojego pola wyobraźni, ale poświęcał czas innym poetom. Przez całe lata Spiewak zbierał, przygotowywał do druku, przelamując niekiedy niemałe trudności, dorobek piarszy, którzy nie przetrwali wojny, którzy odeszli tragicznie, często dopiero u progu swoich najwyższych piarskich wzniesień. Jego zasługą były powojenne edycje poezji Z. Ginczanki, J. K. Weintrauba, L. Piwowara, a także — co na tych łamach trzeba specjalnie podkreślić — Józefa Czechowicza. Te ostatnie zasługę dzieli zresztą z Sewerynem Pollakiem. Ten *moralny imperatyw pamięci i wiernej przyjaźni był najczęściej bodźcem prac krytycznych i recenzentek Jana Spiewaka* — pisze Anna Kamieńska w nocie wstępnej do „Pracowitych zdziwień”. Trojka jego objęła szczególnie krąg poetów związanych przyjaźnią z Józefem Czechowiczem. Wnikliwe szkice poświęcił Spiewak twórczości Stanisława Piętaka i Henryka Domańskiego, przypomniano także dawny szkic o B. L. Michalskim.

Słusznie zwróciła Kamieńska uwagę, iż autor „Pracowitych zdziwień” rzadko pisał o poetach uznanych, otoczonych opieką krytyki. Spiewak najczęściej służył swoim piórem pisarstwu zapoznanym, zaliczanym albo nie docenianym. Stąd płynnie jedna z podstawowych cech piarsstwa krytycznego Spiewaka. Miało ono zwykle wyraźne ostrze polemiczne, co szczególnie mocno ujawniło się w szkicach o Piętaku i Galczyńskim. Polemiczemu nastawieniu autora towarzyszy inna właściwość jego szkiców — mianowicie ich ogromna emocjonalność i osobiste zabarwienie. Zresztą Spiewak podkreślał, że nie czuje się krytykiem, z góry rezygnował więc z obiektywizmu sądów, a eksponował własne upodobania i hierarchie. Upodobania literackie i animozje były wyraźne. Nie zniósł modernizmu, Młodej Polski, niechętnie odnosił się do symbolizmu (stąd tak ostro przeciwstawiał się łączeniu poezji Czechowicza z tradycją symbolistyczną) i bardzo niechętnym okiem patrzył na ożywianie tych tendencji w twórczości z lat ostatnich. Bardzo surowo ocenił polski futurizm i próby nawiązywania do niego po roku 1956, nie widział też perspektyw przed kontynuatorami krakowskiej awangardy — której zresztą zawdzięczał wiele i z niej wyrósł — stąd tyle polemicznych nawiązań do wystąpień Juliana Przybosa.

Polemiki stanowiły pasję Jana Spiewaka. W jednym z „Listów do Polikarpa” wyraził tęsknotę za autentyczną dyskusją o literaturze, narzekał na jawność współczesnych pism literackich. Również jedną ze słabości poezji ostatniego czasu upatrywał w braku konfliktowości, w jej spokoju i oderwaniu od doświadczeń ludzkich. *Nie ma twórczości bez walki, a twórczej walki nie widzę. Czego się więc broni w artykułach, w imię czego, przeciwko czemu? [...] Zjawisko wręcz niezrozumiałe w Polsce po ostatniej wojnie.*

Polemizm dodaje smaku „Pracowitym zdziwień”, ale nie ta cecha decyduje, moim zdaniem, o wartości książki. Najciekawsze wydają mi się te jej obszary, gdzie Spiewak nie korzysta z pretekstów, lecz mówi wprost o sobie, o swoich doświadczeniach piarskich, o własnym pojmowaniu poezji. A także o swoim pokoleniu. Spiewak niejednokrotnie podkreślał, że jest pisarzem dwu wojen. Pierwsza na swój sposób zmieniła spojrzenie przyszłego pisarza, druga uczyniła spustoszenia nieporównanie większe. Przepolowała biografie, zabrała najbliższych. Stąd też obowiązek pamięci wobec pomordowanych, potrzeba pamięci. W tym kontekście należy widzieć wspomnianą już działalność Spiewaka, prowadzącą do przypomnienia twórczości swoich rówieśników. Próby pominięcia ich dorobku nazwał niemoralnymi, bowiem chodzi o pokolenie szczególnie doświadczone. *Są to ludzie, którzy faktycznie nigdy nie mieli młodości. Są to ludzie przypadkowo uratowani. Dziesiątki tysięcy ich rówieśników zginęły, ich uratował przypadek. Po ostatniej wojnie oni wyszli okaleczeni z partyzantki, z obozów, z więzień i na ich barki spadł cały ciężar polityki schematyzmu w kulturze. To oni bronili honoru poezji polskiej i obronili poezję.*

„Pracowite zdziwienia” dają wybór z prac krytycznych Spiewaka. Nie wydaje mi się we wszystkich wypadkach wybór ten uzasadniony. Na przykład wypowiedzi na temat satyry czy niektóre „Listy do Polikarpa” nie reprezentują należycie piarsstwa Spiewaka. Również poczynione w niektórych tekstach skróty nie zawsze dają korzystne wyniki. Szkice zyskują na jasności, ale tracą niektóre uroki stylu wspomnieniowej gawędy, często dygresyjnej, która takie wywarła piętno na „Przyjaźniach i animozjach”.

Tadeusz Klak

Jan Spiewak: Pracowite zdziwienia. Szkice poetyckie. Wybór i układ Anna Kamieńska. Warszawa 1971. Czytelnik.

Jerzy Leszczyński

Fraszki

APEL DO NARODU

Bądźmy trochę mniej ważni — we własnej wyobraźni.

ZYWY BOHATER

Pierśi nadstawiać gotów stale, gdy za zasługi dają medale.

DEWIZA

Nie wszystko można przyjąć za dobrą monetę, co biją.

PORZĄDNY BALAGAN

Chce każdy śmieć kąt własny mteć.

NA WIATR

Wiatr, choć 100 lat wieje, miejsca nie zagrzeje.

RZECZYWISTOŚĆ

Ostrożnie także ma marzenie, na jakie dostał zezwolenie.

URZĘDOWY PODZIAŁ NA STRONY

a) część załatwionych, b) część urządzonych.

PRZECIĘTNY TYP

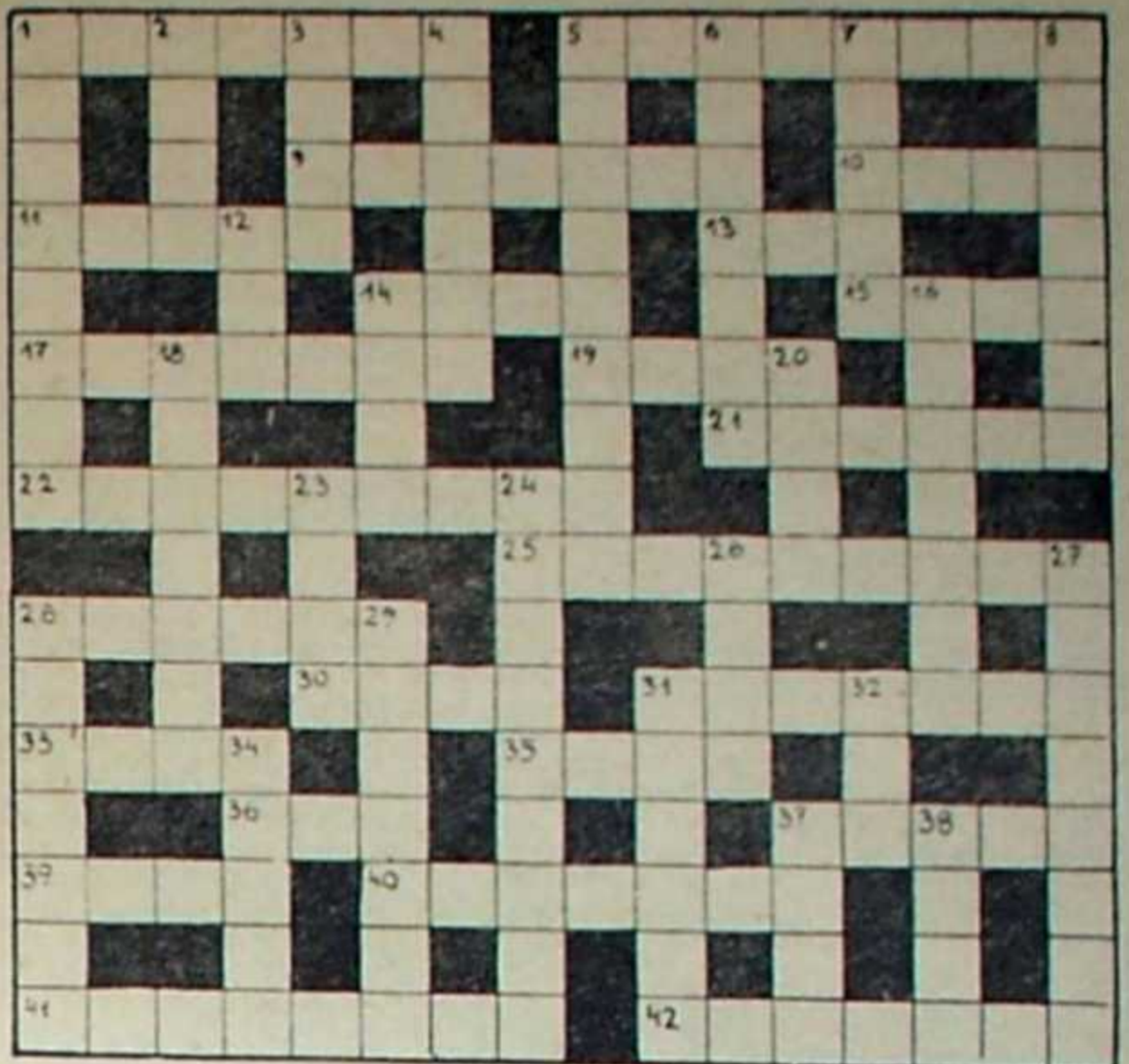
Sługa uniozony — dla przełożonych; pan samowładny — dla podwładnych.

Krzyżówka nr 25

POZIOMO: 1. kompozytor czeski, twórca poematów „Moja ojczyzna”, 2. znak muzyczny nakazujący łączne wykonanie kilku dźwięków, 3. zmiana w kopalni, 18. kompozytor i organista niemiecki XVIII wieku, 11. powieść I. J. Krausewskiego, 13. spód naczynia, 14. C.H., 15. hiszpański pieśniarz, 17. kołko na religijnych obrazach, 19. tużin tużinów, 21. autor libretta „Halki”, 22. polski kompozytor, twórca poematu symfonicznego „Step”, 25. opera Monteverdiego lub konstelacja, 28. zmarły w 1985 roku w Paryżu kompozytor polski, laureat I nagrody Międzynarodowego Konkursu w Brukseli w 1937 r. za „Concerto grosso”, 30. sieć do wyławiania min, 31. pięciosałobowy zespół muzyczny, 32. trzysosałobowy zespół muzyczny, 33. druga rzeka Polski, 34. mówisz przed braterszafem, 37. kompozytor norweski, twórca muzyki do „Peer Gynta”, 39. margrabia Marchii Wschodniej toczący wojny z Mięszkiem I, 40. ozdoba pierwsza litera tekstu, 41. współczesny poeta polski, laureat Nagrody Państwowej w 1966 r., 42. ojczyzna Szaunasa.

PIONOWO: 1. kompozytor niemiecki epoki romantyzmu, twórca znanego utworu „Marzenie”, 2. wulkan na Sycylii, 3. uprzedzenie, niechęć, 4. zespół towarzyszący, 5. dramat muzyczny Wagnera, 6. pisarz radziecki, autor m. in. powieści „Pijane słońce”, 7. cygański obóz, 8. poemat symfoniczny Różyckiego o party na utwory Słowackiego, 12. biłbiny żeglarski, 14. absolwent szkoły podoficerskiej, 16. biegi, specjalista, 18. kompozytor włoski, twórca „Cyrulnika sewilskiego”, 20. gra jeden instrument, 23. przelotny klasztor, 24. kompozytor polski, twórca „Odwiecznych pieśni”, 26. jest Mazowiecka i Ruska, 27. opera Honeggera, 28. operetka Zellerera, 29. pisał w Bolestaw Prus, 31. ludowa barwna wataśka z grubych nici, 32. dopływ Warty, 34. stolica polskiej piosenki, 37. dźwięk wydawany przez człowieka, 38. kniaź z opery Borodina.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skrz. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23

POZIOMO: polip, Konopnicka, Rembrandt, Dolega, Pankiewicz, desperat, Tełksas, Lewis, Atlas, Uska, teina, orkiusz, Lalewicz, Turgeniew, studia, Ajscylios, Orzeszkowa, różgi.

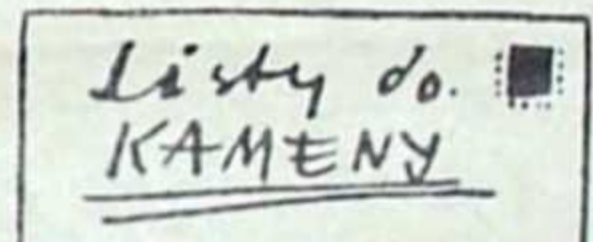
PIONOWO: Pirandello, lampas, Paracelsus, kanapa, Natan, podnieta, Chęciński.

Apacz, kasta, Estreicher, Szaryński, wikariusz, Tarle, szperacz, Awestia, inkluz, Tasso, Idaho.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 23 nagrody wylosowali: Adam Kowalczyk, Lublin, ul. Skierki 3/4; Anna Bibik, Lublin, ul. Leśna 15 m. 7; Stefan Komorowicz, Skarżysko Kam., ul. Leopolda Staffa 22/2; Teresa Bielecka, Kraków, ul. Rakowiecka 3 m. 4.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji twory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.



„Ostatnia bitwa generała Kleeberga”

Przeczytawszy książkę Włodzimierza Kowalskiego pt. „Ostatnia bitwa generała Kleeberga” (Wyd. Lubelskie, 1968) chciałbym sprostować podaną na s. 100 informację, jakoby batalion „Wilk” został pod Adamowem rozbity i poszedł w bezładną rozsypankę, jak również i to, że kpt. Sopoćko próbował zorganizować resztki batalionu „Wilk”.

Stwierdzam to jako d-ca i komp. tego batalionu. Wycofując się spod Adamowa, gdzie nie mialem ani fanny, ani zabitych, pod nawałą niemieckiego ognia artyleryjskiego i z granatników, zastalem po drugiej stronie lasu mjr Wilczyńskiego, oczekującego na swego adiutanta. Zameldowałem mu wycofanie kompanii z uwagi na zagrożenie objęcia jej od prawego skrzydła przez oddziały niemieckie, proponując mu jednocześnie wycofanie się wraz ze mną. Major odmówił, bo postanowił czekać, co było nonsensem z uwagi na obserwowany ostrzał artyleryjski. W chwili po naszej rozmowie major został ciężko ranny.

Kompania nasza, wraz z kompanią „Rawicz”, wchodząca w skład batalionu „Wilk”, dotarła do wsi, której nazwy nie pamiętam. S.X. dostała rozkaz zmiany kwater. Zmęczonych piechurów wprowadziliśmy znowu do wsi leśnej. Las ostrzelany był niemieckimi granatami, ledwo można było utrzymać rwać się kordzie, a kompania nasza wraz z kompanią „Rawicz” z bagnietami na karabinach poszła naprzód. Mieliśmy wsparcie 2 cekaerów. Kompania „Rawicz” zdobyła niemiecki granatnik wraz z amunicją i dwa te kompanii przy mnie z tego granatnika ostrzeliwali Niemców. Niemcy nie przyjęli walki wręcz i szysalem komendę d-cy niemieckiego „Kompania halt, stehenbleiben”.

Zapadła noc. Nastąpiło ostrzelanie z jednej i drugiej strony pociskami świetlnymi. Wreszcie nastala cisza. Zmęczony żołnierz, gdzie który leżał, zasnął. Doem plutonów dyżurnym kazałem czuwać. Około godz. 18-iej przybył karal z wiadomością, że gen. Kleeberz kapituluje. Nie mogłem podjąć decyzji i wysłałem kpt. Sopoćkę wraz z por. rezewy, którego nazwiska nie pamiętam, żeby sprawdził wiadomość. Niestety, nie wrócił do mnie. Sam zdecydowałem rozemnieć się w sytuacji i poszedłem do tyłu. Nie zastalem linii drugiego rzutu. Samochodem przejeżdżała żandarmeria polowa, która potwierdziła sytuację. Wróciłem do oddziałów i po krótkiej naradzie z oficerami postanowiliśmy wycofać się z linii i wrócić do wsi, gdzie zostały nasze tabory i kuchnia. Poleciłem w naszym kierunku cisy podnieść żołnierzy, bo tuż przed nami na odległość głosu byli Niemcy. Księżyc świecił jak na złość jasno, ale udało się nam bez przeszkód wycofać. We wsi taborów już nie było, mój ordynans z rzeźmią znikł. Znalazłem natomiast kpt. Szynka, który miał kasę batalionu. Poleciłem mu przedniadnie wydać kompaniom batalionu i pobory oficerom. Były trudności, nie było drobnych. Potegnałem żołnierzy, zrozumiałe wzruszenie, ze łzami, poleciłem zakopać broń i zapadać w las dwójkami, trójkami. Sam też chciałem uniknąć

„Myślę, że przyjąłem się na stałe do Poste-Restante” — powiada Pan J. B. z Rejowca. I przesyła partię następną, „kilka skromnych wierszy o nastroju jesiennym”. Zatem nieco jesieni zimą:

Krzykiem ptaków rozdarła, opadłych liści tęsknotą, szarością umierania wupukle, pierś drzew obnażoną, z głosem na lysa strzyżoną upęty do moich oczu utargnęty tałem do pierś dni odchodzące z zieleni.

Stożek zamglone uciżył się dopala pośród pustymi pustkolei — to dzień żółobą się zapala za potiekami tutej siołowa.

Swego czasu, a była to jesień, zapomniałem opublikować Panu K. L. z Bielawy fragmenty cyklu „Kwiecie nasze”, niniejszym rekom-

pensujemy tę stratę na zasadzie: trochę lata zimą.

LILIA

Dola nieciennej ok utna dlatego smutna.

FIOLEK

Cichutki skromny uoń sieje dokoła mowią o takim ma fioła.

GOŚDZIKI

Choć kształt ucytoorny miły zapach, uciżył go spoconu ścisła lapa.

BEZ

Panie lubię bez więc jest.

Czekamy na propozycje: trochę wiosny zimą.

niewoli, ale byliśmy tak otoczeni, że zostalem złapany przez patrol niemiecki. Na punkcie zbornym spotkałem wszystkich oficerów batalionu, przyprowadzono także moją siewa kiesz. Z niewoli niemieckiej uciekłem do Jędrzejowa i w listopadzie 1939 r. zacząłem organizować Ruch Oporu. Nadmieniam, że brałem udział w walkach o Kock, zaciągnąłem placówkę przy kamieniu, gdzie zginął Berek Joselewicz. Druga placówka była na szosie do Kocka, gdzie zniszczyliśmy dwa samochody pancerne. Pod Serokomlą miałem stanowiska obok kościoła, na cmentarzu i strzelnicy malokalibrowej. Pod Adamowem — na listerze lasu i pod Horzdieżem.

Nadmieniam o tych sprawach, ażeby w ramie ponownego wydania pracy W. Kowalskiego przywrócić dobrą sławę batalionu „Wilk”, który do ostatniej godziny utrzymywał walkę z najeźdźcą i rozegrał walkę zwycięską. Batalion „Wilk” zorganizowany został w Kowliu, przeważnie z ochotników.

Kazimierz Bartkiewicz
dca I komp. batalionu „Wilk”
por. WP, kapitan AK
Bielsko-Biała, ul. Szeroka 9

„Co i gdzie piszczy”

Szczere gratulacje za ostatni artykuł! Nareszcie może Pan wnieść nowy i ożywczy prąd do naszej prasy literackiej. Trochę krytyki nie zaszkodzi nikomu. „Co i gdzie piszczy”, w szczególności pod koniec, jest dobrą nauką dla redaktorów, którzy bezkrytycznie drukują absurdalnie bezsensowne wiersze w stylu wspomnianego przez pana „31 marca 1971. godzina 19.21”.

Tylko zastanawiam się, czy przypadkiem ten „utwór” nie jest złośliwą polemiką z wierszem Bohdana Drozdowskiego z cyklu „Aktystychni Olimpijskie” o Teresie Sukniewicz, która któregoś dnia, o którejś tam godzinie, bje rekord świata. Takie przynajmniej odnośne wrażeń. Abstrahując od powyższego artykułu pana spotkał się z dużym uznaniem nie tylko u mnie, ale i u znanych którzy również czytają „Kamień”. Wspólnie uznajemy pana pismo za jedno z bardziej ambitnych. Czekamy na więcej. Przesyłam panu i całej redakcji wiele serdeczności!

W. T.

Warszawa

(nazwisko i adres znane redakcji)

„Marzenia i pyśk”

W artykule „Marzenia i pyśk” („Kamena” nr 23) Maciej Podgórski stwierdza, że nie sprawami kultury przejmają się administratorzy powiatu parczewskiego. I słusznie. Jeden pan z Parczewa omawiając działalność klubów powiedział: „Zwalnialiśmy, zwalnialiśmy i będziemy zwalniać tych z góry i tych z dołu”. Dlaczego? Zapytali siebie jednocześnie gospodarze klubów „Ruch” i „Bojnik” i odjechali z wielkimi strachem, niż zapalem do pracy. Regres, jaki przeżywają wiejskie kluby, nie jest zjawiskiem przejściowym, ani nagłym atakiem choroby. Tyko w latach 1966—70 w klubach „Ruch” i „Bojnik” zmieniło się 63 proc kadry. Z Gromadzkich Ośrodków Kultury w województwie lubelskim w roku 1969 odezło z pracy 15 pracowników. Trzy lata temu uległ likwidacji klub „Bojnik” w Kodeńcu.

Bogusław Maleszczyk — przewodniczący PKKS w Parczewie — w dyskusji na wyjazdowym kolegium redakcyjnym mieszczyka „Kultura i Ty” w Janowie Lubelskim powiedział: „Uchwała PWRN zaleca powołanie Powiatowej Komisji Rozwoju Kultury. W Parczewie taka już istnieje, liczy dwadzieścia trzy osoby”.

Powołanie Powiatowej Komisji Rozwoju Kultury nie może być zabiegami tylko o charakterze organizacyjno-administracyjnym. W inicjatywie tej należy szukać sterowych przesłanek, wypływających z założeń polityki kulturalnej państwa i z poszukiwania rozwiązań. Chodzi w istocie o dalszą demokratyzację zarządzania, która zapewni szerszy w nim udział społecznym działaczom. Odnosi się to równocześnie do poszukiwań nowego modelu kultury wsi. Doświadczenia ZMW wskazują na to, że młodzież wiejska chętnie uczestniczy w rozwoju bazy materialnej działalności kulturalno-rozrywkowej we wsi. Członkowie Kola ZMW w Kodeńcu z entuzjazmem podejmują zobowiązania, aby doprowadzić do otwarcia nie istniejącego od trzech lat Klubu. Władze terenowe w Kodeńcu powoli wychodzą tej inicjatywie na przeciw.

Stanisław Sterlus
Kodeńiec

P.S. Dozsył mnie ostatnio słuchy, że w związku z zekomym spadkiem czytelnictwa w Kodeńcu, jedyny miejscowy ośrodek upowszechniania kultury — biblioteka, ma mieć zmniejszone godziny pracy. A tak pragnął nasz wieszcz: „Aby te księgi zbłądziły pod strzechy”

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOBTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MAJDEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer ismal KONSTANTY KEPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 31

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 335-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 235-33

Korespondencje zwykła prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2396. 13X171. 19496. A-4.

Z bocznicy trybuny

Boks bez ligi

POLSKI Związek Bokserski postanowił zatwierdzić w roku przyszłym rozgrywkę o mistrzostwo I i II ligi. Zamiast nich odbywać się będą turnieje indywidualne z udziałem zawodników z 32 najlepszych drużyn. Drużynowe mistrzostwo Polski uzyska zespół, którego zawodnicy w sumie wypadną najlepiej w turniejach.

Z naszego województwa do turniejów tych zakwalifikowano Avię Świdnik i Motor Lublin.

Przeciwko decyzji o zawieszeniu rozgrywek głosowały delegacje Warszawy, Łodzi i Lublina, lecz były mniejszością. Niezadowolony lubelski okręg wyznaczył z bardzo prostej przyczyny. Otóż pierwsza liga bokserska składa się z sześciu drużyn w grupie A, obejmującej 6 najlepszych drużyn w kraju i grupie B, z sześcioma dalszymi. Mistrzostwo Polski zdobywa zwycięzca rozgrywek grupy A. Mistrz grupy B wchodzi w następnym sezonie do grupy A. I ułoił Avia, walcząca w grupie B, od dawna znaj-

dowała się na czele tabeli. W niedzielę 4 listopada świdnickianie pokonali 11:9 stołeczną Gwardię i mimo że do końca turnieju została jeszcze jedna kolejka rozgrywek, zapewnili sobie mistrzostwo grupy B. To znaczy, że gdyby nie decyzja PZB o zawieszeniu lig, w roku 1972 Avia walczyłaby w grupie A. Oglądaliśmy więc na lubelskim ringu sześć najlepszych drużyn bokserskich w Polsce, mistrzów i reprezentantów krajowych olimpijczyków, sław międzynarodowe. Kibice lubelscy i redaktorzy sportowej ubolewają z powodu zawieszenia rozgrywek. Teraz, obok niektórych tylko zawodników najlepszych drużyn walczących będą też i ci z zespołów mało znanych, nie liczących się.

Jednakże gdy spojrzymy na zagadnienie przez pryzmat nie wąskiego, własnego interesu, a ogólny, decyzja większości działaczy PZB wydaje się interesująca.

Boks jest sportem indywidualnym nawet wtedy, gdy ma charakter rozgrywek drużynowych. Drużyna może zajmować pierwsze miejsce w tabeli, a mimo to mieć w zespole także nie nie znaczących pięciarcy. Teoretycznie bowiem wystarczy mieć 6 pewniaków nie do pokonania, a zdobędą oni 12 punktów w każdym meczu, czyli go wygra.

Do pozostałych walk można ustawiać słabeuszki, którzy będą brać baty, lub uciekać po ringu, lub też trzymać nieustannie przeciwników i narażać się na dyskwalifikację, lub wręcz przegrwać bez walki przez nadawcę lub... Możliwość jest sporo, toteż nie trzeba oddawać walk walkowerem, który, stosowany ponad miarę, naraża drużynę na kłopoty dyscyplinarne.

Można więc wygrać mecz, mając nieco mniej niż połowę zespołu nie odpowiadającego miejscu drużyny w tabelach. Ale teraz wyobraźmy sobie, co będzie, gdy trafimy na drużynę przeciwną, w której w walce sprawniej, a nas obsadzonej przez lichotę, tam jest dobry bokser? Wtedy nasz słabeusz nie tylko bierze w skórę, przegrwa, co jest przykrością samą w sobie, ale co gorsza, naraża na szwank swoje zdrowie. Oczywiście czasem przeciwnik wykazuje się specjalnym poziomem moralnym i nie masakruje swego mało wyszkolonego kontrpartniera, lecz nie zawsze tak bywa. Poza tym nie zawsze warto oszczędzać patałacha. Będzie się go oszczędzać, a on nagle wyuczy chęci, gdy dobrodziej nieostrożnie odkryje podbródek i wywrze go weń, że tamtego wyliczą. Więc jak można dać pościoli baty, to się daje. To, co napisałem powyżej, dotyczy Avii w znacznie mniejszym stopniu niż innych klubów, a już zupełnie nie dotyczy jej „smuchy”, Andrzeja Andrachiewicza, świetnego zawodnika, z meczu na mecz poprowadzającego się. Chodzi mi o ogólną sytuację w boksie.

Z drugiej strony w drużynach II ligi i to obracających się w dolnych partiach tabel też znajdujący się indywidualności na większą skalę, które jednak nie miały szans bliźniacza na szerszym forum. Zawieszenie rozgrywek ligowych będzie więc okazją do wielkiej weryfikacji ocen w polskim pięciarcstwie. Słabi z dobrych drużyn pójdą w dół, dobrzy ze słabych — do góry. Mistrzostwo zdobędzie ten zespół, którego komplet zawodników osiągnie najlepsze rezultaty.

Decyzję swą działacze PZB podjęli wobec zbliżającej się Olimpiady w Monachium, na której bokserzy też będą walczący indywidualnie, systemem turniejowym. Polacy będą się zatem do tego systemu odzwyczajać przez ponad pół roku. Być może okaże się, że w tych warunkach składają słabi pięciarcy lepiej wypadną od renomowanych? Być może że turnieje wyłonią nowych, wartościowych reprezentantów? Na pewno wszelakie będzie można przełożyć interes reprezentacji kraju nad interesami poszczególnych klubów. A dotychczas te głównie były brane pod uwagę. Zawodników w trasie o lipcowe punkty eksploatowano nieraz nadmiernie, licząc się z tym, że powinni oni przygotowywać się do nadchodzących meczów międzypaństwowych.

Ligomania wyzwoliła w kibiców wiele szowinizmów lokalnych. Skarbnicy klubów obawiają się, że turnieje nie zapewnią tak wdolną jak mecze ligowe. Centralne władze sportowe zapewniły klubom zwrót kosztów uczestnictwa pięciarcy w turniejach. Wszakże, jeśli nawet wskaźniki finansowe będą gorsze, zawieszenie rozgrywek ligowych może dostarczyć ciekawych wniosków działaczom i specjalistom wszechkiernych dyscyplin sportów, w których walczą się indywidualnie, lecz walki te ujęto w karby rozgrywek ligowych (lekkoatletyka, żużel, szachy — rzucam przykłady dość różnicowane).

Oczywiście, decydując się na jakiś eksperyment, nowość, musimy liczyć się z możliwością, że to się nie uda, czego nie można wykluczyć i w omawianej sprawie.

RW

MINUTA MYŚLENIA

Aluzja

ALEKSANDER Małachowski w kolejnym odcinku „Pamiętnika współczesnego” („Kultura” nr 45) przeprowadza rozmowę z jeźdźcą. W dodatku nie wiadomo: czy spadamy na balkon sąsiadów („Kultura” numer wczelnie), czy przelechnym przez autora na szosie do Wittenberga. Felieton posiada formę dialogu, co nawiązuje do nobilitacji tradycji wywodzących się od Platona (427—347). Co jeszcze posiada? Aluzję. Wprawdzie nie bardzo czytelnie (może dla ich rozumienia potrzeba się przenieść na stale do Warszawy), co z góry przekreśla recepcję felietonu, ale czuje się ten wiew oryginalności idący przez karty współczesnej literatury. Coś jak „Streety” Kuśniewicza,

coś jak Wojciechowskiego „Czaszka w czasie”. Niby jesteś zaprowany, czytelniku, ale dla uchwycenia sensu pędzi z wiatrem w pole, gdzie pieprz dojrzewa.

Aluzja. Na dobrą sprawę coś to za naiwny chwyt stylistyczny współczesnej sztuki. Przede wszystkim literatury. Można zrozumieć jego genesis w umysłowości twórców zmęczonych, czy znużonych sensami dającymi się odczytać bez pudła. Podnieconych cięciwą-babką z czytelnikiem, któremu w jednym miejscu skrzyknął się „a kuku”, by szukał znaczenia w miejscu wprost przeciwnym. Albo — dla perwersji — w tym samym. Wiek można by zrozumieć aluzję przekształconą w rodzaj zabawy z aluzji spowodowanej koniecznością ukrycia myśli przed presją tyranii, czy ze względów ideowych. Ale w najnowocześniejszym dziś zastosowaniu jakże często jest ona parawanem umysłowej pustki, wyrzeczem praktyki ze strony autora przedstawiającej się mniej więcej tak: na dobrą sprawę nie wiem nie mam do powiedzenia, powiem więc nie; ale będzie to nie niejasne, wymagające od czytelnika „pracy umysłowej”, po której tenże czytelnik dojdzie do pewnych konstatacji i w ten sposób zapełni moje puste miej-

scem swoim domysłem; że czytelnik jest wielu, więc powstanie wiele różnych interpretacji? Brawo, otom geniusz, tak obszerne są moje umysłowe konstrukcje: mam do powiedzenia nie nie, lecz wszystko.

Literatura nie tylko naśladuje życie, ale pełni funkcje wychowawcze. Również — w dziedzinie umysłowej! Więc przyzwyczajony do myślenia aluzjami, czytając współczesny utwór literacki, powinieniem tę dyspozycję umysłu zatrudniać w życiu codziennym.

Boję się jednak, że wpadnę do psychozozy. Bo a nuż usłyszę od swego znajomego, że na jutro przewiduje się wzmożone opady śnieżne. Przecież to będzie aluzja napomknienie o tym, że czeka mnie dochodzenie prokuratorskie. Za coś? A to bo to człowiek zawsze prawidłowo przechodził przez jezdnię? Zapomnienie odebrania reszty w „Delikatkach” nie może być potraktowane jako chęć dania „lapówki”? Na zebraniu rady zakładowej użyłem kiedyś załmka „ich”. Licho wie, co może z tego wynikać.

Ala zaraz: czy człowiek rzeczywiście ma skłonność mówić nie wprost, ale mówić zamłask? Czy kolega w biurze pragnąc ode mnie pożyczyć długopis zwrócił się do mnie słowami „przybył ułan pod okienko”? Więc chyba wolno

mi nie rozumieć metafory z jeźdźcą Aleksandra Małachowskiego. Wprawdzie głośno się do tego nie przyznam, bo krytycy literacy zdołali wszczepić w czytające społeczeństwo wystarczającą orientację odczytanych tekstów i potrzebę potakiwania tym energiczniejszego, im mniej się rozumie, ale przynajmniej przy zapuszczonych storach weźmą do ręki Prusa, Balzaca, Conrada.

Zegłemu do krainy Aluzji, ale takiej, gdzie śledzi wisi na drzewie, jest zielony i śpiewa pozostawia młodzie, którzy mają na to czas. Ostatecznie te młodzie trzeba czymś zapełnić. Albo współczesną literaturą superawangardową, albo — co też modne — trzaskotką z kulek rozlegającą się z każdego węgla.

Już wiem. Jeśli Aleksander Małachowski wrócił do telewizyjnych rozmów z pisarzami, a wobec Kazimierza Brandysa usłysze: — Skorpionie smrodliwy tyłpacy kaprawym okiem wyliniałego orangutanga, będzie to znaczyło:

— Dzień dobry panu, proszę pana o poinformowanie słuchaczy o pańskich planach pisarskich po powrocie ze Stanów Zjednoczonych.

Ijon

FELIETON Z REZERWY

„Spinacze w dwuszeregu“

OD kiedy w biurach i urzędach zapanowały wszechwładnie długopisy, straciła raz na zawsze rację bytu wypróbowana metoda sprawdzania wydajności urzędników na podstawie ilości zużytego inkaustu. Nie była to zresztą, przynajmniej w tym zakresie, metoda idealna — wnikliwe kontrole niejednokrotnie ujawniały skandaliczne fakty. Jak gminna fama głosi — pewien referent najpierw otrzymał order za wydajność, a dopiero potem okazało się, iż wyzwał od normy wykorzystanie służbowego piły wynikało z faktu pisania przez niego sążnistych donosów na swojego szefa.

Również lansowana w filmie „Zezwarte zezwalcie” metoda zważowania pracowników według ilości zużytych spinaczy została przez życie podważona. Przeby-

wającym w bieł. roku we Wrocławiu na rekonesansowym wyjeździe pracownik lubelskich placówek kulturalnych przedstawiono między innymi oryginalnego hobbyste, który zbiera właśnie... spinacze biurowe.

Tak, proszę państwa, metody normowania pracy urzędników nie są rzeczą łatwą. Do stwierdzenia powyższego doszedłem wcale nie przypadkowo — przeciwnie, dysponując dość obszernym materiałem źródłowym. Oto leży przede mną sążniste, pełen rozlicznych rubryk elaborat pod atrybutowym tytułem: „Przykład zastosowania wstępnej metody normowania obsad etatowych w Wydziale Kultury”. Katalog czynności wymiernych z uwzględnieniem średnich czasów proponowanych”.

Rzecz owa nie jest datowana, ale autorowi wiadomo, iż pochodzi z grudnia roku ubiegłego. Władom mu również, że jest to kwintesencja dwuletnich badań i dociekań wielkiego trudu mózgowego.

Powróćmy jednak do treści owego dzieła. Znajdujemy w nim 37 tak zwanych „czynności wymiernych”, którym — zdaniem autorów — parają się bądź poitorny się parac na co dzień wydziały kultury. Tamte równoległe znajdują się, między innymi, obok każdej owej „wymiernej czynności”, rubryki zatytułowane: „Jednostka obliczeniowa” oraz „Średni czas proponowany”. Dla przybliżenia problemu — może kilka przykładów z tak zwanych „czynności wymiernych”. Cytuję: „Organizowanie imprez: jednostka obliczeniowa — impreza, średni czas proponowany — 21 godzin; wydawanie zezwoleń na imprezy: jednostka obliczeniowa — zezwolenie, średni czas proponowany — 20 minut; organizowanie pobytu delegacji zagranicznej: jednostka obliczeniowa — delegacja, średni czas proponowany — 21 godzin; ochrona zabytków: jed-

nostka obliczeniowa — posiadanie, średni czas proponowany — 7 godzin itd. itd.

Na marginesie wspomnieć należy, że 9 pozycji dotyczy udziału w różnych naradach i at 16 opracowań różnego rodzaju sprawozdań i informacji, z tym, że widelki czasowe są dość duże — od 2 godzin do 30.

Cyfrę, cyferki, liczby — wszystko wyliczone i zaproponowane jak należy. Chciałbym być jednak uczciwy. Niezależnie od owych „wymiernych” przedawców, postuluje się również odpowiednią liczbę godzin na tak zwane „czynności niewymierne”. W grudniu ubiegłego roku wyniosła ona dla wydziału kultury 500 godzin miesięcznie.

Świadomie używam tu czasu przeszłego „wyniosła”, albowiem w okresie niespełna roku nastąpiły pewne modyfikacje. Wydział kultury ustosunkował się do ubiegłorocznych propozycji. Przeliczyły co i jak trzeba, i oto niedawno obarcono je nową edycją proponowanego katalogu czynności, owe „wymierne” ograniczając do 4 punktów, zwiększając zaś ilość „czynności niewymiernych” do 172 godzin.

Nowa edycja propozycji świadczy, że impreza rozciąga się na całego, aczkolwiek skoro zredukowano czynność wymierne z 37 do 4, wyniki owych wspomnianych w wstępie 2-letnich badań opublikowanych w roku ubiegłym w konfrontacji z rzeczywistością okazały się, skromnie rzecz nazywając — zbyt pochopne.

Ale tak to już jest. Życie nieubłagane koryguje to, co z życiem mało ma wspólnego.

Na temat nieustających prób normowania pracy wydziałów kultury rozmawiałem z wieloma jej kierownikami. Niektórzy z nich noszą w kłapie marynarki

odznaki „Zasłużonego działacza kultury”. Wybrałem świadomie ludzi o długoletnim stażu i doświadczeniu w pracy zawodowej — urzędników a zarazem działaczy.

Różno to były wypowiedzi. Jednego nie można im zarzucić: naprawdę normowanie pracy w podległych sobie placówkach analizowali pod kątem jej przydatności w praktyce. A wnioski? Ogólnie rzecz ujmując, interlokutory moi stwierdzają, iż autorom owych katalogów czynności wymiernych i niewymiernych specyfika pracy wydziałów kultury wydaje się być zupełnie obca.

Konia z rzędem, usłyszałem w jednej z wypowiedzi, temu kto zrozumie, dlaczego na przykład wydawanie zezwoleń na imprezy — czynność, którą ostatecznie uznano za typowo wymierną — przedłożono czasowo w nowym wydaniu propozycji z 20 minut do... 1 godziny?

Ala o propos „konia z rzędem”... Swego czasu, w połowie lat 50-tych, miałem serdecznego przyjaciela, kierownika Wydziału Kultury w Lesku (woj. rzemieńskie). Opowiadał mi, że chcąc załatwić jakąś pilną sprawę w odległej placówce, pakował prowiant do plecaka, dostadł rumańka i ruszał na 2-3 dni w teren. Zresztą innego połączenia wówczas nie było. Wydział na ten okres zamykało się na kłódkę, z prostej przyczyny: był to wydział 1-osobowy.

Wyobraźmy sobie: gdyby taki ostatni kulturalny Mohikaniec pojawił się anno domini — 1970, katalog czynności wymiernych wzbogaciłby się z pewnością o jeszcze jedną pozycję: czynność wymierna — wyjazd w teren — jednostka obliczeniowa — koń. Średni czas proponowany — 5 godzin 33 minut.

Kazimierz Łojan



Hys. W. Fuglewicz

Mirosława Knorr Lampa Aladyna

Poszperałam na strychu niedzisiejszych baśni. Gdzie para kocich butów drzemie u komina. Gdy mi „korki wyskoczą”, gdy mi światło zgaśnie, Po amaku znajduję lampę Aladyna. — I cóż, duchu? — powiedział. Znow w godzinie szczytu Ktoś włączył sobie pralkę, albo proźił stary... Jak to dobrze, że lampa, wakół której — mi tu... Nie na prąd jest, lecz tylko wyłącznie na czary... Zielonkawe światelko z wolna się zapala. Tylko rzuc zaklecie. Ot, trzy słowa powiem. Duch pojawi się cicho, szepnie „akbar Allah”. Zabileje w ukłonie zawojem na głowie. — Szykuj dywan — rozkazuje. — Na twego Allaha. Jedziemy. Co wymyślił, radości mi uczynisz. — Pani życzy się znaleźć w palacu inszacha? Czy nurzą się w klejnotach w świątyni bogini? Tu — no, poduszki sądzisz (wschodnich oczywicie) Raczy pani się raczyz nugatem, daktylem. Niewolnik chłodzi panią już palmowym liściem I wnet zaklinacz węzów wkrocy tu za chwilę. Mędrzec wschodni — na łożu z noży. Ze aż w zbroja Ich ostrze mu się wbiła... Istne „dreszczowisko”. Zaklinacz koszt odwiera. I to ma by... kabraf? No dobrze już, no dobrze... Tylko nie tak blisko... — Nie masz gdzie „Klubowisko”? To przygotuj haszisz. Co? Znowu „taniec brzucha”? Dość mam tych popisów! W piątek było tak samo. Nudzisz mnie! Zaczysz: Na złom cię wkrótce oddam, albo — do kamisu! Gdzież mi lepiej niż w domu, zwanym czasem „blokiem”. Kwiatki, w oknach firanki, serwetki, kanarek... I papuga, co skrzeczy, tyłpacy na mnie okiem: „..... chłopu — nie zegarek, Nie zegarek... Nie zegarek...”

NOTY i notki

PREZYDIUM MEN W LUBLINIE proponuje, by nowym ośrodkiem mieszkaniowym na Czechowice dać nazwy Komuny Ryskiej, Wiosny Ludów i Manifestu Lipcowego. Projektanci tych osiedli twierdzą, że byłoby to zbyt patetyczne i proponują: Stędy, Lany, Płony. Nikt wszakże nie spróbował dowiedzieć się, jak owe części Czechowa nazywane są potocznie przez mieszkańców Czechowa i uszanować te tradycje. „KUBIER LUBELSKI” drukuje dodatek „harcerski pt. Na posiadanie amator sprawności”. „Dawłem się z kolegami w wysięg iarski i wesóły tor przetrwał (Jarda po ósemce, Jarda bez trawienia kierownicy, z przewożeniem w jednej ręce przesyłami). Sprawność, z uwagi na pierwsze cechy powinna nazywać się raczej „chwiałpłota”. Z uwagi na ostatnie — „strat drogę”, bo jadącemu rowerem nie wolno, w myśli kłódką drożowego, ani wypuszczać kierownicy z rąk, ani trzymać w rękach żadnych przedmiotów.

WIR

Odpowiedzi redakcji

„Leszek” w Sandomierzu. Wiersze bardzo złe, nawet kultury literackiej w nich nie ma dużo, nie mówiąc już o przebiegach talentu. Nie podaje Pan — poza (mieniem żadnych informacji o sobie, trudno więc orzekać cokolwiek, jak się ma Pańska sytuacja życiowa do przesłanych tekstów. Publikacji w każdym razie nie przewidujemy, ani u nas, ani chyba w innych pismach. No i jednak radziłbyśmy Panu nieco się pomartwić.

B. B. w Legnicy. „Skromny wierszyk” absolutnie nas nie satysfakcjonuje, gdyż naiwny jest nadzwyczaj, młodzieńszakowaty bardzo. Nie wiemy, czy dalej mógłby napisać coś lepszego, albowiem jesteśmy jeszcze bardzo młodzi, kiedy właściwie talent niewykrywalny, jeśli nawet istnieje. W każdym razie czytać musiał bardzo dużo, uczyć się pilnie, ale do nas wysłać następną partię tekstów dopiero po dłuższym okresie, powiedzmy: za dwa, trzy lata. Jeśli wcześniej ochota twórcza minie, nie należy tym się zbytnio przejmować.

J. W. w Wrocławiu. Podziwiamy część Pańskich wpatliwości w materię współczesnej poezji, szczególnie młodą poezji, aczkolwiek nie podziwiamy całkowicie. Nie wydaje nam się natomiast, żeby ratunkiem był w tym przypadku ten typ poezji, który Pan reprezentuje. Nadesłane wierszyki prezentują bowiem nader tradycyjny warsztat poetycki, a w literaturze też liczy się progres, choć niektórzy twierdzą, iż jest ona pieszczona na kilka odwiecznych tematów. Liczy się sposób ujęcia kwestii. Miłość w wieku XIX na przykład to jednak co innego niż miłość w wieku XX.

A. O. w Toruniu. Jak na Joyce’owskie porównania jest to tekst nadzwyczaj miłki poznawczo. Jak na humorystkę natomiast — czyni, zdaje się, jest w zamyle autorstwu — daje próbkę humoru i dowcipu nadzwyczaj ciężkiego, tustawego aż do młodości. A i sam pomysł

też niemożliwy i niewiele się już chyba da zeń wydusić. Publikacji w każdym razie nie przewidujemy.

J. W. w Rydzoszy. Z nadesłanych fraszek w ilości ośmiu podobala nam się tylko jedna: „Dobrze byłoby, gdyby od tej pory / jałowy rozum uważano za ugor”. Wykorzystujemy więc ją w tym miejscu. Niestety, honorarium się Panu w tym przypadku nie należy. Pozdrowienia przesyłamy serdecznie.

J. A. S. w Lublinie. Proszę Pana, to nie jest kwestia naszej nietolerancji, lecz raczej waloru nadsyłanych tekstów. Ot, choćby w Pańskim przypadku: jałowa opisowość rządzi tekstami, „opatologiczne” refleksje, czy po prostu westchnienia liryczne, banalne i jednoznaczne.

S. S. w Lublinie. Listownych odpowiedzi — jak wiadomo — nie udzielamy. Liczymy však, że i te słowa dotrą do Pana; postaramy się wybrać coś do publikacji, choć — jak zwykle — trudno określić termin, nawet w przybliżeniu. Raduje nas w każdym razie, iż próbował Pan się „sprawdzić” w innych pismach — z pozytywnym skutkiem. Żeby też inni autorzy chcieli sobie tak dzielnie poczynać. Pozdrawiamy i życzymy pomyślnych rezultatów również na studiach, które, zdaje się, bliższe już końca.

„Maria” z powiatu Janowskiego. Nie innego nie pozostaje Pan, jak wziąć się za gruntowną lekturę literatury XX-wiecznej. Człowiek współczesny nie żyje myślami i uczuciami, które kłpią w Pani wierszach. Obawiamy się też, że żaden człowiek faktycznie nie żyje takim pokarmem duchowym. W Pani wypadku jest to chyba nieprzekładanie swych najgłębszych doświadczeń na język literatury. Czyli talentu chyba brak, niestety.

S. S. w Olsztynie. Należy czytać pismo, do którego wysłał się propozycje autorskie. Może akurat znajdzie Pan to, co Pana bezpośrednio interesuje.